- Czy na sali jest władza?
- Dolary, marki, sztruks
- Okazja — turbo
- Życie kobiet zaczyna się po czterdziestce
- Pieski bal

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 21 (1365) XXVII 26 MAJA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

„Swego nie znacie"

W trzech marcowych numerach „Odgłosów" (10, 11 i 12) ukazał się reportaż pt.: „Swego nie znacie" poświęcony zasłużonemu łódzkiemu racjonalizatorowi i wynalazcy, Stanisławowi Frontczakowi oraz jego ostatniemu wynalazkowi — paszy roślinno-torfowej R-T. Mając na uwadze duże, naszym zdaniem, znaczenie poruszonego w nim problemu, kontynuujemy ten temat.

(RED

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Nihil novi

Idea pomysłu inż. Stanisława Frontczaka była prosta i godna uznania. Zamiast importować olbrzymie ilości pasz z zagranicy, możemy mieć w kraju ich dostatek, wykorzystując w tym celu posiadane zasoby torfu. Po latach obserwacji i doświadczeń doszedł on do wniosku, że należy odpowiednio wybrany torf rozłożyć cienką warstwą na nieprzepuszczalnej — np. betonowej — powierzchni, posiać na nim mieszankę nasion roślin motylkowych i zbożowych, a już po miesiącu będziemy mieć gotową paszę. Można ją podawać w postaci świeżej, a można też wysuszyć, co ułatwia jej długie przechowywanie. Z jednego ha podłoża torfowego o grubości 10—15 cm po wysianiu 500 kg nasion w sprzyjających warunkach można zebrać do tysiąca ton tej paszy. Biorąc pod uwagę, że cykl produkcyjny trwa tu zaledwie miesiąc, na tej samej powierzchni daje się uzyskiwać paszę kilka razy w roku.

Oto w największym skrócie cała tajemnica pomysłu inż. Frontczaka, za który jej autor dostał patent w Polsce i — niedawno — w USA.

Pierwszy raz Stanisław Frontczak wystąpił ze swoim wynalazkiem w 1978 roku, pracując na pół etatu w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Wiskitnie koło Łodzi. Wtedy też pojawiły się w prasie pierwsze doniesienia na temat tej — jak pisano — rewelacji. Zdaniem wielu naocznych świadków efekty stosowania mieszanki paszowej z dodatkiem R-T były bardzo dobre. Rozgłos nadany sprawie w środkach masowego przekazu zmusił resort rolnictwa, a za jego sprawą — kompetentne placówki naukowe do zajęcia się wynalazkiem. Ale ku zaskoczeniu nie tylko samego Frontczaka testy przeprowadzone przez naukowców wypadły zdecydowanie (chociaż wcale nie jednoznacznie!) negatywnie. W tej sytuacji upowszechnienie paszy R-T nie miało szans powodzenia, a cała sprawę uznano oficjalnie za zamkniętą i nie podlegającą dalszej dyskusji.

Tymczasem pasze R-T zaczęli stosować prywatni hodowcy bydła, drobiu, królików,

10

Miss Polonia '84
Fotoreportaż Janusza Kubika

86—60—90
czyli triumf filozofii

JULIAN BECK

Doczekaliśmy się wreszcie triumfu filozofii w zmaterializowanych do cna czasach. Stało się to za sprawą Magdaleny Jaworskiej, 23-letniej blondynki o wymiarach 86-60-90, uzyskującej na Wydziale Filozoficznym UW średnią ocen 4,75. Nie bardzo wiadomo co to może oznaczać, ale tuż za najwyższym poziomem abstrakcji podąża architektura reprezentowana przez dwie wicemiss: Joannę (94-64-94) i Elę (88-60-88).

A wszystko odbyło się mniej więcej tak: Najpierw „Express Wieczorny" pokłócił się ze „Stołeczną Estradą" którą poparł „Kurier Polski" Na tym tle powstało wielkie żarcie (się). Później pół

12

Mamy za sobą 40 lat ludowej władzy w Polsce. Czterdzieści lat temu masy pracujące kierowane przez partię robotniczą obaliły panowanie klas wrogich proletariatowi. Czego oczekiwali robotnicy od swojej partii, kiedy już stała się partią rządzącą?

Oczekiwali — **po pierwsze** — że powstaną takie polityczne i społeczne struktury, to znaczy, że nastąpi taka przebudowa państwa i taki rozwój społeczeństwa, który zapewni panowanie klasowe robotników.

Oczekiwali — **po drugie** — że dokonywać się będzie stały wzrost udziału robotników w sprawowaniu władzy, a przez to coraz bardziej realnym się stanie postulat sprawiedliwości społecznej.

Oczekiwali — **po trzecie** — że partia kreśląc swój program kierować się będzie przede wszystkim zabezpieczeniem robotniczych interesów.

Jeżeli spojrzymy na niemały przecież dorobek naszego 40-lecia przyjąć należy, że działania partii zbieżne były z postulatami klasy robotniczej, jednakże mieliśmy też kilka razy do czynienia z robotniczym protestem przeciw polityce kierownictwa partii, rodził się kryzys zaufania klasy robotniczej do jej partyjnego kierownictwa.

Użyłem tu określenia — kryzys zaufania robotników do kierownictwa swojej partii, a nie do partii — jak to tu i ówdzie zwykło się mówić. Moim zdaniem, teza o kryzysie zaufania klasy robotniczej do partii ma rodowód kontrrewolucyjny, dąży do izolacji partii robotniczej od klasy robotniczej. Tymczasem sprawa była znacznie bardziej skomplikowana, podział przebiegał i w samej partii. Po jednej stronie grudniowej czy sierpniowej barykady znajdowała się deformująca partię jej część kierownictwa, a po drugiej zdecydowana większość członków partii i klasa robotnicza.

DLACZEGO DOCHODZIŁO DO ROBOTNICZYCH PROTESTÓW!

Ktoś powie — bo pogorszyły się warunki materialne, bo podwyżki cen itp., ale były to już skutki. Przyczyn szukać trzeba było gdzie indziej, a mianowicie w fakcie, że robotnicy nie mieli możliwości występowania jako główna siła polityczna, a tym samym działania partii coraz mniej zbiegały się z ich po-

Czego robotnicy oczekują od partii?

ZENON JANUSZ MICHALSKI

trzebami, z ich interesem. Mówiąc wprost partia stawała się robotnikom coraz mniej potrzebna, ponieważ nie miała rozeznania robotniczych potrzeb.

W tym miejscu warto chyba przytoczyć, jakże pouczające szczególnie dla działacza, stwierdzenie profesora Tadeusza Kotarbińskiego, zawarte w jego — zbyt mało niekiedy znanej i wykorzystywanej pracy — „Traktat o dobrej robocie" — gdzie Profesor stwierdza że błąd popełnia ten, kto podejmuje działania sprzeczne z zamierzeniami, obojętne dla zamierzeń oraz ten kto nie podejmuje uzasadnionych działań — a mówiąc zupełnie prosto — błądzi ten kto robi to, co nie należy, robi nie to, co trzeba lub nic nie robi. To ostatnie na szczęście nam się nie zdarzyło, dwa pierwsze — niestety zdarzały się.

Drugą przyczyną oderwania się partii od swojej klasy może być rozbieżność między myślą partii a stanem świadomości mas. I tu sprawa wymaga pewnego rozwinięcia. Mówiono dotychczas często, że partia, jako awangarda klasy, jako najlepsi z tej klasy — czy zawsze najlepsi, do tego jeszcze wrócimy — powinna wnosić świadomość do klasy.

Jest to tylko pół prawdy, bo nie tylko partia robotnicza ma wnosić świadomość do klasy robotniczej, ale i klasa ma wnosić świadomość do partii — wnosić swoje doświadczenie społeczne, swój instynkt klasowy, swoją zbiorową mądrość. Jest to uzasadnione tym bardziej, że dzisiejsza klasa robotnicza, to przecież nowa jakość. To ludzie, z których zdecydowana większość posiada wykształcenie ponadpodstawowe, a niemała grupa wykształcenie średnie zawodowe czy ogólnokształcące. Takich ludzi stać przecież na teoretyczną refleksję nad własnym położeniem i na świadomy udział w programowaniu czasów przyszłych.

Mówił w swoim wystąpieniu na zakończenie obrad Krajowej Konferencji Delegatów PZPR tow. Wojciech Jaruzelski, że **„rzeczą podstawową jest uwzględnianie w naszych działaniach wiedzy, doświadczenia i aspiracji klasy robotniczej. Stąd nakaz wnikliwego stosunku do robotniczych opinii i ocen".**

Rzecz więc w tym, że w układzie partia robotnicza — klasa robotnicza musi istnieć jedność teorii i doświadczenia społecznego. Przytoczone tu przypadki oderwania się partii od jej bazy występowały niestety w różnych okresach w większym czy mniejszym stopniu, w praktyce działania naszej partii.

Spróbujmy więc szukać przyczyn i szukając ich odwołać się chciałbym do myśli Włodzimierza I. Lenina, zawartych w jego przemówieniu wygłoszonym na posiedzeniu komunistycznej frakcji Ogólnorosyjskiego Zjazdu Metalowców 6 marca 1922 r. Lenin powiedział tam między innymi:

„Wczoraj przeczytałem przypadkowo w „Izwiestijach" wiersz Majakowskiego poruszający sprawy polityczne... W swoim wierszu Majakowski kpi na potęgę z manii

3

Przegląd prasy

Niezwykle cenną, acz niesłusznie zapomnianą maksymę polityczną odkurzył Jan Rem w swym „Samosądzie" z ubiegłego tygodnia („Tu i Teraz" — nr 20 — 16.05.84 — „Pułapki demokracji"). Przypomniał i zaproponował, aby ta myśl stanowiła

MOTTO DLA CENZURY

oraz wyryta została w kamieniu na fasadzie siedziby Urzędu przy ul. Mysiej — podobnie jak sądy na Lesznie mają swoją „sprawiedliwość", która jest „mocą i ostoją Rzeczypospolitej"...

Maksyma owa brzmi tak: *„Każda prawda może być powiedziana w sprzyjającym i odpowiednim czasie, ale nie w każdym czasie i nie naraz"*. Jej autorem jest — jak podaje Rem — osiemnastowieczny ksiądz francuski Morellet, trzeciorzędny filozof i pośledni encyklopedysta, choć pieczeniarz pierwszorzędny. Ale nawet gdyby, poza tą maksymą, nic w ogóle nie wymyślił, to głębia i wszechwieczna aktualność tego zdania wystawiają mu najlepsze świadectwo politycznej przenikliwości.

Można się na cynizm tej maksymy zżymać (i dosyć mamy takich pryncypialnych ortodoksów), ale lekceważyć jej nie sposób, a zwłaszcza zawartego w niej taktycznego przesłania dla wszystkich polityków i krytyków polityki, przesłania mówiącego, że z prawdą należy postępować jak z lekarstwem. Umiejętnie dopasować do choroby i intensywności zamierzonej terapii, broń Boże nie przedawkować, a zdrowego nie leczyć...

Właśnie — czy nie leczyć? Ależ tak — to, co dla chorego organizmu społecznego jest lekarstwem, dla zdrowego jest witaminą, zwykłą odżywką. Co nie oznacza, że można ją bez umiaru żreć.

Nie ulega wątpliwości, że w nauce historii maksyma ta znajduje najwłaściwsze zastosowanie. Problem polega wszakże na tym, kto właściwie ma być dysponentem owego czasu dla każdej z prawd stosownego i sprzyjającego — czy sumienie uczonego, czy zapotrzebowanie społeczne, czy może wola polityków? A może tym „zegarem dla prawdy" istotnie zawiaduje cenzura — a może reguluje się on sam...

Zdaje się, że najbliższe prawdy będzie przekonanie, że owe czynniki dyspozycyjne działają równocześnie, tylko ze zmienną intensywnością w różnych okresach. Można sądzić, że dziś mamy do czynienia z przewagą wpływu zapotrzebowania społecznego na prawdy o treści historycznej i politycznej, przy jednoczesnym osłabieniu (chociaż nie całkiem, nie całkiem...) mechanizmów blokujących.

A jak z tego korzystamy? No cóż, owocuje to przede wszystkim

OTWIERANIEM NOWYCH ROZDZIAŁÓW HISTORII

a także rozszerzaniem pola jawności życia publicznego. (Ta słynna „otwarta kurtyna" rządu jako jeden z wyznaczników demokratyzacji; nb. osobiście zamiast „otwartości" administracji wyżej cenię jej skuteczność...).

W ubiegłotygodniowej porcji prasy znalazłem ciekawe przykłady w obu tych dziedzinach. Oto krakowskie „Zdanie" w numerze czwartym tegorocznym (przy okazji gratulacje — za ćwierć setki numerów tego znakomitego miesięcznika) zapowiadając zredagowaną przez Walerego Namiotkiewicza publikację „Działalność Władysława Gomułki. Fakty, wspomnienia, opinie" drukuje jej fragment — kronikę ostatnich

CZTERNASTU LAT ŻYCIA WŁADYSŁAWA GOMUŁKI

— od V Zjazdu PZPR w listopadzie 1968 roku do śmierci 1 września 1982 roku. Oto jeden z końcowych zapisów tej kroniki:

„16.III.1982 r. przebywającego w szpitalu, ciężko chorego Wł. Gomułkę odwiedza I sekretarz KC PZPR gen. W. Jaruzelski, który w imieniu kierownictwa partyjnego przekazuje mu serdeczne pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia. W czasie dłuższej rozmowy Wł. Gomułka wyraża swą aprobatę dla decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Podkreśla, iż było to konieczne dla zahamowania ofensywy sił kontrrewolucji i powstrzymania skrajnie niebezpiecznego procesu, który zagrażał nie tylko państwu, lecz również podstawom bytu narodowego Polski. Z uznaniem wypowiada się o sprawności działania wojska. Akcentuje potrzebę ofensywnych działań partii zmierzających do społecznej izolacji sił wrogich socjalizmowi. Na zakończenie rozmowy porusza również sprawę izraelskiego paszkwilu „Moje czternaście lat — zwierzenia Władysława Gomułki" i prosi gen. W. Jaruzelskiego o publiczne wyjaśnienie oszczerczego charakteru tego falsyfikatu".

Można żywić uzasadnioną nadzieję, że wspomniana publikacja, wespół z inną, też już zapowiedzianą, pracą Eleonory i Bronisława Syzdków, zastąpi funkcjonujące dotąd pośpieszne, publicystyczne raczej (a także pamiętnikarskie) oceny działalności i dorobku tego wybitnego Polaka i komunisty. Nie trzeba dodawać, że będzie to miało kluczowe znaczenie przede wszystkim dla pełnego wyjaśnienia paru nie całkiem jeszcze rozpoznanych ważnych kwestii tyczących genezy i pierwszych lat Polski Ludowej.

Tego samego okresu, acz na innej płaszczyźnie i z odmiennego nieco punktu widzenia potraktowanego, dotyczy drukowany w „Tu i Teraz".

RAPORT KURIERA PODZIEMIA

okupacyjnego, łącznika między rządem londyńskim a ośrodkami władzy w kraju, Tadeusza Chciuka (ps. „Celt") sporządzony po kilkumiesięcznym pobycie w kraju wiosną i latem 1944 roku. Już dwa pierwsze odcinki („T i T" nr 19 i 20) tego nie znanego szerzej dotąd w kraju tekstu świadczą, że „Celta" opis okupacyjnej rzeczywistości jest nader sensacyjny i daleko odległy od powszechnie dziś funkcjonujących o niej wyobrażeń i stereotypów...

„Gadatliwość i pijaństwo to również cechy naszych podziemnych organizacji, zwłaszcza wojskowych. Były one przyczyną ogromnych strat, a jednak nie można było ich zwalczyć. (...) Komenda Główna AK była w dużej mierze winna, iż doły AK piły. Wyżsi oficerowie dawali jak najgorszy przykład. (...)

Również i gadulstwo było cechą ogólną — zwłaszcza w Warszawie. (...) Z ust do ust — często „pod największą tajemnicą", często wskutek pijaństwa, często także wskutek samochwalstwa i chęci imponowania otoczeniu — największe sekrety stają się tajemnicami poliszynela (...).

Innymi cechami charakterystycznymi — jak powiedziałem — są podziemne karierowiczostwo, podziemny nepotyzm i protekcjonizm i wreszcie podziemny snobizm. (...)".

Porucznik „Celt" był surowym sędzią dla swych współtowarzyszy broni. Ale równie trafnych i gorzkich obserwacji nie szczędził wszystkim Polakom:

„Prowincjonalizm kraju idzie bardzo daleko. (...) Jest to również dowód jak bardzo Kraj żyje i chce żyć pobożnymi życzeniami i jak bardzo nie chce dopuszczać do siebie nawet złych wieści o niepewnej przyszłości. (...) Przyjmuje się więc zasadniczo tylko wiadomości dobre. Za podstawę poważnych rozważań politycznych bierze się najczęściej opinie poszczególnych przedstawicieli społeczeństw anglosaskich niż ich rządów. (...).

Na logiczne, męskie postawienie sprawy sporu polsko-rosyjskiego niewielu potrafiło się zdobyć. Bano się powszechnie przyklejenia (...) etykiety komunisty.

Czasami z przerażeniem spostrzegałem, że trudno mi jest znaleźć w rozmowach wspólny z rozmówcami język. Np. kiedy zwracałem uwagę na to, że Rosja jest potęgą, z którą w polityce naszej liczyć się musimy — odpowiadano mi kategorycznie, że to są jej ostatnie podrygi, że nie ma własnej broni ani amunicji, a walczy sprzętem amerykańskim i angielskim, nie ma lotnictwa ani marynarki, zależy w zupełności od anglosaskich dostaw żywności. (...).

(...) Bajki i plotki, potrzebne do uzasadnienia jakiejś nie bardzo prawdopodobnej tezy powstają na zawołanie".

Stwierdzenie, że raport „Celta" — obok ogromnej wartości historycznej — w swej warstwie obserwacyjnej, syntetyzującej okupacyjne doświadczenia w sui generis polityczny portret Polaków.

ZACHOWAŁ NADER AKTUALNE WALORY

byłoby mocno trywialne, aczkolwiek całkowicie prawdziwe. Poprzestańmy zatem na łagodniejszym sformułowaniu refleksji: nie umiemy i nie chcemy niczego nauczyć się od historii — zwłaszcza życia. I tak już przez całe pokolenia, z których każde odbiera swoją porcję batów dokładnie za to samo i tym samym ciągle ulega złudzeniom.

I CIĄGLE TEMU SAMEMU SIĘ DZIWIMY

Pewnie dlatego, że na ogół mało wiemy sami o sobie i swoich sprawach, a co gorsza — nie zawsze chcemy wiedzieć...

A gdy nawet głośno krzyczymy, że chcemy znać prawdę, zrozumieć jakiś problem, to i tak w końcu chętniej wysłuchamy szarlatana niż fachowca.

Jednym z tematów, o których stale i namiętnie dyskutujemy w ten właśnie sposób jest

SPRAWA NASZYCH PIENIĘDZY

a szczególnie — naszych długów. Tyle mitów, nieporozumień i głupstw, ile narosło wokół tej (bolesnej skądinąd) sprawy, wystarczyłoby na obdzielenie paru afer w tzw. normalnym świecie. Dlatego leczenie winno być szczególnie intensywne.

Właśnie zabrał się za nie Zygmunt Szeliga, w rozmowie z ministrem finansów Stanisławem Nieckarzem („Pieniądze i polityka" — „Polityka" — nr 20 — 19.05.84) o perspektywach spłacania naszych miliardowych długów. Perspektywy są — zdaniem ministra Nieckarza — obiecujące. Podpisaliśmy porozumienie prolongujące o pięć lat spłatę kwot kredytów udzielonych przez banki komercyjne. Umowa z grupą tych wierzycieli dotyczy kwoty 7 miliardów dolarów. Niebawem rozpoczną się rozmowy z Klubem Paryskim — organizacją wierzycieli, którzy udzielili nam (i nie tylko nam) tzw. kredytów gwarantowanych. Tu sprawa jest poważniejsza — de facto wierzyciele ci reprezentują swe państwa, a i kwota jest większa 15,6 mld dolarów. Do tej pory Klub Paryski stawiał żądania polityczne i aktywnie uczestniczył w polityce sankcji, ale ostatnio już się o takich warunkach nie mówi. Realniejsze za to są perspektywy w kwestii przyjęcia Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Światowego Banku Rozwoju...

„A kluczem do rozwiązania tego problemu (...) — silna ekspansja eksportowa. Może to dla niektórych zabrzmieć jak paradoks naszej gospodarki. Ma ona niemały potencjał i doskonałe możliwości kadrowe. A równocześnie w stosunku do już osiągniętego poziomu rozwoju — fatalne relacje między eksportem a innymi wskaźnikami. Mamy zbyt mały eksport, obojętnie do czego będziemy go relacjonować — czy do potencjału gospodarczego, poziomu produkcji, zadłużenia czy też w przeliczeniu na mieszkańca kraju. I rozwój potencjału eksportowego to sprawa wręcz być albo nie być naszej gospodarki. Nie tylko z punktu widzenia zadłużenia, ale całego poziomu rozwoju, warunków życia społeczeństwa itd. Dopóki wszyscy tego nie zrozumiemy, dopóty nie rozwiążemy głównych problemów gospodarczych kraju".

A ilu jeszcze obywateli kojarząc sobie eksport i puste półki w sklepach zaciska pięści i wygraża „onym" co to wyprzedają Polskę? Rzecz w tym jednak, że może zbyt mało i nie całkiem bezwzględnie, dobitnie tłumaczy się to zjawisko... W każdym razie polecam znów maksymę Morelleta — właśnie jest czas na prawdę o naszych stosunkach ekonomicznych ze światem.

Ale powróćmy raz jeszcze do historii, a ściślej na

POLE BITWY POD GRUNWALDEM

a to za sprawą olsztyńskiego dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Warmia i Mazury", który jedną ze swych tegorocznych nagród przyznał profesorowi Andrzejowi Nadolskiemu w Łodzi, prowadzącemu od wielu lat niezwykle interesujące badania archeologiczne na miejscach bitew wojny polsko-krzyżackiej w 1410 roku, zwłaszcza pod Grunwaldem. Badania te — jak wynika z wywiadu, którego prof. Nadolski udzielił wysłannikowi „Warmii i Mazur" (nr 10—16.05.84) — prowadzą do utworzenia rezerwatu historycznego, ale nie tylko — w sposób istotny wzbogacają naszą wiedzę, a nawet zmuszają do przewartościowania wielu utartych opinii naukowych. Warto to robić nie tylko w stosunku do historii najnowszej (która nie ma jeszcze swej archeologii....), szanować trzeba każde świadectwo dziejów.

Nie tylko zresztą z uwagi na okoliczność, którą podnosi prof. Nadolski, a która umyka uwadze wielu z nas:

„Nasz kraj w wiekach średnich leżał na peryferiach Europy. Na ogół niewiele o nas wiedziano. Zaledwie kilka razy Polska wówczas znalazła się w centrum zainteresowania szerokiej opinii światowej i dziś wcale nie jest inaczej. A jeśli nawet zauważano nas, to zazwyczaj okazjonalnie, przedstawiając w sposób często nieprzychylny, a niekiedy zabawny".

Nic i nikt nie jest jednak w stanie wyprzedzić nas samych, gdy chodzi o dawanie okazji już to do śmiechu, już to lekceważenia. Oto autor „obrazu tygodnia" — znanej rubryki informacyjnej w „Tygodniku Powszechnym" — na zakończenie swego dzieła, opublikowanego w nr 21 z 20.05.84 zacytował opinię Tadeusza Hołuja:

„NIE MOŻNA MIEĆ DO KOGOŚ PRETENSJI

tylko za to, że drukuje w „Tygodniku Powszechnym", legalnym piśmie".

Ale już o to, co ktoś (ktokolwiek by to nie był — dziesiąta woda po Kisielu czy wściekła neofitka z pielgrzymiego szlaku) drukuje w „TP" pretensje mieć można? A może też nie? Może — zdaniem autora „obrazu tygodnia" — merytorycznych pretensji do autorów tygodnika też mieć nie wolno?

Tym wszystkim „poniewieranym" autorom „TP" dedykuję anegdotkę z francuskiego pisma „Harakiri", które reklamuje się jako

ZŁOŚLIWE I GŁUPIE

a którego monografię z antologią najcenniejszych tekstów w pigułce opublikowały „Szpilki" (nr 20 — 17.05.84).

„Inżynierowie byli zadowoleni. Zakończyli właśnie pracę nad największym komputerem na świecie.

Święcili to lampką wina, w wielkiej hali, wybudowanej specjalnie na pomieszczenie dla owego komputera. Największej hali świata.

Ów komputer miał być niesłychanie inteligentny. Inteligentniejszy od najinteligentniejszych ludzi. O miliony, miliony razy. Trudno było sobie wyobrazić jaki poziom mogła osiągnąć jego inteligencja. Włożono mu w środek wszystko, co jest potrzebne do osiągnięcia wysokiej inteligencji. I oto teraz nadszedł dzień próby.

Główny inżynier odstawił na bok swój kieliszek i wsunął w wąski, otworek komputera pierwsze pytanie. Pytanie trudne:

CZY ISTNIEJE BÓG!

Zapłonęły małe lampki: czerwone, zielone, fioletowe. Odpowiedź wypadła z małej szufladki w sekundę i trzy dziesiąte.

Główny inżynier przeczytał:

TERAZ TAKI

TOMASZ SAS

Minął tydzień

POLSCY SPORTOWCY NIE POJADĄ NA OLIMPIJSKIE IGRZYSKA

w Los Angeles — tak zdecydował Polski Komitet Olimpijski. Nie ma co ukrywać — jest to decyzja trudna, a dla przygotowujących się od kilku lat do olimpijskiego występu sportowców wręcz przykra, bolesna — dla wielu oznaczająca koniec kariery bez szansy zejścia ze światowej areny w walce.

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że jest to decyzja słuszna — wobec sytuacji, jaka wytworzyła się wokół Igrzysk. Nieskrępowana działalność politycznych, dywersyjnych, antypolskich i antykomunistycznych organizacji w Los Angeles, nie spotykana dotąd komercjalizacja idei olimpijskiej, atmosfera niechęci i utrudnień stwarzana przez amerykańską administrację, próby uczynienia z Igrzysk elementu kampanii wyborczej Reagana — wszystko to skłoniło nasze władze sportowe do rezygnacji z olimpijskiego startu polskiej ekipy. Jest to decyzja wymuszona przez okoliczności towarzyszące amerykańskim przygotowaniom do Igrzysk, a wszelkie jej konsekwencje obciążają rachunek organizatorów antypolskiej hecy w USA.

ZAKOŃCZONO WYŁANIANIE KANDYDATÓW NA RADNYCH

w zbliżających się wyborach do rad narodowych. Teraz — zgodnie z kalendarzem wyborczym — kandydaci (po dwóch na każde miejsce mandatowe) będą spotykać się z wyborcami i dyskutować bardziej konkretnie nad lokalnymi programami wyborczymi. Te programy po wyborach staną się osnową planów działania rad narodowych — szczególnie więc ważny jest udział wszystkich aktywnych obywateli w ich formułowaniu

EGZAMINY MATURALNE

jak zwykle wywołały sporo emocji. Nauczyciele szkół średnich na ogół są zadowoleni z poziomu swych wychowanków. I nic w tym dziwnego — wystawiają przecież w ten sposób świadectwo jakości własnej pracy. Na prawdziwy jednak atest jakościowy nowego rocznika absolwentów szkół średnich przyjdzie poczekać do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Ten sprawdzian jest bardziej obiektywny i — co tu ukrywać — surowszy...

KOLOROWY NUMER „TYGODNIKA PIOTRKOWSKIEGO"

ukazał się w kioskach z okazji Święta Prasy Partyjnej, którego centralne obchody zlokalizowano w tym roku w Radomsku.

X ETAP WYŚCIGU POKOJU

z Oleśnicy do Łodzi w ostatnią niedzielę zakończył się zwycięstwem (już dwudziestym w ciągu kilku lat) kolarza NRD OLAFA LUDWIGA. Polscy kolarze zdążyli nas już przyzwyczaić do bierną asysty najlepszym, więc nie zaskoczyli. Przy okazji mogliśmy się przekonać, że centrum Łodzi, oglądane z góry, sprawia już wcale europejskie wrażenie. I to chyba była najciekawsza obserwacja z tego etapu.

DO TRAGICZNEGO WYPADKU DOSZŁO W ŁĘCZYCY

na oddziale dziecięcym miejscowego szpitala — dwuletni chłopiec w obecności licznego personelu wypadł z balkonu czwartego piętra i poniósł śmierć. O tej niezwykłej tragedii postaramy się poinformować niebawem szerzej.

„GŁOS ROBOTNICZY" W WOJEWÓDZTWIE PŁOCKIM

od piątku 18 maja. Do kiosków w południowej części województwa (na terenie dawnych powiatów łęczyckiego i kutnowskiego) docierać będzie gazeta, z którą tamtejsi czytelnicy od dawna byli związani. Jak bardzo, odczułem sam przed dziewięcioma laty, pracując w nie istniejącym już tygodniku „Ziemia Łęczycka", gdy po reformie podziału administracyjnego pełniłem funkcję nieoficjalnego kolportera, dowożąc codziennie po kilkanaście egzemplarzy „Głosu" i „Dziennika Łódzkiego" dla przyjaciół i znajomych. Dlatego witam ten powrót z zadowoleniem.

O „POCIĄGU GROZY"

pełnym jak zwykle kibiców piłkarskich donoszą „Wiadomości Skierniewickie". Tym razem na dworcu w Skierniewicach zatrzymano pociąg z Terespola do Łodzi wiozący kibiców białostockiej „Jagiellonii" na mecz do Częstochowy. Bilans: zniszczony bufet „Warsu", dziesięciu zatrzymanych (w tym czterech uczniów i jeden student). Czy na Żuławach są jeszcze wolne miejsca?

SIERADZ DOGANIA WŁASNĄ PRZESZŁOŚĆ

— przynajmniej w dziedzinie kanalizacji i wodociągów — jak donosi tygodnik „Nad Wartą". Ponoć — o czym niezbicie świadczą wykopaliska — już w XIV wieku były tu drewniane rury wodociągowe, ujęcia wodne i zbiorniki... I komu to przeszkadzało?

NIEPRAWDĄ JEST, JAKOBY W PABIANICACH

usiłowano „spartykularyzować" straże pożarne w zakładach pracy — twierdzi „Życie Pabianic". W „Polityce" nakłamano! Wprawdzie na jednej z narad rzeczywiście wystąpił człowiek z protestem, dlaczego niby jego firma ma utrzymywać sama straż skoro gasi ona pożary i w innych firmach, albo zgoła „na mieście", ale żadną miarą nie chciał on zabraniać swej straży interwencji poza bramami fabryki. Chciał tylko, by inni podopieczni uczestniczyli w kosztach jej utrzymania, co wydaje się nam żądaniem słusznym i usprawiedliwionym.

VICESEKATOR

Dokończenie ze strony 1

posiedzeń i drwi z tego, że komuniści wciąż obradują i obradują... Rzeczywiście znajdziemy się w sytuacji ludzi.. którzy wciąż bez końca obradują, powołują komisje i układają plany. W życiu rosyjskim występowała taka jedna postać — Obłomow. Leżał on wciąż na łóżku i układał plany. Minęło odtąd wiele czasu, Rosja dokonała trzech rewolucji, lecz Obłomowowie pozostali... Wystarczy popatrzeć na to jak my obradujemy, jak pracujemy w komisjach, aby stwierdzić, że stary Obłomow pozostał...

Do praktycznej konkretnej pracy wyznaczyliśmy komunistów, którzy mają wiele wspaniałych zalet, ale do tej pracy zupełnie się nie nadają. Ilu komunistów siedzi u nas w instytucjach państwowych? Mamy olbrzymi materiał, mamy solidne prace, które wprawiłyby w zachwyt najbardziej skrupulatnego niemieckiego uczonego, mamy stosy papierów — ale trzeba 50 lat pracy Wydziału Historii Partii, pomnożonych przez 50, żeby się w tym wszystkim zorientować. Nie kontroluje się, czy dekrety, których mamy aż nadto i które pitrasimy z opisanym przez Majakowskiego pośpiechem, są w praktyce realizowane. Czy wykonuje się u nas uchwały odpowiedzialnych działaczy partyjnych? Czy potrafią oni to organizować?... Czym są nasze posiedzenia i komisje? Bardzo często niczym innym jak zabawą. Od czasu jak rozpoczęliśmy czystkę w partii i powiedzieliśmy sobie „Precz z sobkami, precz z ludźmi, którzy wśliznęli się do partii, precz ze złodziejami" — sytuacja uległa u nas poprawie. Około stu tysięcy wyrzuciliśmy — świetnie — ale to dopiero początek. Na zjeździe partii omówimy tę kwestię jak należy. A wówczas jak sadzę, owe dziesiątki tysięcy, które teraz tylko powołują komisje i żadną praktyczną pracą nie zajmują się i nie umieją się zająć, spotka ten sam los. Kiedy zaś dokonamy takiej czystki, partia nasza zajmie się konkretną pracą...

Potrzebna nam jest kontrola przydatności ludzi, kontrola faktycznego wykonania. Następna czystka dotyczyć będzie komunistów, którzy poczytują się za administratorów. Zabralibyście się raczej do pracy propagandowej, agitacyjnej i wszelkiej innej pożytecznej pracy — wy wszyscy, którzy zwołujecie wszystkie te komisje, narady i posiedzenia, a konkretnej roboty nie wykonujecie...

Z tym właśnie złem prowadzić będziemy walkę. Kontrolować ludzi i kontrolować faktyczne wykonanie postawionego zadania, w tym właśnie i tylko w tym tkwi teraz istota całej naszej działalności, całej polityki..."

Nie wszystkie zawarte tu uwagi krytyczne odnosić można do naszych polskich warunków, ale szereg z nich niewątpliwie tak, choćby sprawa nierealizowania niektórych podjętych decyzji.

PROGRAMY ZAWSZE MIELIŚMY DOBRE, GORZEJ BYŁO Z REALIZACJĄ.

A robotnicy są realistami, ich interesują przede wszystkim dokonania, fakty.

Rozważania o jakości partii, w naszych warunkach, zawierają w sobie także często pytanie o jej skład socjalny.

Czy w partii robotniczej nie powinni znajdować się przede wszystkim robotnicy — pytają jedni, a zdarzają się i tacy, któ rzy wysuwają wręcz wątpliwości: co to za partia robotnicza, w której robotnicy nie stanowią nawet połowy, a w dodatku liczba ich stale maleje?

Po zjednoczeniu, na dzień 1 stycznia 1949 r. nasza partia liczyła około 1400 tysięcy członków, w tym 60 proc. robotników — a pracowników umysłowych niewiele więcej ponad 17 proc. Do 1980 r. partia wzrosła ponad dwukrotnie, przekraczając 3 miliony członków, w tym robotników było prawie 48 proc., a pracowników umysłowych 40,8 proc., a więc o 1/6 spadł udział robotników w partii. Dlaczego? Zabrzmi to może dziwnie, ale *były to powody wynikające i z pozytywnych działań partii, działań realizujących interesy klasy robotniczej i z działań negatywnych, realizowanych wbrew interesom tej klasy.*

Od pierwszych dni ludowej władzy rozpoczął się proces awansu społecznego polskiej klasy robotniczej. Wielu robotników powołano do pracy w aparacie partyjnym, wielu robotnikom — w ogromnej większości członkom partii — powierzono kierownicze stanowiska w administracji państwowej, Ludowym Wojsku Polskim, organach porządku publicznego itp. Wszyscy oni, jeszcze wczoraj robotnicy, w statystykach partyjnych byli wykazywani jako pracownicy umysłowi. Przed młodzieżą robotniczą otwarły się szeroko bramy szkół i wyższych uczelni — jako absolwenci stawali się pracownikami umysłowymi i jako tacy, w wielu przypadkach wstępowali do partii.

Dlatego też sądzę, że byłoby bardzo pouczające, gdyby ktoś kiedyś dokonał następujących obliczeń — jaki był w partii, w okresie jej największego rozwoju ilościowego i jaki jest obecnie procent robotników i dzieci robotników. Ktoś powie, że w okresie czterdziestolecia, a szczególnie w jego pierwszym dwudziestoleciu szeregi klasy robotniczej uległy znacznemu zwiększeniu, a więc i więcej robotników powinno wstępować do partii, ale nie jest to takie proste.

Mieliśmy przecież do czynienia z potężnymi ruchami migracyjnymi, miał miejsce masowy przepływ ludności ze wsi do miast, ale tu właśnie zaczyna się problem, rzecz bowiem nie sprowadza się do tego czy robotnicy są w partii, ale

JACY ROBOTNICY SĄ W PARTII.

Wyrwany ze swego środowiska, rozpoczynający pracę w przemyśle dawny rolnik nie od razu stawał się świadomym klasowo robotnikiem.

W „Dziecięcej chorobie lewicowości w komunizmie" pisał Włodzimierz Lenin o niebezpieczeństwie płynącym z faktu otaczania proletariatu przez drobnych wytwórców towarów żywiołem drobnomieszczańskim. Stwierdził, że wywołuje to wśród proletariatu **„...recydywy drobnomieszczańskiego braku charakteru, rozdrobnienia indywidualizmu, przerzucania się od nastrojów zapału do zniechęcenia..."** Stwierdzał także w liście do Mołotowa z marca 1922 roku, dotyczącym przyjmowania do partii nowych członków, że należy **„...określić pojęcie „robotnik" w ten sposób, aby pod pojęcie to podpadali tylko ci, którzy wskutek swej sytuacji życiowej musieli rzeczywiście przyswoić sobie psychikę proletariacką. A to jest możliwe tylko wtedy, gdy się pracuje długie lata w fabryce..."** Proponował także, aby przy przyjmowaniu do partii skrócony staż kandydacki dotyczył tylko tych robotników, którzy przepracowali co najmniej 10 lat w wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych.

Czego robotnicy oczekują od partii?

Drugi zespół przyczyn spadku udziału robotników w partii wynika z jej negatywnych działań. Chodzi tu o wszystkie przypadki pomijania interesu klasy robotniczej przy realizacji programu partii, a także o nie zawsze słuszną politykę wzrostu szeregów partyjnych.

W ostatnich latach nastąpiło poważne zmniejszenie się szeregów partii z ok. 3200 tys. do ok. 2.200 tys., a udział robotników z 48 proc. do 40 procent. Zmniejszył się więc stan partii o 1/3, a udział robotników o 1/5 co świadczy o tym, że to nie robotnicy przede wszystkim opuszczali szeregi partyjne. W sumie jednak odeszło ich wielu i jest to zjawisko wysoce niepokojące.

Przyczyn tego stanu rzeczy szukać trzeba nie tylko w polityce partii — jako partii rządzącej, ale także w jej działaniach wewnętrznych, w polityce wzrostu szeregów partyjnych, w pogoni za ilością.

Rozważmy powody wstępowania do partii w okresie, kiedy napływ był największy, a więc w dekadzie lat siedemdziesiątych, a szczególnie w jej drugiej połowie. W przypadku pracowników umysłowych można by wyodrębnić dwa podstawowe powody.

Pierwszy z nich to przyjście do partii z pobudek ideowych. W czasie ostatniego kryzysu część tych ludzi załamała się i odeszła z partii. Niektórych szkoda i być może nie są jeszcze dla nas straceni. Druga część tej grupy jest nadal w partii.

Drugi natomiast powód wstępowania pracowników umysłowych do partii to kariera. Albo chęć zdobycia wyższego stanowiska, albo chęć utrzymania stanowiska już osiągniętego. I nie jest to nic nowego. Już w 1922 r. Włodzimierz Lenin pisał, że ***„...pokusa wstąpienia do partii rządzącej jest w chwili obecnej ogromna..."*** i dalej, że ***„...wśród elementów drobnoburżuazyjnych, oraz po prostu wrogich wszystkiemu co proletariackie wzrośnie niebywale tendencja wstępowania do partii..."*** Z tych ludzi, gdy rozpoczął się ostatni kryzys, niemała część uznała, że od partii nic się już skorzystać nie da, wobec czego odeszła. Druga część natomiast uznała, że lepiej jeszcze poczekać, że może partia odzyska kondycję. Pozostali więc w partii i nadal ciągną ją w dół.

JAKIE MOTYWY POWODOWAŁY ROBOTNIKAMI?

I tu także należałoby wyodrębnić dwa motywy wstępowania do partii.

Pierwszy z nich, to tak jak w przypadku pracowników umysłowych, pobudka ideowa, chęć działania w partii swojej klasy. Z tych ludzi, gdy nadszedł ostatni kryzys część odeszła, nie mogąc się pogodzić z ujawnionymi deformacjami w partii. Sądzić można, że wielu z nich wróci jeszcze do partyjnych szeregów. Ci, którzy zostali, tworzą dzisiaj robotniczy trzon partii.

Drugi natomiast powód wstępowania robotników do partii to niestety wstępowanie bez motywów, zapisywanie się do partii. W latach siedemdziesiątych najważniejsze były statystyki. Kierownictwo żądało wzrostu ilości robotników w partii, dopływ naturalny był zbyt mały, docierano więc drogą najmniejszego oporu do nie posiadających sprecyzowanych poglądów i zapisywano ich do partii. Nie prowadzono rzetelnego szkolenia kandydatów, nie pracowano nad nimi indywidualnie, wydawać by się mogło, że nie chodziło tu o to, aby szeregowy członek partii był aktywny, chodziło natomiast tylko o to, żeby był.

W szeregach partii cechowała tych ludzi bierność i przy pierwszym kryzysie — jeżeli się zdarzył — oddali partyjne legitymacje. I w tym przypadku szat raczej rozdzierać nie należy, bo, jak już raz stwierdziłem, ważne jest pytanie nie ilu robotników jest w partii, ale znacznie ważniejsze jest inne, a mianowicie — jacy robotnicy są w partii?

PARTIA ROBOTNICZA JEST PARTIĄ ROBOTNIKÓW.

Jest partią przede wszystkim dla robotników, ale nie wyłącznie. Wynika to z ogólnospołecznego wymiaru marksizmu. Jednakże inteligent-nierobotnik wstępując do partii robotniczej musi mieć świadomość, że bierze na siebie obowiązek walki o interesy klasy robotniczej. Inna to sprawa, że interesy klasy robotniczej tak są bliskie interesowi ogólnospołecznemu, iż walcząc o nie inteligent walczy także o interes własnej grupy społecznej. Jeżeli jednak między tymi interesami występuje sprzeczność, musi własny interes odsunąć na plan dalszy.

Co zatem czynić, aby partia robotnicza była w coraz większym stopniu, a w ostatecznym rachunku w pełni, partią robotników?

— po pierwsze — nigdy więcej nie popełniać błędu pogoni za ilością, „...Partia — uczył Włodzimierz Lenin — powinna być tylko czołowym oddziałem, kierownikiem ogromnych mas klasy robotniczej, która cała (lub prawie cała) prowadzi pracę pod kontrolą i kierownictwem organizacji partyjnych, ale która cała nie wchodzi i nie powinna wchodzić do partii..."

„...Nasza partia — stwierdzał w innym miejscu— partia rewolucyjnej klasy robtniczej — jest na świecie jedyną partią rządzącą, która troszczy się nie o zwiększenie liczby członków, lecz o podniesienie ich poziomu..."

— Po drugie — konsekwentnie realizować zasadę jawności życia partyjnego, bo to przede wszystkim da robotnikowi poczucie panującej w partii demokracji i szansę przeciwdziałania deformacjom.

W swych listach do redakcji „Iskry" pisał Włodzimierz Lenin że **„...robotnicy przestaną nas rozumieć, porzucą nas, zostaniemy niby sztab bez armii, jeżeli będą miały miejsce rozłamy z powodu nieznacznych rozbieżności... Po to zaś, aby robotnicy nie mogli przestać nas rozumieć, aby ich doświadczenie w walce oraz ich wyczucie proletariackie nauczyło czegoś również nas „przywódców" jest rzeczą konieczną, aby zorganizowani robotnicy wdrażali się do śledzenia wyłaniających się powodów do rozłamu (takie powody zawsze były i zawsze będą się powtarzały w każdej masowej partii), do zajmowania świadomej postawy wobec tych powodów...**

...Nie ma ani jednego działacza politycznego, który by nie poniósł w swej karierze tych czy innych porażek i jeżeli poważnie mówimy o wpływaniu na masy, o pozyskaniu przez nas „dalszej woli" mas, to musimy wszystkimi siłami dążyć do tego, aby porażki te nie były ukrywane w stęchłej atmosferze kółek i grupek, lecz były oddawane pod sąd ogółu...".

— po trzecie — z potrzeb robotniczych, z robotniczego punktu widzenia konsekwentnie budować i realizować program partii. To jest podstawowy warunek przełamania kryzysu zaufania do partii panującego wśród części klasy robotniczej.

Mówił w cytowanym już wystąpieniu na zakończenie obrad Krajowej Konferencji Delegatów PZPR tow. Wojciech Jaruzelski, że:

„...przywództwo robotniczej partii wymaga by właśnie ona najpełniej i najbardziej konsekwentnie walczyła o materializowanie się w codziennym życiu zasad socjalistycznej sprawiedliwości społecznej. By najpełniej wyrażała robotnicze interesy, robotniczy punkt widzenia.

Partia jest robotnikom potrzebna we wszystkich sprawach dotyczących warunków ich pracy i życia w zakładzie i poza zakładem. Powinna występować z inicjatywą wszędzie, gdzie powstają konflikty, stawać w obronie słusznych racji, ma obowiązek walczyć ze wszystkim co robotników oburza, z wszelką niesprawiedliwością, z marnotrawstwem społecznego mienia, z rozrzutnością, ze złą organizacją pracy. Partia w tym nikomu nie może dać się wyprzedzić..."

— po czwarte — konsekwentnie realizując swą kierowniczą rolę w państwie stale umacniać panowanie klasowe robotników, dążyć — jak to określił na Krajowej Konferencji I Sekretarz KC — do **„...zwiększenia wpływu klasy robotniczej na kierunkowe decyzje społeczno-gospodarcze i sposób ich realizacji..."**

— po piąte — konsekwentnie działać w sferze socjalistycznej świadomości, gdzie spustoszenia bodaj są największe.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Można i trzeba robić to lepiej i skuteczniej

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z SOSNOWCA)

Wszyscy czegoś żałowali. Gospodarze — hutnicy i górnicy — że nie mogli pokazać gościom z Łodzi, jak się pracuje w kopalni czy hucie. Goście — robotnicy z Łodzi — że nie mogli tego zobaczyć. Wprawdzie *JÓZEF KUBIAK* — włókniarz z Łodzi — powiedział to dość obrazowo, że, i górnik, i włókniarz mają kurz w nosie i płucach: — *tylko wasz kurz* — powiedział — *jest czarny a nasz biały.* W tym momencie ktoś wtrącił — *bywa też kolorowy!* — *ale* — ciągnął dalej Józef Kubiak — *chodzi o to i nam, i wam, aby ani praca górnika czy hutnika, ani praca włókniarza czy metalowca nie była marnowana bezsensownymi decyzjami. I właśnie troska o to, aby tak nie było nas łączy.*

Obiecano sobie zatem, że przy następnej okazji — czy to w Łodzi, czy na Śląsku — robotnicy gościć będą dłużej i wtedy powstanie możliwość obejrzenia tego, jak pracują łódzcy włókniarze, jak pracują śląscy górnicy czy hutnicy. Ale zarówno gospodarzom i gościom chodziło nie tylko o to, żeby sobie popatrzeć na pracę innych, ale żeby poznać się bliżej, porozmawiać, wypytać o to, jakie sprawy niepokoją robotników na Śląsku, a jakie robotników w Łodzi? Teraz nie było na to czasu. Wiadomo — jest to bowiem czas nasilającej się przedwyborczej gorączki i przygotowania do obrad Komitetu Centralnego PZPR, który na swym XVI posiedzeniu spotka się w Łodzi.

Obrady sympozjum „Robotnicy w partii" w sali konferencyjnej Huty im. Mariana Buczka w Sosnowcu zaczęły się 17 maja 1984 roku dość wcześnie, bo już o godzinie 8.30, a skończyły się o godzinie 16.00. I w tak krótkim czasie powiedziano sobie tyle, ile ludzie mieli do powiedzenia. Na przykład w grupie drugiej, która miała się zajmować sprawami pracy ideologicznej w zakładowych organizacjach partyjnych, a zajmowała się również wszystkimi innymi sprawami, wypowiedziało się 18 osób, a w grupie pierwszej i trzeciej razem 17 osób. W sumie — poza referentami — wypowiedziało się 35 osób. Przede wszystkim robotników. I to jest bardzo symptomatyczne. Pokazuje bowiem, że jak trzeba to potrafimy mówić krótko, tylko o tym, co istotne, przekazać sobie komplet niezbędnych informacji i problemów. Opracować na ich podstawie wnioski. Słowem — dobra robota, choć niektórzy byli odmiennego zdania i uważali, że trzeba było na to spotkanie poświęcić więcej czasu, lepiej je przygotować.

PIOTR NOWAK z łódzkiego „Dywilanu" wypowiedział dość istotną myśl: — *Teraz, kiedy ruszyła reforma, nie wszystkim opłaci się chodzić po zebraniach, tracić na nich czas, zamiast stać przy warsztacie i zarabiać.* — Ale nie dopowiedział tej myśli do końca. Bowiem wniosek z niej wynika prosty — po pierwsze — nie organizować zebrań w czasie pracy, a — po drugie — muszą one trwać krótko i dotyczyć tylko tego, co jest ich tematem. Musimy się po prostu uczyć inaczej pracować. Spotkanie robotników Zagłębia i Łodzi w Sosnowcu pokazało, że można.

Co jest niezbędne do tego, aby tak się stało? Przede wszystkim przezwyciężenie starych nawyków. *BOLESŁAW HARAZIM* — członek KC PZPR, górnik kopalni Niwka—Modrzejów, której to gośćmi była grupa druga — powiedział, że: — *partia się zbiurokratyzowała* — Józef Kubiak uzupełnił ten pogląd, dodając, że: — *otoczyła się zbytnio administracją.*

— Wniosek stąd, że nie odejdzie się od starych nawyków, nie pozbędzie się ich siedząc za biurkiem i pisząc sterty sprawozdań; że dokonać tego można tylko będąc wśród ludzi, słuchając tego, co ich nurtuje, co ich boli, poznając sprawy, które są możliwe i powinny być do załatwienia.

JAN POŁANIECKI z kopalni Niwka—Modrzejów, sekretarz oddziałowej organizacji partyjnej, powołał się na słowa I sekretarza KW PZPR w Katowicach, *BOGUMIŁA FERENSZTAJNA*, że do partii drzwi muszą być zawsze otwarte, i powiedział, jak on to rozumie: — *Ludzie przychodzą do sekretarza ze swoimi sprawami. Są to różne sprawy, małe i duże, ale często sekretarz później zostaje z tymi sprawami sam. Znikąd nie ma pomocy, a wszystkiego załatwić sam nie może.* — A *STANISŁAW MUCHA*, robotnik z Sosnowca, dodał: — *Jak ludzie przychodzą do partii, to trzeba ich wysłuchać i muszą wyjść z przekonaniem, że ich sprawa albo będzie załatwiona, bo to jest możliwe, albo nie, bo jest to teraz niemożliwe i dlaczego. Tymczasem jest tak, że im wyższy szczebel, tym trudniejszy dostęp do sekretarza, a jak człowieka załatwia instruktor, to tylko zapisze i nic nie powie, ludzie wychodzą z partyjnego komitetu i nic nie wiedzą, czy im partia pomoże, czy nie.*

Druga sprawa, która wszystkich niepokoiła, a która powinna decydować o nowym, innym stylu pracy partii, to sprawa informacji. Szybka i pełna informacja decyduje o sprawności działania, o właściwie podejmowanych decyzjach. *CZESŁAW KOZYRA* z kopalni Niwka—Modrzejów powiedział wprost: — *Czy to, co tu mówimy na „dole" dociera do „góry"?* — Jego kolega z tejże kopalni, *STEFAN KOREPTA* jest zdania, że wysyła się wiele informacji do KM czy KW PZPR, ale tam są one opracowywane i wybiera się tylko te, które pasują do takiej czy innej tezy. To nie oddaje złożonej sytuacji i może ujemnie wpływać na podejmowane decyzje. Dodał też, że — *zbyt późno docierają do organizacji partyjnych informacje na temat różnych wydarzeń, o których powszechnie się już mówi, przez co osłabia się pracę wyjaśniającą organizacji partyjnych.* — Krytyczne uwagi na temat obiegu informacji potwierdził członek KC PZPR, górnik kopalni Niwka—Modrzejów, Bolesław Harazim, dodając, że te krytyczne uwagi robotników Sosnowca przekazał kierownictwu partii w czasie konsultacji przed XVI Plenum KC PZPR.

Czasu było mało, ale poruszono dużo różnych spraw. Mówiono o sprawiedliwości społecznej, zarobkach robotników Łodzi i Śląska, o potrzebie częstszych kontaktów między obu wojewódzkimi organizacjami, o ciężkiej pracy łódzkich kobiet, o nasilającej się nietolerancji wobec niewierzących, o polityce państwa wobec Kościoła, o wewnętrznym zróżnicowaniu klasy robotniczej, o kryteriach wyłaniania aktywu partyjnego i wielu innych jeszcze sprawach. Obrady zamknął *TADEUSZ CZECHOWICZ*, który podkreślił, że miarą siły partii jest umiejętność skupiania ludzi wokół realizacji programu partyjnego, że partia musi być organizatorem sojuszu klasowego i sojuszu postępowych sił społeczeństwa.

Publikowany na tej kolumnie artykuł *ZENONA J. MICHALSKIEGO* stanowi obszerne fragmenty wygłoszonego przez niego w Sosnowcu referatu. Nie omawiam natomiast ani referatu Bogumiła Ferensztajna, ani Marka Barańskiego i Eugeniusza Januły, gdyż do spraw tych mam zamiar jeszcze powrócić w najbliższym czasie. Marek Barański i Eugeniusz Januła przedstawili wyniki badań socjologicznych przeprowadzonych w sosnowickich fabrykach. Są to bardzo interesujące wyniki.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dolary, marki i sztruks

EUGENIUSZ IWANICKI

Ta afera znajdzie wkrótce swój finał w sądzie. Aktualnie toczy się jeszcze śledztwo, pęcznieją tomy akt oskarżenia, listami gończymi są ścigani ci z przestępców, którym udało się zbiec. Ale to tylko kwestia czasu. Pracownicy łódzkiego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, którzy rozszyfrowali ten wielki gang przemytniczy, są pewni sukcesu. A sukces to niemały, zważywszy, ze udaremniono wywóz z kraju ogromnych ilości środków dewizowych, tak potrzebnych dziś naszej gospodarce. Zacznijmy jednak od początku, choć na dobrą sprawę nie da się dokładnie ustalić daty, kiedy pierwsze partie sztruksu i dżinsu w nielegalny sposób przekroczyły granice Rzeczypospolitej.

DZIURAWA GRANICA

Przejście graniczne w Olszynie k/Świecka. Noc. Sen zniewala, napełnia ołowiem ciało. Ustał ruch samochodów, tylko jarzą się ostre lampy nad przejściem oświetlając szlabany i betonową jezdnię. Spać, spać, spać. Ale celnicy nie mogą sobie pozwolić na luksus odpoczynku, na wyciągnięcie się bodaj na godzinkę na leżance. Przecież to jest granica, strefa newralgiczna, szczególnie wymagająca koncentracji i przytomności umysłu. A tu akurat nic, cisza, spokój. Wszystko już zostało opowiedziane, przedyskutowano ostatni mecz, powspominano co ciekawsze zdarzenia z niełatwej przecież służby. Co robić? Ktoś proponuje, że może by tak... Dlaczego nie, odpowiada inny, po kapce można. No, powiedzmy po piećdziesiątce i szlus. Można i po setce, włącza się ktoś inny, co to dla Polaka setka? Nawet dobrze się nie posmakuje. Więc szast prast i papieros do ust. Teraz dopiero smakuje. I spać się nagle odechciało, i noc stała się jakaś taka mniej nudna. To może jeszcze po maluchu? Czemu nie, może być nawet po dwa. A tu od strony NRD zjawia się samochód ciężarowy z rejestracją zachodnioniemiecką. Podjeżdża, wygasza światła i silnik. Jeden z celników niechętnie wychodzi, zaczyna rozmawiać z kierowcą, obchodzi wóz dookoła. Potem robi to samo w towarzystwie kierowcy. Trwa to kilka, a może kilkanaście minut. W końcu szlaban idzie do góry: można jechać. Na pytanie kolegów celników, celnik, który dokonał odprawy, mówi, że nic takiego, facet wiezie towar dla odbiorcy w Łodzi, ale jest w najlepszym porządku.

WYJAŚNIENIE JEDNEGO Z PODEJRZANYCH

Przejechaliśmy granicę polską tak jak zazwyczaj w miejscowości Olszyna k/Świecka. Ja jechałem pierwszy. Pokazałem celnikowi materiał i dałem mu około 250 DM oraz trochę upominków (czekoladę, wódkę, piwo, papierosy). Kiedy celnik przyjął to wszystko, powiedziałem mu, że za mną są jeszcze dwa samochody z towarem, i że może także na nich zarobić. Celnik przepuścił także i ich. Oni także dali mu po 250 DM od samochodu oraz suweniry. Nadmieniam, że granicę przekraczaliśmy w nocy, ponieważ wtedy nie było takiego nadzoru, a celnicy zazwyczaj byli pijani...

WPADKA

Sprawa przemytu do Polski wielkich ilości sztruksu i dżinsu sięga początku lat osiemdziesiątych. Niestety, nie można było nikomu niczego udowodnić. Dopiero w roku ubiegłym prokuratura generalna NRD przekazała władzom polskim materiał dotyczący funkcjonowania na terenie NRD i Polski grupy przemytniczej. Przesłano mianowicie protokoły przesłuchania dwóch obywatelek RFN, zatrzymanych przez służby NRD, które opowiedziały o swoich wojażach do Polski. A więc że dostarczały materiał prywatnym odbiorcom, za który ci płacili żywą gotówką, tj. dolarami USA. Szkopuł jednak w tym, że nie potrafią wymienić żadnego nazwiska, choć bardzo dokładnie opisały ich wygląd zewnętrzny.

Zatrzymanie tych kobiet nastąpiło w wyniku znalezienia u nich 17.610 dolarów USA przewożonych w skrytce tyleż zmyślnej co intymnej. Przy okazji zatrzymane panie opowiedziały, że od 1981 roku działa grupa przemytnicza zajmująca się przerzutem sztruksu i dżinsu z Republiki Federalnej Niemiec do Polski via Niemiecka Republika Demokratyczna. Zeznały, że oprócz nich należą do niej trzej panowie z RFN, jeden Polak zamieszkały w RFN na stałe na podstawie paszportu konsularnego oraz szereg osób mieszkających w Polsce, a konkretnie w Łodzi.

SPECJALNE SŁUŻBY PRZYSTĘPUJĄ DO AKCJI

Mimo iż zatrzymane w NRD kobiety nie potrafiły podać żadnych nazwisk łódzkich odbiorców dostarczonego przez nie towaru (jeśli znały to tzw. ksywę, czyli pseudonim obowiązujący w światku przestępczym), jednakże przekazany przez nie opis (twarz, sposób ubierania się itp.), okazały się zupełnie wystarczające. Milicjanci dość szybko ustalili, choć wymagało to ogromnej pracy, who is who. Nastąpiły pierwsze zatrzymania.

Czytelnik mniej zorientowany w przepisach fiskalnych może zapytać o co tu chodzi? Czyżby nie wolno było do Polski przywozić sztruksu i dżinsu? Owszem, wolno. Jednakże w myśl przepisów celnych, za towary przekraczające dopuszczalne normy należy opłacić cło. W omawianym przez nas przypadku cła nie płacono, gdyż na przejściu granicznym jeden z celników okazał się być przekupny. Po drugie — nie rejestrowano przywożonych materiałów w Izbie Skarbowej, a więc pozostawał on poza wymiarem podatkowym.

Nasz kodeks karny w tym przedmiocie stanowi wyraźnie: *Art. 135 § 1. Kto w porozumieniu z innymi osobami bez wymaganego zezwolenia, albo wbrew jego warunkom nabywa, zbywa lub wywozi za granicę wartości dewizowe w wielkich ilościach, narażając przez to interesy gospodarcze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na wielką szkodę, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od 8 lat albo karze 25 lat pozbawienia wolności.*

§ 2. Tej samej karze podlega, kto w porozumieniu z innymi osobami, uchylając się od powinności celnej albo wprowadzając w błąd organ państwowy lub zatajając rzeczywisty stan rzeczy, wprowadza z zagranicy na polski obszar celny lub wyprowadza z tego obszaru za granicę towar przeznaczony do transakcji handlowej w wielkich rozmiarach i przez to naraża interesy gospodarcze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na wielką szkodę.

Tyle kodeks karny. A przecież jak pamiętamy, przy zatrzymanych owych dwóch kobietach znaleziono prawie 18 tysięcy dolarów USA pochodzących z Polski. Była to wszakże zaledwie cząstka tego, co zdołano od nas wywieźć. (Gwoli ścisłości naszej relacji, muszę dodać, iż jedna z kobiet, po powrocie do RFN została zastrzelona przez kochanka, który był także zamieszany w aferę przemytniczą sztruksu i prawdopodobnie nie mógł przeżyć tak sromotnej wpadki. Po dokonaniu tego krwawego czynu, wpakował także sobie kulę w serce).

CENY, PRZELICZNIKI, KALKULACJE

Kupując towar w RFN płacono 8—9 marek za 1 metr. U nas sprzedawano ten sam metr za 5—6 dolarów USA. W jednym transporcie przywożono zazwyczaj (zależnie od wielkości samochodu) od 5 do 20 tys. metrów. Z reguły jechały 3 lub 4 samochody. W jaki sposób przekraczano granicę, już opisałem.

Hurtownicy nasi rozprowadzali to do krawców. W zależności od aktualnego kursu dolara na rynku, 1 m sztruksu kosztuje u nas od 2.800 do 3.100 zł. Ale to się opłacało, gdyż był to materiał niejako poza kontrolą, a więc nie obciążał opłat podatkowych. Z kolei hurtownik, kiedy już sprzedał krawcom sztruks czy dżins za złotówki, zaczynał pospiesznie kupować odpowiednią ilość dolarów, by później mieć za co nabyć towar przywożony z RFN. Hurtownik był właściwie rekinem finansowym, gdyż przez jego ręce przepływały miliony złotych polskich i setki tysięcy dolarów. Np. jeden z nich, zatrzymany w areszcie, w ciągu roku zakupił sztruksu za 100 tys. dolarów tylko od jednego dostawcy. A przecież tych dostawców miał kilku. Ile w sumie zapłacił?

WYJAŚNIENIE DOSTAWCÓW

— Łącznie ja dostarczyłem dla C. 8.700 m sztruksu i dżinsu o wartości 43.180 dolarów USA, a T. dostarczyli mu podczas trzech wspólnych ze mną wyjazdów 8.400 m o wartości 41.360 dolarów USA. C. wypłacał nam te kwoty w dolarach USA, minimalne ilości także w markach zachodnioniemieckich.

Tu należy się małe wyjaśnienie: ten dostawca mówi o początkowej fazie „rozkręcania się" całego procederu. Z czasem ceny wzrastały, osiągając zawrotne sumy. Przytoczę więc jeszcze jeden fragment z protokołu dotyczący rozmowy dostawcy towaru z łódzkim odbiorcą.

— Wręczyłem mu dokument celny z granicy. Wówczas B. bardzo się zdenerwował. Zwrócił mi uwagę, że niepotrzebnie zgłosiłem na granicy, iż materiał wiozę do niego, gdyż teraz będzie musiał zapłacić duży podatek w Wydziale Finansowym za przywieziony sztruks. Stwierdził, że za ten mój błąd potrąci mi po 1,50 DM za metr, gdyż będą to pieniądze na podatek. Nadto stwierdził, że nie zapłaci mi tak jak poprzednio bywało po 12,50 DM za metr sztruksu tylko 12,00 DM, gdyż kurs marki na czarnym rynku w stosunku do złotówki zmienił się. Z kolei ja się zdenerwowałem tym, gdyż co mnie obchodziła zmiana kursu walut w Polsce oraz to, że B. będzie musiał zapłacić duży podatek w Wydziale Finansowym przez swoją głupotę. Zamiast pić, mógł przyjechać na granicę. Z tego wyciągnąłem wniosek, że poprzednio jak bywał na granicy musiał załatwiać sprawę z celnikiem, aby nie płacił później podatku w Wydziale Finansowym.

FIKCJA, W KTÓRĄ SIĘ WIERZY

Wóz ze sztruksem przekraczając granicę RFN — NRD musi mieć list przewozowy i to wystarcza, by nie robić trudności z przejazdem tranzytowym. Na granicy NRD — Polska w zasadzie także wystarcza ten sam dokument, z tym wszakże, że celnik ma obowiązek (jeśli nie jest przekupiony) na jego podstawie wysłać zawiadomienie do Izby Skarbowej w miejscu zamieszkania odbiorcy towaru, by Izba dokonała odpowiedniego wymierzenia podatku. Tylko że wszystko to niepomiernie wydłuża się w czasie: zanim takie zawiadomienie dotrze do Izby Skarbowej, zanim przystąpi ona do działania, z reguły dostawca jest już dawno poza Polską, a odbiorca nie figuruje w ogóle w spisie mieszkańców miasta Łodzi. A więc był towar, nawet sporo, przekroczył granicę, odjechał w głąb kraju — i wszelki ślad po nim zaginął. Nie ma i już. Nie zostało uiszczone cło i nie ściągnięto podatku do skarbu państwa.

W omawianej przez nas aferze adresy odbiorców w Łodzi z reguły były fikcyjne. Czasem wręcz zakrawało na dowcip, gdy w liście przewozowym figurował plac Dąbrowskiego w Łodzi, budynek nr 5, gdzie jak wiadomo mieści się Sąd Wojewódzki, a w którym nikt nie zna obywatela podanego jako tego, dla którego jest przeznaczona przesyłka. No tak celnik na granicy nie musi przecież wiedzieć, co mieści się w Łodzi na placu Dąbrowskiego. Fakt jest faktem: towar poszedł zupełnie gdzie indziej. Mecha-

Polityka antymonopolowa — walka z wiatrakami?

WITOLD KASPERKIEWICZ

W bogatym dorobku legislacyjnym polskiej reformy gospodarczej brak jest nadal ustawy antymonopolowej, czyli podstawy prawnej służącej do zwalczania niepożądanych ze społecznego i ekonomicznego punktu widzenia praktyk monopolistycznych uprawianych przez rodzimych producentów i sprzedawców. Sprawa ustawy antymonopolowej znajduje się na warsztacie Zespołu X Komisji d.s. Reformy Gospodarczej i stanowi przedmiot licznych kontrowersji dotyczących zakresu ustawy, katalogu praktyk uznanych za nadużycie pozycji monopolistycznej, ostrości sankcji za naruszanie przepisów antymonopolowych itp.

Ustawodawstwo antymonopolowe ma swoich zagorzałych przeciwników, których siły oddziaływania na przebieg prac legislacyjnych nie należy bagatelizować. Wśród adwersarzy ustawy antymonopolowej wyróżnić można dwa ugrupowania w sposób zupełnie odmienny argumentujące swoje stanowiska.

Pierwsza grupa atakuje sens uchwalenia aktu antymonopolowego z pozycji pryncypialnej obrony założeń ustrojowych systemu gospodarki socjalistycznej, który jest przecież zbudowany na fundamencie monopolu państwowej własności. Stanowisko to znajduje zwolenników w kręgach ministerstw gałęziowych zainteresowanych utrzymaniem struktur monopolistycznych w obrębie swojej działalności.

Druga grupa przeciwników tej ustawy reprezentuje pogląd wyrażający się w tezie, że skoro źródło monopolizacji gospodarki polskiej bije poza rynkiem, w sferze resortów gospodarczych, które swymi decyzjami tworzą i umacniają struktury monopolistyczne, to tym samym próba forsowania ustawy antymonopolowej przypomina walkę z wiatrakami.

Nie podejmując polemiki z tymi poglądami ograniczymy się do stwierdzenia, że w arsenale instrumentów prawnych reformy nie może zabraknąć ustawy antymonopolowej. Musi istnieć zagwarantowana prawnie możliwość obrony interesu ogólnospołecznego przed pasożytniczymi działaniami producentów i sprzedawców wykorzystujących swoją pozycję monopolisty. Popierając przydatność ustawodawstwa antymonopolowego zdajemy sobie sprawę z faktu, że ustawa tego rodzaju nie będzie panaceum na szkodliwości praktyk monopolistycznych, że jej egzekwowanie napotykać będzie liczne przeszkody. Przeciwdziałanie owym praktykom będzie żmudną i trudną pracą, należy jednak ją podjąć, gdyż tylko aktywne działanie może dostarczyć argumentów na rzecz skuteczności ustawodawstwa antymonopolowego.

EKONOMICZNE DYLEMATY POLITYKI ANTYMONOPOLOWEJ

Silne zmonopolizowanie struktur rynkowych i brak określonych warunków dla działania stosunków konkurencji mogą skutecznie zablokować efektywnościowe dźwignie reformy gospodarczej. Przełamanie szkodliwych struktur monopolistycznych jest jednym z warunków właściwego funkcjonowania rynku i uruchomienia przewidzianego w projekcie reformy mechanizmu konkurencji wspomagającego kierunkowe ustalenia planu centralnego. Prawidłowe funkcjonowanie systemu cen (w tym przede wszystkim cen umownych), stymulujące oddziaływanie zasady samofinansowania na efektywność gospodarowania, obrona samodzielności przedsiębiorstw w sferze polityki płac i ustalania asortymentu produkcji zależą w znacznym stopniu od powodzenia zabiegu demonopolizacji gospodarki. Trudno w inny sposób zagwarantować ochronę interesu konsumenta oraz stworzyć silne bodźce do działań innowacyjnych i podnoszenia jakości produkcji.

W rozważaniach na temat demonopolizacji naszej gospodarki często formułowane jest pytanie — czy w warunkach ostrej nierównowagi rynkowej istnieją szanse na uruchomienie mechanizmu konkurencji. Niektórzy ekonomiści bardzo sceptycznie odnoszą się do możliwości działania konkurencji w warunkach olbrzymiej nadwyżki popytu nad podażą. Twierdzą oni, że ustawodawstwo antymonopolowe nie zdoła chronić konkurencji w sytuacji rynku producenta. Konkurencja oznacza przede wszystkim rywalizację między przedsiębiorstwami polegającą na dążeniu do rozszerzania rynku zbytu dla swoich wyrobów. Obecnie mamy zaś do czynienia z rywalizacją odbiorców poszukujących źródeł zakupu towarów.

Należy zgodzić się z tezą, iż podstawą prawidłowego działania konkurencji jest sytuacja rynku nabywcy. Jest to teza oczywista. Można jednak odwrócić pytanie i spytać — czy bez pewnych skromnych nawet przejawów konkurencji możliwe będzie odbudowanie równowagi rynkowej. Obserwacje empiryczne potwierdzają wniosek, że zachowanie struktur monopolistycznych przeszkadza w powstaniu rynku nabywcy nawet wtedy, gdy zdolności wytwórcze w danej dziedzinie równoważą lub nawet przekraczają popyt. Odbudowa rynku jest częstokroć niemożliwa nie z przyczyn obiektywnych (np. deficyt zdolności produkcyjnych), lecz z przyczyn subiektywnych, którymi są tworzone przez scentralizowany system struktury monopolistyczne. Wobec tego, niezbyt istotne jest pytanie — od czego rozpocząć proces tworzenia podstaw konkurencji w gospodarce polskiej, tzn., od przywrócenia równowagi rynkowej czy likwidacji określonej sytuacji monopolowej. Wydaje się, że droga do stworzenia zrębów konkurencji prowadzi przez łączne działanie tych czynników; jeden i drugi jest ważny w osiągnięciu tego celu.

Sformułowanie racjonalnej społecznie i ekonomicznie polityki antymonopolowej jest zadaniem trudnym, a poszczególne elementy owej polityki są przedmiotem kontrowersyjnych ocen. Wynika to przede wszystkim z faktu, że wpływ struktur monopolistycznych na gospodarkę nie jest jednoznaczny, w sensie efektywności gospodarowania, zainteresowania innowacjami etc. Dlatego też sprawą o kapitalnym znaczeniu jest w miarę precyzyjne wyznaczenie zakresu demonopolizacji gospodarki uwzględniające plusy i minusy istnienia struktur monopolistycznych. Problem ten można przedstawić posługując się pojęciami górnej i dolnej granicy demonopolizacji.

GÓRNA GRANICA DEMONOPOLIZACJI

to taki jej zakres, którego przekroczenie mogłoby spowodować zaprzepaszczenie efektywnościowych zalet związanych z występowaniem struktur monopolistycznych. Do zalet tych należą przede wszystkim:

— korzyści dużej skali produkcji w jej aspekcie technologicznym, a więc możliwości zastosowania bardzo kapitałochłonnych urządzeń o wysokich parametrach wydajności i fizycznie niepodzielnych; za cenę zwiększonych kosztów stałych osiąga się obniżkę kosztów zmiennych, umożliwiających zmniejszenie całkowitego kosztu jednostkowego;

— korzyści dużej skali w wymiarze ekonomicznym wyrażające się w wysokiej efektywności kalkulacji i decyzji w skoncentrowanych strukturach (np. monopol zapobiega dublowaniu działań); zdolności do podejmowania i finansowania przedsięwzięć innowacyjnych charakteryzujących się dużymi nakładami i wysokim stopniem ryzyka; zdolności do ekspansji eksportowej;

— względna stabilność cen umownych w sytuacji planowania struktur oligopolistycznych (czyli występowanie kilku producentów monopolistów).

W kontekście tych rozważań należy zwrócić uwagę na rozróżnienie „prawdziwych" i „nieprawdziwych" efektów dużej skali. Nieprawdziwe efekty dużej skali powstają wówczas, gdy obniżka kosztów, względnie wzrost dochodów występują tylko w obrębie danego przedsiębiorstwa. Natomiast w innych jednostkach gospodarczych następuje wzrost kosztów lub obniżenie dochodów. Jeżeli na przykład koncentracja produkcji powoduje zdobycie pozycji monopolisty przez dane przedsiębiorstwo, to wynikający stąd wzrost zysku należy w znacznym stopniu wiązać z wyzyskiem odbiorców. Nie stanowi to z ogólnospołecznego punktu widzenia rzeczywistego zysku, a tym samym nie jest argumentem na rzecz koncentracji produkcji. Prawdziwe efekty dużej skali, które można uznać za argument na rzecz koncentracji, zawierają rzeczywistą z ogólnospołecznego punktu widzenia obniżkę kosztów, której nie sposób osiągnąć inaczej, jak tylko poprzez wzrost wielkości przedsiębiorstw. Są to oszczędności netto liczone globalnie dla całego przedsiębiorstwa lub branży, a nie dla poszczególnych jego części (np. zakładów).

DOLNA GRANICA DEMONOPOLIZACJI

lub innymi słowy minimalny zakres demonopolizacji, to taki zakres, który pozwala na uruchomienie mechanizmu konkurencyjnego. Przedsiębiorstwa mające pozycję monopolistyczną, nie będąc zagrożone presją zewnętrzną, nie wykazują dostatecznej skłonności do innowacji technicznych i organizacyjnych, do wprowadzenia na rynek nowych produktów. Względna łatwość realizacji przez jednostki monopolistyczne ich własnych celów drogą jednostronnego kształtowania korzystnych dla siebie warunków współpracy z otoczeniem (ceny, asortyment) osłabia zainteresowanie racjonalnym gospodarowaniem posiadanymi zasobami i zmianami w strukturze produkcji dostosowującymi ją do struktury potrzeb odbiorców. W efekcie wpływa to negatywnie na poziom i strukturę zaspokojenia potrzeb konsumpcyjnych społeczeństwa.

nizm ten stosowano jedynie w tym przypadku, kiedy nie udało się przekupić celnika. Z przykrością jednak należy stwierdzić, że celnicy brali: pieniądze, wódkę, papierosy, piwo, jakieś inne pamiątki drobne a kosztowne.

JAK WYWIEŹĆ DEWIZY ZA GRANICĘ

Okazuje się, że dość prosto. Trzeba mieć własne konto w banku, a na nim, powiedzmy, 1 tysiąc dolarów. Ponadto trzeba posiadać sporo wdzięku lub tzw. szeroki gest. Teraz należy tylko zaproponować pani siedzącej w okienku (najlepiej jeśli jest to jakieś brzydactwo) wspólne wypicie kawy w jednej z ekskluzywnych kawiarń, zjedzenie kolacji w drogim lokalu, kupienie jej kwiatów i jakiegoś efektownego drobiazgu, by o nas nie zapomniała. A już szczytem jest zrobienie sobie z niej przyjaciółki, a może (czasem trzeba się przemóc) kochanki. Reszta jest już dziecinną igraszką. Nasza znajoma wypisuje nam zezwolenie na wywóz z naszego konta za granicę owego tysiąca dolarów. Potem, pozostawiając kopię w banku, na oryginale, który my zabierzemy ze sobą i więcej go nie zwrócimy, dopisuje do owego tysiąca zero i wychodzi, że jesteśmy posiadaczami 10 tys. dolarów. Na granicy to wystarcza, bo jest pieczęć banku, jest numer konta, podpis odpowiedzialnego pracownika. Wywozimy przeto 10 tysięcy i nikomu nie przyjdzie do głowy, że coś tu jest nie tak. (Oczywiście trzeba pamiętać, by po powrocie wręczyć naszej pani z bankowego okienka jakiś dość miły drobiazg).

Jak wynika z powyższego takie nadużycie praktycznie jest nie do wykrycia. W banku wszystko się zgadza, bo jest kopia zezwolenia, a oryginału nikt nie żąda, można go po prostu zniszczyć. Mimo to pracownicy WUSW w Łodzi i z tym problemem się uporali. Udowodnili, że zezwolenia były fałszywe, że na skutek nieuczciwości pracownicy bankowej z Polski wywieziono nielegalnie spore ilości dewiz.

OD LAT 8 DO 25

Ustalenia na dziś wyglądają następująco: do Polski wwieziono globalnie sztruksu i dżinsu na sumę 1 miliona marek RFN. Znaczy to, że tyle właśnie marek wywieziono z Polski, przeważnie jako dolary USA. A ile naprawdę? Być może ustali to śledztwo, które aktualnie się toczy przeciwko 25 osobom (16 już aresztowano, 3 są poszukiwane listami gończymi — dwóch hurtowników oraz jeden mający za sobą jeszcze inne przestępstwa kryminalne — 2 osoby zostały wydzielone do odrębnego postępowania toczącego się we Wrocławiu, a 4 osoby odpowiadają z wolnej stopy. Wśród aresztowanych znajduje się obywatel RFN).

Zabezpieczono także mienie u wszystkich podejrzanych na sumę 60 milionów złotych (złoto, zagraniczne samochody, dewizy, mienie ruchome).

Kim są ci ludzie? W większości właściciele prywatnych zakładów krawieckich. Wiek: 30—35 lat. Wykształcenie: przeważnie podstawowe, najwyżej średnie. Część z nich już wchodziła w przeszłości w kolizję z prawem. Łączy ich jedno: chęć bogacenia się za wszelką cenę. Ilustracją powyższego niech będzie przykład jednego z zatrzymanych, młodego nie mającego jeszcze trzydziestki, który zaczął wznosić willę, a dowiedziawszy się, że inny z tejże paczki sztruksowej posiada u siebie saunę, kazał zaprojektować dwie i tym przelicytować swojego wspólnika. Że miał „poczucie własnej wartości" niech świadczy o tym i ten fakt, że zapraszając na uroczystość imieninową żony, przyjmował jedynie tych, którzy mogli wylegitymować się dochodami przekraczającymi milion złotych. Innych kazał nie wpuszczać do domu.

Żałosne to wszystko, smutne i głupie. Bogacąc się za wszelką cenę, zupełnie zapomnieli, że cennik w kodeksie karnym jest dość wysoki: od 8 do 25 lat więzienia. Czy było warto?

EUGENIUSZ IWANICKI

Wielki Książę Konstanty w krzywym zwierciadle

Słowa uznania należą się Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi za pracowite zgromadzenie nader licznych plotek i ploteczek, które nawarstwiały się z biegiem lat wokół postaci wielkiego księcia Konstantego. Do materiału o charakterze anegdotycznym ten i ów dziewiętnastowieczny historyk dorzucił drobne przeinaczenia, lub większe zmyślenia, zwłaszcza, że postać bohatera odbiegała od sztampy i chyba najtrafniej, jednym słowem scharakteryzował Konstantego wielki historyk polski Szymon Askenazy, określając go jako dziwadło.

Rymkiewicz traktuje materiał anegdotyczno-plotkarski jako „tworzywo historyczne", z którego formuje obrazy nie mające nic wspólnego z przeszłością, lecz nader frapujące czytelnika. Niemożliwe jest zakwalifikowanie omawianej pracy do jakiejkolwiek formy historyczno-literackiej.

Znamienne jest credo Autora wyrażone słowami: „... ale nawet jeśli istnieje jakaś prawda historyczna — co przecież wcale nie jest takie pewne — to w tym wypadku oddzielenie prawdy od fikcji, która się narodziła z fascynacji, wydaje mi się całkiem niemożliwe. Niechże się tym zresztą zajmą historycy: tacy, co wierzą w prawdę historyczną. My będziemy obcować z postacią legendarną, baśniową, mityczną; taką, którą Polacy stworzyli sobie z niejasnych jeszcze dla nas powodów, na własny użytek". (s. 37).

Autor odcina się od historyków, którzy wierzą w prawdę historyczną i kreśli sylwetki swych bohaterów po swojemu, wybierając z przekazów historycznych to, co pasuje do wątku, a jeśli tego jest zbyt mało, to stwarza własne legendy. Nie ukrywa swej postawy sceptyka-fantasty pisząc:

„Wciąż bierze mnie ochota, żeby coś zmienić, poprawić w historii, którą opowiadam. Wciąż również kusi mnie, żeby opowiedzieć nie tak jak się potoczyła, lecz tak, jak potoczyć się mogła... więc może ten, co pragnie opowiadać o historii, która się nie zdarzyła, lecz zdarzyć mogłaby, pragnie w istocie być nie opowiadaczem, lecz demiurgiem historii?" (s. 120—121).

Ambicje Rymkiewicza sięgają więc bardzo daleko; przedstawia się jako demiurg-twórca historii, traktuje poważnie zarówno to, co się zdarzyło, jak i to co wydarzyć się mogło, a więc kreśli (podaję jako przykład) także dzieje Cesarstwa pod rządami Konstantego i szereg innych wyimaginowanych sytuacji.

Podjęcie polemiki z tezami książki o Konstantym jest dla historyka niemożliwe, gdyż należałoby przeprowadzić wobec czytelnika krytykę większości materiałów, które stanowią „podstawę źródłową" pracy, a to wymagałoby napisania co najmniej dwukrotnie większej książki niż omawiana.

Jako historyk czuję się w obowiązku przestrzec czytelników przed traktowaniem „na poważnie" rozważań Rymkiewicza i posługiwaniem się jego argumentacją w czasie „sporów historycznych", które tak często wybuchają u nas w trakcie rozmów towarzyskich.

Charakterystyczne jest pomijanie przez Autora całego powojennego dorobku historiografii polskiej poświęconego Wielkiemu Księciu Konstantemu (Łepkowski, Zajewski, Bortnowski, Dutkiewicz). Z prac wydanych wcześniej korzysta on tylko z monografii o Łukasińskim pióra Askenazego i ze „Sprzysiężenia Wysockiego" — Wacława Tokarza. Sięga zresztą po te książki tylko wówczas, gdy jest to wygodne. A przecież zawarty tam obraz Konstantego odbiega od wersji podanej przez Rymkiewicza.

Przypadek czy fatum wiązało osobę Konstantego z losami Polski. W czasie wojny w obronie Konstytucji 3 Maja Stanisław August w liście do Katarzyny II proponował wyznaczenie W. Ks. Konstantego na swego następcę. Katarzyna zażądała przystąpienia króla do Konfederacji Targowickiej, a sprawę sukcesji pominęła milczeniem.

Po klęsce maciejowickiej, następca Kościuszki, gen. Tomasz Wawrzecki przedłożył ofertę obwołania wnuka imperatorowej — Konstantego królem Polski. Katarzyna i tym razem odrzuciła ofertę.

W czasie spotkania Aleksandra I z Napoleonem w Tylży (1807), cesarz Francuzów wysunął propozycję mianowania Konstantego królem Polski. Car odrzucił tę sugestię, ale Napoleon niemal demonstracyjnie wyróżniał następcę tronu w Tylży; odznaczył go Wielką Wstęgą Orderu Legii Honorowej i ofiarował szablę wysadzaną szlachetnymi kamieniami.

Zanim Wielki Książę ożenił się z Joanną Grudzińską dwukrotnie darzył żywiołową, szczerą miłością właśnie Polki. W 1800 roku zakochał się na Ukrainie w księżniczce Helenie Lubomirskiej, a w trzy lata później w Petersburgu w Janinie Czetwertyńskiej, która pełniła funkcję damy dworu. Konstanty zaczął zabiegać o rozwód, ale sprzeciwili się temu stanowczo Aleksander i matka.

Po podpisaniu pokoju paryskiego (1814) Aleksander, realizując plany powołania konstytucyjnego Królestwa Polskiego, mianował następcę tronu W. Ks. Konstantego naczelnym wodzem armii Królestwa. Ten tytuł przysługiwał mu aż do śmierci, gdyż nawet w trakcie powstania Mikołaj I nie anulował aktu nominacyjnego wydanego przez Aleksandra.

Chociaż reprezentantem i zastępcą konstytucyjnego króla w Warszawie był namiestnik Zajączek, faktycznym wielkorządcą stał się Konstanty. Po śmierci Zajączka (1826) stanowisko namiestnika było nie obsadzone, a władzę namiestniczą sprawował Wielki Książę.

Po objęciu tronu cesarstwa przez Mikołaja prawdopodobnie doszło między braćmi do ugody, na podstawie której Konstanty miał zapewnione dotychczasowe stanowisko w Królestwie, a broniąc swojej pozycji równocześnie bronił zagwarantowanych przez ustawę zasadniczą przywilejów powierzonego jego pieczy kraju. Utworzenie Królestwa Mikołaj uważał za wielki błąd starszego brata. Jednakże nie zamierzał likwidować uprawnień nadanych przez Aleksandra dopóki żył Konstanty, a kraj wykazywał pełną lojalność wobec konstytucyjnego króla. Nie można więc dziwić się, że Konstanty bezwzględnie występował i przeciwko stowarzyszeniom tajnym, i przeciwko jawnej opozycji sejmowej (Kaliszanie).

Rymkiewicz kilkakrotnie w tekście stawia znak równości między Konstantym a Nowosilcowem. A przecież było wprost przeciwnie. Senator Nowosilcow pełnił rolę donosiciela i nie ukrywał wrogości do konstytucyjnego ustroju Królestwa. Przeciwnie Konstanty — w swoim osobistym interesie pragnął utrzymać dzieło Kongresu Wiedeńskiego i eksperyment Aleksandra.

Na krótko przed wybuchem powstania, kiedy już rozpoczęło się śledztwo przeciwko aresztowanym studentom i podchorążym, usiłował nie nadawać sprawie rozgłosu i ograniczyć się do surowego ukarania, ale tylko nielicznej grupy osób, uważanych za przywódców przygotowywanej „burdy".

Mylił się Konstanty, jeśli chodzi o ocenę nastrojów nie tylko młodzieży, ale i większości posesjonatów. Pragnienie niepodległości państwowej, choć nierealne w ówczesnym układzie politycznym, było niemal powszechne wśród szlachty i większości mieszczaństwa, które uważało się za Polaków. Każde wystąpienie przeciwko wojnie o niepodległość uważano za zdradę narodową i chyba dlatego powstanie stało się niemal powszechne, jeśli chodzi o te warstwy i grupy, które miały ukształtowane poczucie odrębności narodowej. Natomiast masa chłopska była politycznie bierna i można ją było pozyskać tylko poprzez odczuwalne dla chłopa reformy.

Po wybuchu powstania Konstanty nie zezwolił na interwencję oddziałów rosyjskich stacjonujących w Warszawie. Wiedział bowiem, że oznacza ona przekreślenie dotychczasowych norm ustrojowych Królestwa. Zdawał sobie całkowicie sprawę ze złudy rokowań, gdyż konstytucyjny król, a równocześnie samowładny car nie mogą prowadzić pertraktacji ze zbuntowanymi poddanymi.

W korespondencji z Mikołajem niemal w tonie błagalnym prosił Konstanty o „okazanie wielkoduszności i miłosierdzia monarszego".

Literatura pamietnikarska zarówno polska, jak i rosyjska bardzo surowo oceniła działalność Wielkiego Księcia. Zwłaszcza sprawcy nocy listopadowej w jego postępowaniu szukali usprawiedliwienia dla rozpaczliwego kroku, jakim było powstanie. Dla Rosjan był on nieudolnym wielkorządcą, który okazywał Polakom zbyt wiele zaufania, a w decydującym momencie nie zdobył się na energiczne działanie; pozwolił powstaniu okrzepnąć i zmusił cara do prowadzenia uciążliwej wojny.

Książka Rymkiewicza przedstawia fałszywy, egocentryczny obraz i epoki, i głównych bohaterów. Autor dopatruje się w działaniach współczesnych Polaków „przymiotów i wad ducha polskiego", wkracza więc na teren rozważań irracjonalnych, mających niewiele wspólnego z obrazem przeszłości, którą stara się opisać.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Jarosław Marek Rymkiewicz, Wielki Książę z dodaniem rozważań o istocie i przymiotach ducha polskiego, Warszawa 1983, ss. 234.

OBSZARY I NARZĘDZIA POLITYKI ANTYMONOPOLOWEJ

Do podstawowych działań organizacji gospodarczych w ramach ich polityki monopolowej należą: tendencje do tworzenia monopolistycznej struktury rynków, praktyki ograniczające konkurencję (praktyki restrykcyjne) i kształtowanie cen.

Strukturę rynków determinują zasady tworzenia, łączenia, rozwoju, wykupywania, podziału i likwidacji przedsiębiorstw. Stanowią one najistotniejszy i najskuteczniejszy obszar działań antymonopolowych ze względu na: po pierwsze, fakt, że w systemie gospodarki socjalistycznej struktura rynków stanowi ważny obszar polityki państwowej i po wtóre, że oddziaływanie na strukturę rynków podcina korzenie praktyk monopolistycznych. W gospodarce centralnie kierowanej skuteczność zwalczania monopoli zależy przede wszystkim od rozwiązań w skali makroekonomicznej, gdyż szczególnie silne źródło tendencji monopolistycznych bije w ministerstwach resortowych, które poprzez swoje decyzje mogą kreować i kreują struktury wysoce skoncentrowane.

Polityka kształtowania struktury rynku musi opierać się na elastycznych regułach odzwierciedlających specyficzne cechy poszczególnych dziedzin gospodarki. Ochronę konkurencji należy stosować w tych gałęziach, gdzie istnienie skoncentrowanych struktur nie może zagwarantować poprawy efektywności gospodarowania (zwłaszcza w przemysłach rynkowych). Inną politykę należy zaś lansować w gałęziach i układach, np. pionowych, gdzie wysoki stopień koncentracji produkcji ma uzasadnienie ekonomiczne. W tych dziedzinach sensowne jest utrzymywanie monopoli, a nawet ich ochrona (np. w energetyce, hutnictwie).

Wśród różnorodnych narzędzi polityki antymonopolowej odnoszącej się do kształtowania struktury rynków wyróżniamy narzędzia dyrektywne i niedyrektywne (pośrednie).

Narzędzia dyrektywne obejmują następujące rozwiązania:

— ustawowe prawo sprzeciwu organu państwowego wobec projektów łączenia przedsiębiorstw, tworzenia przedsiębiorstw nowych, wykupu przedsiębiorstw oraz tworzenia zrzeszeń;

— ustawowe prawo nakazywania podziału przedsiębiorstwa i rozwiązywania zrzeszenia.

Stosowanie tych narzędzi wymaga uwzględnienia ewentualnych negatywnych skutków, które mogą wynikać z ograniczenia samodzielności przedsiębiorstwa oraz nadmiernej dekoncentracji produkcji w niektórych dziedzinach gospodarki.

Nie negując znaczenia narzędzi dyrektywnych w oddziaływaniu na strukturę rynków należy jednak walor większej skuteczności przypisać narzędziom niedyrektywnym. W grupie tych narzędzi najważniejszą rolę odgrywają następujące:

— dążenie do zrównoważenia gospodarki i systematyczne odchodzenie od reliktów systemu nakazowo-rozdzielczego. Dzięki temu ułatwiony będzie dostęp innym przedsiębiorstwom do gałęzi i osłabieniu ulegnie odgórna tendencja do monopolizacji;

— uspołecznienie nadzoru nad przedsiębiorstwami polegające na przekazaniu uprawnień organu założycielskiego w zakresie nadzoru radzie nadzorczej. Pozwoliłoby to na zmianę stosunków między przedsiębiorstwami a ich organami założycielskimi, które, w tym zwłaszcza ministerstwa gałęziowe, są silnym źródłem tendencji monopolizacyjnych;

— przebudowa systemu bankowego polegająca na komercjalizacji banków depozytowych i osłabieniu monopolistycznej ze wszech miar pozycji banków wobec przedsiębiorstw;

— anulowanie różnorakich ograniczeń formalnych w dostępie do poszczególnych gałęzi wytwarzania i kształtowaniu przez przedsiębiorstwa przedmiotu swojej działalności. Zasada ta nie może dotyczyć niektórych gałęzi i rodzajów działalności wymagających ochrony prawem monopolu (np. gałęzi infrastruktury technicznej);

— stymulowanie proinnowacyjnego nastawienia w działalności przedsiębiorstw, zwłaszcza w zakresie kreowania nowych produktów. Należy pamiętać, że działania na tej płaszczyźnie mogą służyć zarówno destabilizacji struktur monopolistycznych, jak i w pewnych warunkach wzmocnieniu pozycji rynkowej producenta nowych wyrobów dopóty, dopóki dane innowacje nie ulegną upowszechnieniu.

Klasycznymi przejawami monopolistycznych praktyk restrykcyjnych są

POROZUMIENIA CENOWE I PODZIAŁ RYNKU

Praktyki restrykcyjne podejmowane są w celu uzyskania kontroli nad rynkiem bez pełnego monopolu organizacyjnego oraz wyeliminowania konkurentów; są zatem charakterystyczne dla struktur oligopolistycznych.

Podstawowy rodzaj narzędzi przeciwdziałania owym praktykom stanowią środki dyrektywne. Wśród nich najistotniejszą rolę odgrywa ustawowy zakaz porozumień monopolistycznych dotyczących ustalania cen i podziału rynku, a także porozumień obejmujących warunki sprzedaży i zakupu, wielkość produkcji, tworzenia barier wchodzenia na rynek przez inne podmioty. Zakaz praktyk restrykcyjnych powinien objąć duże przedsiębiorstwa, zrzeszenia i inne zgrupowania przedsiębiorstw zarówno dobrowolne, jak i obligatoryjne. W świetle dotychczasowych negatywnych doświadczeń wynikających z funkcjonowania młodych zrzeszeń należałoby postawić tamę praktykom restrykcyjnym w postaci odmowy zatwierdzania aktu założycielskiego zrzeszenia wprowadzającego do przedmiotu swej działalności eliminowanie konkurencji. Działalność restrykcyjna zrzeszeń sprzeczna z zatwierdzonym statutem stanowiłaby pogwałcenie prawa i podlegałaby ściganiu oraz sankcjom.

Istotne znaczenie w zapobieganiu praktykom restrykcyjnym mają również środki natury wychowawczej. Jednym z elementów ekonomicznej edukacji społeczeństwa można uczynić wyjaśnienie szkodliwości owych praktyk. Organizacje społeczno-polityczne oraz środki komunikacji społecznej powinny aktywnie uczestniczyć w ujawnianiu i krytyce nadużyć monopolistycznych. Byłby to swoisty front społecznej obrony przed zagrożeniami „społecznych" monopoli.

Obserwacja życia gospodarczego dowodzi, że regulowanie struktur podmiotowych oraz zwalczanie praktyk restrykcyjnych nie zawsze skutecznie bronią interes społeczny przed szkodliwym działaniem monopoli. W niektórych gałęziach opanowanych, z przyczyn uzasadnionych przesłankami technologicznymi i ekonomicznymi, przez monopole i oligopole zwalczanie praktyk restrykcyjnych wykazuje niedostateczną skuteczność. Dlatego też niezbędne jest wsparcie tych działań przy pomocy narzędzi cenowych; ściślej mówiąc przy pomocy ingerencji dyrektywnej państwa w cenotwórstwo.

Fundamentalną zasadą owej ingerencji jest elastyczność w stosowaniu dyrektywnych rozstrzygnięć cenowych, uwarunkowana charakterem struktury rynku (monopol pełny czy digopol). Ingerencja w cenotwórstwo przysparza nie tylko pozytywnych, ale i negatywnych skutków. Dyrektywne oddziaływanie na ceny może być przyczyną utraty przez nie atrybutu giętkości, a więc zdolności do równoważenia rynków cząstkowych. Ponadto, ze względu na bariery metodologiczne ingerencja dyrektywna nie może rozwiązać dylematu nieparametryczności cen spowodowanej przez monopolizację. Wynikają z tego ważne implikacje dla zasady samofinansowania przedsiębiorstw, która przestaje pełnić swoje proefektywnościowe funkcje w warunkach manipulowalności cen.

W zależności od cech reprezentowanych przez określone układy monopolistyczne można stosować różne odmiany ingerencji cenowej. W niektórych układach należy stosować ceny urzędowe (monopol pełny), w innych zaś (oligopole) ceny regulowane bądź kombinację cen urzędowych i regulowanych. Wskazane jest również posługiwanie się w wybranych dziedzinach opanowanych przez oligopole ingerencją cenową ograniczoną do jednego lub dwóch przedsiębiorstw, naśladując mechanizm przywództwa cenowego (leadership price).

W wyjątkowych przypadkach można sięgnąć do niedyrektywnego oddziaływania na cenotwórstwo w formie tzw. kontrspekulacji, tzn. systemu państwowych rezerw, zakupów i sprzedaży interwencyjnej.

Przedstawione tu dyrektywne narzędzia polityki antymonopolowej muszą otrzymać postać regulacji ustawowej wyposażonej w odpowiednie sankcje nakładane na podmioty gospodarcze łamiące określone zakazy. Dochodzenie roszczeń z tytułu szkód spowodowanych przez nielegalne praktyki monopolistyczne powinno przysługiwać zarówno przedsiębiorstwom, organizacjom społecznym, jak i obywatelom.

Realizacja polityki antymonopolowej i egzekwowanie prawa antymonopolowego wymagają powołania specjalnej instytucji wyposażonej w odpowiednie kompetencje i posiadającej wysoki prestiż społeczny. Warunkom tym odpowiadałby np.

URZĄD ANTYMONOPOLOWY

znajdujący się pod pieczą Sejmu, który mianowałby dyrektora tego urzędu. A zatem byłby to urząd niezależny od organów administracji państwowej. Argumentem wspierającym tę propozycję jest fakt, że zasadniczym posłannictwem polityki antymonopolowej pozostaje zapobieganie odgórnym tendencjom monopolizacyjnym forsowanym przez ministerstwa gałęziowe.

Opracowanie skutecznego i wewnętrznie spójnego prawa antymonopolowego jest sztuką trudną, tym bardziej w gospodarce, która stawia pierwsze kroki na tym obszarze. Uchwalenie przez Sejm ustawy antymonopolowej nie rozwiąże — jak za dotknięciem magicznej różdżki — problemu szkodliwości monopoli. Ustawodawstwo antymonopolowe musi być wkomponowane w politykę ekonomiczną zorientowaną na przekształcenia strukturalne. Tylko w tym kontekście prawo antymonopolowe może przynieść liczące się pozytywne skutki na polu przeciwdziałania niepożądanym tendencjom monopolizacyjnym.

Kandydaci na kandydatów byli zadowoleni. Zapowiadało się zebranie — jeśli nie udane, bo komuż prorokować — to na pewno liczne, co nie zawsze miało miejsce. Sala jednej ze śródmiejskich szkół podstawowych zapełniła się około setką ludzi, nie licząc ze trzydzieści kandydatów, przedstawicieli urzędów i czynnika politycznego. Punktualnie o godz. 17.00 przewodniczący obwodowego kolegium wyborczego zagaił: witam licznie zebranych obywateli wyborców, oto skład kolegium wyborczego (tu nazwiska), witam przedstawiciela śródmiejskiego PRON i oddaję mu głos.

Przedstawiciel trzyma mowę o roli, funkcji i znaczeniu PRON, gdy wtem podnosi się jeden z zebranych, tak na oko trzydziestolatek myślący, który ma pytanie w kwestii formalnej, a mianowicie on się chce dowiedzieć kiedy zakończy się wstęp i przejdziemy do zasadniczego tematu zebrania... Skonfudowany przedstawiciel obiecał, że już kończy i natychmiast przystępuje do prezentacji kandydatów na kandydatów. Co też uczynił.

Setka ludzi milcząco wysłuchała składu listy wojewódzkiej (obecnych trzech), milcząco także zaaprobowała wstęp przewodniczącego, by prezentację programu wyborczego kandydatów powiązać z dyskusją, pytaniami i wnioskami, teraz zaś jedynie dokonać prezentacji personalnej. W połowie odczytywania listy kandydatów na radnych do dzielnicy ponownie wstaje myślący trzydziestolatek i niecierpliwie powtarza swe pytanie, w kwestii formalnej — on nadal chce wiedzieć kiedy przejdziemy ad rem.

Zapanowała niejaka konsternacja, nerwowe zaś szepty zdawały się wskazywać, że istnieje domniemanie jakobyśmy byli świadkami niepoważnej prowokacji politycznej. Wiszącą w powietrzu niepewność wyjaśnił przewodniczący, komunikując, że oto właśnie jesteśmy u samego sedna celu niniejszego zebrania. Młody człowiek nie czuł się usatysfakcjonowany wyjaśnieniem, jak bowiem oznajmił — wezwano ich tu na wywiadówkę, celem zapoznania się z dorobkiem naukowym pociech, on zaś — znaczy tatuś pociechy — niecierpliwie oczekuje przejścia do tematu, nie ma bowiem czasu na zbyciu. Zebrani odetchnęli z ulgą — więc nie prowokacja, lecz zwyczajna omyłka! Przewodniczący grzecznie wyjaśnił, że znajdujemy się na spotkaniu przedwyborczym, nie zaś na wywiadówce szkolnej ...choć też będziemy stawiać stopnie — zażartował... Rzeczona wywiadówka odbywa się zapewne w sąsiedniej sali i tylko brak właściwej informacji jest przyczyną pomyłki.

Na takie dictum z krzeseł podniosło się sporo osób i skierowało się do drzwi — wszystko wprowadzeni w błąd rodzice pociech, którzy nie przyszli bynajmniej oglądać przyszłych radnych, lecz oceny w dzienniczkach. Na sali pozostała niewielka grupa wyborców, przeważnie w wieku emerytalnym oraz zupełnie oszołomiony czynnik polityczny wraz z kandydatami. Zebranie potoczyło się dalej w atmosferze dalekiej od entuzjazmu.

Nikt nie twierdzi, że takie przypadki są częste, ale jeśli w ogóle się zdarzają, to znaczy, że występują

ZGRZYTY ORGANIZACYJNE.

A nie ma prawa ich być, bo kampania to nie przelewki. *KAZIMIERZ BUSIEWICZ* jest o tym przekonany, bo choć kandyduje po raz pierwszy, ale za to ma za sobą trzydzieści lat pracy w szkolnictwie wojskowym i doskonale wie, co to znaczy dyscyplina i dopięta na ostatni guzik organizacja. Starszy pan z miniaturką Polonia Restituta w klapie spokojnie systematyzuje swe spostrzeżenia:

— *Po pierwsze — czas. 70 dni na kampanię — licząc od dnia ukonstytuowania się Ogólnokrajowego Kolegium Wyborczego i Państwowej Komisji Wyborczej do 17 czerwca — to jest stanowczo za mało nawet przy starej ordynacji, a cóż dopiero, gdy wprowadza się nową.*

Wdrażanie rzeczy nowych to jest sztuka nie byle jaka. Najpierw trzeba przygotować grunt. Czyli przeprowadzić wielką i bardzo solidną kampanię wyjaśniającą zasady nowej ordynacji. Tu nie obowiązuje zasada, że czas to pieniądz. Im więcej czasu przeznaczy się na zaoranie pola i nawożenie, tym da ono lepszy plon.

To całkiem jak w szkole — pan Busiewicz odwołuje się do swego pedagogicznego doświadczenia — *jak się uczniowi nie wytłumaczy zawiłej kwestii tak, by naprawdę zrozumiał, stwarza mu się barierę hamującą dalszy postęp wiedzy. Tu mamy do czynienia ze skomplikowanym zjawiskiem świadomości społecznej, a zwłaszcza tej jej części, którą nazywamy wiedzą i kulturą polityczną. Nawyki i postawy społeczne formują się długo i nie do końca możemy panować nad czynnikami warunkującymi kierunek rozwoju. Jeszcze dłużej trwa przebudowa postaw, zmiana nawyków. Nowe prawo wyborcze, by stało się integralną częścią myślenia społecznego, musi być dobrze znane, zaakceptowane, uznane za swoje. Po wielu rozmowach z wyborcami, po kilku już spotkaniach konsultacyjnych, wnioski nie są zachwycające. Sporo ludzi w ogóle nie zna nowego prawa — bywa, że i kandydaci, a nawet członkowie kolegiów wyborczych nie mogą się popisać świetną jego znajomością. Ja rozumiem przecież, że nie od razu, że trzeba czasu, ale właśnie tego czasu się skąpi.*

Druga rzecz — dla mnie niepojęta — to fatalny stan reklamy... tak, właśnie reklamy, a nie tylko propagandy politycznej... nie wstydźmy się tego słowa, jako „nie licującego z godnością"... Z godnością aktu wyborczego nie licuje raczej bezsensowna „oszczędność" na informacji, zwłaszcza wizualnej. Poza informacją, że tu znajduje się siedziba komisji wyborczej, poza trzema może sytuacjami nie spotkałem rzetelnej, widocznej dla wszystkich informacji wizualnej o tym, że dnia tego i tego, tu i tu odbędzie się spotkanie z kandydatami, środowiskowe, obwodowe czy inne. A tak — bywa, że najbliżsi sąsiedzi nie wiedzą o zebraniu. Brakuje zachęty, tej zupełnie zwykłej zachęty dla społeczeństwa... wejdź, może to zebranie będzie dotyczyć spraw tobie najbliższych...

Przyczyny tego widzę dwie: najpierw — ciąży na nas schemat myślenia, że nie wypada reklamować treści i zdarzeń politycznych. Drugie — że głupio oszczędzamy tam, gdzie oszczędność przynosi tylko straty lub daje mniejsze zyski. Od kiedyż to bogata, wielopłaszczyznowa propaganda i reklama są zbędnym wydatkiem? Tu włożone pieniądze procentują szybciej w lepszej orientacji społeczeństwa, w szybszej adaptacji nowego prawa w świadomości — a w efekcie — w pełniejszym zaktywizowaniu mas społecznych. A to jest zysk polityczny znacznie przewyższający wartością pieniądze wydane na pierwszorzędną informację i propagandę.

Jest jeszcze i trzecia przyczyna — niedowład organizacyjny, dobrze nam znajome zjawisko. Zadzwoniłem niedawno do Komitetu śródmiejskiego partii i pytam: towarzysze, czy was nie obchodzi stan organizacji kampanii? Czy my — partyjni nie ponosimy odpowiedzialności za jakość? Na co usłyszałem, że od strony organizacyjnej zajmuje się tym PRON i on odpowiada za przebieg. To jak to tak? Scedowaliśmy robotę na PRON i co? Możemy siedzieć z założonymi rękami? W PRON-ie mówią, że jeszcze odpowiadają obwodowe OKON-y, tam znowu, że takie samorządy osiedlowe mają coś do powiedzenia i tak trwa ta spychologia, brak koordynacji i zazębiania się rozproszonych wysiłków.

JOLANTA WROŃSKA

Czy na sali jest władza?

Panowie! Tak nie można! To jest przecież jeden z najważniejszych faktów naszego życia publicznego ...no, nakrytykowałem się, a przecież byłbym niesprawiedliwy twierdząc, że tak się zdarzało wszędzie...

Jedna z kandydatek do śródmiejskiej Rady Narodowej, prosi o anonimowość i zaraz wytłumaczy dlaczego. Otóż ona mieszka w środowisku, mówiąc oględnie, nie nazbyt kochającym ustrój i zwyczajnie obawia się szykan. Słucha jednak tego, co mówią ludzie prywatnie, między sobą, po kolejkach i rodzinnych spotkaniach, uważa też, że nie należy lekceważyć ludzkich strachów, nawet jeśli ich źródła wydają się nam irracjonalne czy zwyczajnie głupie.

A ludzie mówią, że wiarygodność wyborów byłaby większa, gdyby w ordynacji wyraźnie stało, że głos bez skreśleń uważa się za nieważny oraz gdyby kandydaci z listy wojewódzkiej mieli obowiązkowo wyznaczane spotkania wyborcze, na które muszą przyjść, bo tak jak jest, z dowolnym wyborem, nie jest dobrze. Na jedno spotkanie przyjdą akurat wszysty z listy wojewódzkiej, bo temat lub środowisko ich interesuje, albo tam właśnie zależy im na zdobyciu punktów. A na inne zebranie nie trafi z takiej listy nikt.

Ludzie mają prawo obejrzeć sobie tych, których nie wyłoniono w normalnym trybie. Ludzie się boją, że wybór na radnych tak wysokiego szczebla osób z aparatu administracji państwowej i gospodarczej, różnych prezesów i dyrektorów, dodatkowo wzmocni ich pozycję w stosunku do szarego obywatela. Stworzy jakby dodatkową tarczę pozwalającą na bezkarność — nie dość, że decydent to jeszcze radny z immunitetem. I czyich interesów będzie taki bronił? Petenta czy urzędu? Do kogo mu będzie bliżej?

Stroskana kandydatka na kandydatkę sądzi także, że bardzo niepokojącym objawem jest incydentalna zaledwie obecność na zebraniach konsultacyjnych przedstawicieli organizacji i ciał rekomendujących.

— *Chyba tylko raz sama byłam i słyszałam o dwóch czy trzech zebraniach* — mówi — *na które przyszli rekomendujący i przy ludziach przedstawili swych wybrańców, coś o nich powiedzieli, podparli na duchu. Co tu mówić — uważam, że obecność rekomendujących na zebraniach jest ich psim obowiązkiem, w końcu to oni wysuwają kandydata i co? Potem zostawiają go samemu sobie, dalej ich nie obchodzi co się z człowiekiem dzieje? Nie obchodzi ich, czy zdaniem wyborców człowiek jest dobrze trafiony? A wie pani, co mnie najbardziej rozzłościło?* — Pani Irena aż mnie chusteczkę w palcach — *to, że jeden z tych sceptycznie wątpiących w sens i wiarygodność wyborów powiedział mi tak: Ludzie i tak się tym nie interesują, nie wierzą, że wybory mają jakiś sens, nie wierzą, że oni przez to będą mogli na coś wpływać, o czymś decydować. Ale pójdą do urn... bo nie chcą być szykanowani za bojkot i chcieliby uniknąć kłopotów z otrzymaniem paszportu... pani rozumie? Co mam nie rozumieć? Sieczka w głowach i sensacje z magla. Ale to też jest część myślenia potocznego i lekceważyć tego nie wolno. Trzeba ciężko pracować na własny autorytet, niekwestionowany mir, zanim wypleni się z mózgów takie brednie.*

Ze sprawozdawczego obowiązku uzupełnię ten wykaz niedociągnięć. Na spotkaniu przedwyborczym w klubie „Oaza" na Retkini nie zjawił się ani jeden przedstawiciel samorządu osiedlowego, ani jeden z tegoż klubu osiedlowego... oni tylko udostępnili lokal, reszta ich nie interesuje. Co więcej — na zebranie nie stawił się nikt z właściwego kolegium wyborczego. Ani jeden! Po prostu nie przyszli, nie zawiadamiając nikogo o przyczynach. Ratunkowo zgodził się poprowadzić zebranie pan ZAJĄC, przedstawiciel Rady Dzielnicowej PRON—Polesie i wiceprzewodniczący Dzielnicowego Kolegium Wyborczego. Z przedstawicieli urzędu stawiła się jedynie protokolantka. Obiecany naczelnik Baliński nie przybył, natomiast w kwadrans po rozpoczęciu zebrania wpadła spóźniona wicenaczelnik, pani Tropisz.

WSZYSTKICH ŁODZIAN NAJWIĘKSZĄ JEST TROSKĄ,

zmieścić wszystko na ulicę Piotrkowską... Zagaił swe wystąpienie cytatem ze Sztaudyngera jeden z — jak się wyraził — nielicznych na tym zebraniu wyborców. I fakt. Na środowiskowe zebranie przedwyborcze służby zdrowia dzielnicy Polesie stawił się komplet decydentów, w tej liczbie naczelnik Baliński, dr Kuźmicki z Rady Dzielnicowej PRON, liczni reprezentanci ustępującej Rady Dzielnicowej oraz spora gromadka kandydatów na kandydatów rad obu szczebli. Wyborców było jakby trochę mało, ale za to ci, co przyszli, wiedzieli po co przyszli.

Bo tak: jakie są warunki pracy służby zdrowia — każdy widzi. Złudzeń co do przyszłych możliwości inwestycyjnych nie ma nikt. Jest źle i lepiej nie będzie. Uratować nas mogą — a i to w krótkiej perspektywie — tylko remonty i przeróbki. Ale co to szkodzi przemeblować nieco nasze prognozowanie — co w kampanii wyborczej nazywamy tworzeniem i urealnianiem programu wyborczego. Na przykład taki pomysł szpitali dzielnicowych. Z prawdziwego zdarzenia i dla mieszkańców dzielnicy.

Nikt nie kwestionuje potrzeby budowania wielkich szpitali specjalistycznych, ale te nieduże, dzielnicowe — dobra rzecz. Jeśli w Łodzi ma przybyć 1600 łóżek w Centrum Klinicznym AM, 1000 w Szpitalu Matki Polki i 1000 w szpitalu dla przewlekle chorych — to nie jest mało. Ale co będzie, jeśli do tego czasu rozsypią się zmurszałe rudery starych łódzkich szpitali? W ogóle pomysł na „rozpączkowanie" Łodzi, stworzenie naturalnych dzielnicowych śródmieść, niegromadzenie wszystkiego na Piotrkowskiej nie jest zły, tyle że... możliwości mamy skąpe, potrzeby ogromne, zaległości jeszcze większe, a życie idzie ostro do przodu...

Może więc program wyborczy polegać ma nie na wyliczaniu potrzebnych inwestycji, remontów, kosztów ogromnych na rozmaite zamierzenia, lecz na — zastanawia się kandydat do Dzielnicowej Rady poleskiej, doc. *CHOMICZEWSKI* — bezinwestycyjnej reformie myślenia? To akurat kosztuje najmniej. Na przykład dobra organizacja pracy, tępienie marnotrawstwa, usprawnianie życia w rzeczach drobnych a dotkliwie męczących — któż o tym nie słyszał? Bębni się w kółko, że musimy, powinniśmy, mamy zamiar itd., a dalej nie pamiętamy, że małe potrafi ciężko zatruć życie. Sprawa — dajmy na to szaletów publicznych, powinna być problemem omalże ustroju. To co jest, nie ma nic wspólnego z higieną, ochroną zdrowia oraz ekologią. Pewnie, gardłowo ważne jest też usytuowanie zakładów azbestowych czy mglistego na razie projektu EC-5, jak również zakończenie budowy grupowej oczyszczalni ścieków. Ale nie mniej ważny, za to w zasięgu ręki i możliwości, jest milion spraw drobnych, gdzie wystarczy dobra wola — a jak trzeba to i dębowa pałka przymusu — oraz dobry kierunek myślenia. Czyż bowiem za program wyborczy można uznać litanię potrzeb, spraw zawalonych oraz wykaz planów inwestycyjno-remontowych? To jest program dla administracji. Radni są od tego, by programować, harmonizować lokalne z ogólnym i w ogóle przede wszystkim dalej niż czas kampanii czy kadencji.

Docent Chomiczewski rozsądnie zauważył też, że taniej wychodzi profilaktyka niż opanowywanie skutków. Po co na przykład wydawać nieskończone miliardy na budowę szpitali, ośrodków rehabilitacji, opieki zdrowotnej, zapewniać renty, zapomogi i tysiąc innych spraw, jeśli dużo taniej wychodzi inwestować w baseny, sport i rekreację, nauczycieli wf, sale gimnastyczne — słowem w to, co ogranicza liczbę i maksymalnie usprawnia tych, którym stan zdrowia każe pozostawać na utrzymaniu reszty społeczeństwa. Lepiej chyba raz wreszcie postawić na nogi medycynę szkolną — tę kulejącą kończynę służby zdrowia — niż bez końca hodować cherlawe pokolenia z wadami postawy, mowy czy wzroku. Paru wyborców i kandydatów zgodziło się z propozycją programową rangi makro, by za probierze sprawności i właściwej polityki państwa uznać umiejętności zapobiegania raczej, niż opanowywania skutków zła już poczętego.

Ta ostatnia dyrektywa zdaje się być głównym punktem programu wyborczego nie tylko dla dzielnicy, całej Łodzi, ale szerzej — dla Polski. Natłok potrzeb i spraw lokalnych musi być zharmonizowany z tym co na dalej i dłużej, z tym co generalne. Większość zaś przeglądanych programowych propozycji nosi na sobie znamienne piętno czasu. Lekko nie jest, bogaci nie jesteśmy, być dziś radnym to ciężki kawałek chleba, ale — nie dajmy się zwariować! Nie można bezradnie kwitować ogromu zadań do wykonania „złożoną sytuacją", obiektywnymi trudnościami i tym podobnymi zasłonami.

Koń jaki jest — każdy widzi i doprawdy nie sztuka rozgrzeszać się siłą wyższą. Sztuka — i tej mamy prawo wymagać — szukać rozwiązań tkwiących w nieschematycznym myśleniu, w odwadze podejmowania działań bezprecedensowych, wychodzących poza zaklęty krąg niemocy, obiektywnych trudności i zwyczajnego wygodnictwa, tumiwisizmu i trywialnego strachu przed odpowiedzialnością. Wielkie zadanie burzenia marazmu, arogancji stoi właśnie przed radnymi,

BO NA TO KOZA ROGI MA

żeby bodła. Radny musi mieć: niezniszczalną energię, żelazne zdrowie, wytrzymałość, poczucie humoru. Nadto musi mieć oczy dookoła głowy i talent detektywa.

Radny to jest miecz na biurokrację i urzędy. Po to jest, by aparat wykonawczy nie czuł się bezkarny. Dwoje młodych kandydatów do bałuckiej Rady Narodowej dzieli się swymi refleksjami ze spotkań wyborczych i sporego już doświadczenia w pracy samorządu osiedlowego. Pani Ewa na przykład twierdzi, że radny nie może być cichy i pokornego serca. Bierny radny jest znakomitą zasłoną dymną dla rozpanoszonych biurokratów. Im się nic nie stanie, a radny zbierze baty od rozgoryczonych bezsilnością ludzi wojujących bez końca z molochem urzędu. Bezczelność, pierwszorzędna znajomość obowiązujących przepisów, znakomita orientacja w sprawach ważnych dla własnych wyborców i nieskończona wiara, że jednak można, jeśli się chce — to kryteria kwalifikujące dobrego radnego.

Pan Marek, sanitariusz z zawodu i społecznik z potrzeby serca uważa, że czuć bluesa to jeszcze mało, trzeba go umieć zagrać, czyli — wiedzieć nie tylko co, ale i jak zabrać się do rzeczy.

Bo na przykład sprawa koordynacji i komplementarności działań różnych organizacji, ogniw i ciał społecznych. Są niby podstawowe ogniwa PRON-u, są OKON-y, terenowe ogniwa partii politycznych, rozmaite samorządy mieszkańców — a synchronizacji między nimi zbyt często brakuje. Wszyscy chcą się wykazać własną aktywnością, podejmują przeróżne działania i... rozpraszają siły i środki powielając nierzadko swą robotę. A ileż sporów kompetencyjnych, ile pretensji do wyłączności reprezentowania, ważności? I po co to? Kiedy jak przychodzi co do czego, to na gnuśną, czy arogancką administrację osiedla nie ma silnych. Nijak nie da się przymusić do zrobienia studzienki odwodnienia i uwolnienia ludzi od koszmaru zalanych latami piwnic. Nie da się przepchać rzeczy tak prostej, jak uporządkowanie terenów wokół bloków. A wystarczyłby spychacz na jeden dzień i trochę wyobraźni. Przecież ludzie sami pomogą, jeśli widzą, że zarządcy się starają. Tak niewiele trzeba, by wyzwolić w ludziach chęć działania i tak mało i głupio wystarczy coś spaprać, by się ludziom odechciało — pan Marek mógłby o tym do rana, bo poza samorządem osiedlowym działa także w harcerstwie i z obu łączek ma takie kwiatki, że głowa puchnie.

Oboje kandydaci mają też, tak już bardzo prywatnie, inną wątpliwość. Czy mianowicie człowiek znany w swym środowisku ze swej pasji, bezpardonowego nadeptywania na odcisk różnym świętym krowom administracyjnym, czy taki człowiek przejdzie na liście kandydatów? Jeśli bowiem o ostatecznym składzie list kandydatów na radnych, tych, co staną w szranki 17 czerwca, decydować będą sformalizowane struktury, w których uczestniczą reprezentanci aparatu administracyjnego, to czy oni dobrowolnie ukręcą sobie bicz na własną głowę? Jaka jest gwarancja, że kandydat — podskakiewicz nie zostanie wyeliminowany? Kryterium „przydatności dla pracy przyszłej rady narodowej, kwalifikacji i aktywnej postawy obywatelskiej" zmienia swą treść w zależności od tego, kto to kryterium ustala i kto nim operuje.

Czy dobrowolny hodowca wrzodów i nerwic, jakim jest radny, to jest partner dla „władzy" czyli aparatu wykonawczego, czy też winien być raczej kontrolerem, stale patrzącym na ręce tych, którzy mają pełnić funkcję służebną wobec społeczeństwa i jego reprezentantów? Ta wątpliwość pojawiała się często w rozmowach z kandydującymi. Wciąż bowiem nie do końca precyzyjnie rozumiemy dwoistość roli i funkcji radnego — raz — jako przedstawiciela społeczeństwa, dwa — jako reprezentanta władzy ludowej. Jeśli konstytucyjna zasada ludowładztwa ma mieć swą pełną treść, wówczas usytuowanie administracji wykonawczej wydaje się być zbyt niezależne od systemu kontroli społecznej.

Zresztą — po cóż zaraz sięgać aż w tak wysokie rejony. A bliżej życia rzecz wygląda tak: radny jest potrzebny po to, by szary obywatel, niebronny ani sprawowaną funkcją zawodową czy społeczną, ani też liczącym się autorytetem moralnym — miał swój oręż w walce z biurokracją, głupotą, bezmyślnością i lekceważeniem.

— *Pojedynczy człowiek z urzędem wygrywa rzadko. Pojedynczy radny także* — dodaje zaraz pani Ewa. — *Jeśli nie stoi za nim mur jego wyborców, immunitet oraz jego własna wiara w wygraną — to nie ma szans. Biurokracja zawsze ma na podorędziu niezwykle sprawną tarczę... trudną sytuację, ograniczone możliwości, słowem obiektywne trudności.*

— *I jeszcze taka sprawa* — pan Marek boi się o tym zapomnieć — *radny musi być niezależny i nieprzekupny. Tak w sensie materialnym, jak i moralnym. Po prostu nie może się wplątać w żadne układy z decydentami, bo wtedy przepadł. Jego siłą może być tylko to, że stoi z zewnątrz. Przecież radny ma w ręku ostry miecz — to według nowej ustawy o radach narodowych nazywa się prawem usunięcia ze stanowiska niewłaściwego urzędnika, ale.. decyzje wykonawcze ma w swym ręku nie radny, lecz aparat — groźna może być więc próba „spacyfikowania" poprzez obietnice, czy nawet rzucenie jakiegoś kąska zaspokajającego spokój sumienia.*

Dla radnego spokój sumienia — to śmierć. Zawsze musi mu towarzyszyć niepokój i świadomość rzeczy jeszcze nie zrobionych. Co zresztą ukrywać — administracja okropnie nie lubi sprawnych samorządów, dociekliwych kontrolerów „z ramienia społecznego", a już najgorzej takich, którym udało się jednak przebić mur niemocy i zrobić coś konkretnego. Konkretny rezultat osiągnięty tam, gdzie administratorzy widzieli tylko niemożliwość, podważa rację istnienia skostniałych struktur biurokratycznych.

I to właśnie jest najsilniejszą bronią reprezentantów społeczeństwa. Z drugiej strony — radny to ten, który ma umieć obudzić w ludziach potrzebę działania, uaktywniać, prowokować do myślenia. Nie wolno mu zapomnieć, czyj mandat nosi w kieszeni, ale też nie może patrzeć tylko pod nogi, zaplątać się w partykularyzmy i miałkość małych spraw. Żeby się nie musiał wyłgiwać od takich postulatów wyborczych — jak się to zdarzyło poważnemu profesorowi, który na jednym z zebrań usłyszał, że głównym celem jego działalności po wyborze na radnego ma być likwidacja kolejek do sklepów — bo męczące, oraz dążenie do zapewnienia ludziom większej ilości pieniędzy — bo jest za mało.

Być obywatelem pełnoprawnym oznacza być aktywnym nie tylko w wymiarze własnej grobli. Jeśli kampania wyborcza ma spełnić do końca swe zadanie — jej głównym kierunkiem winno być uświadamianie, że ...nic o nas bez nas. Zupełnie tak, jak na jednym z retkińskich spotkań wyborczych, kiedy to w połowie prezentacji założeń programowych dla Dzielnicowej Rady Narodowej, na salę wpadła zemocjonowana obywatelka, z głośnym pytaniem: *czy na sali jest władza?*

...?

Zdumioną ciszę przerwał przytomnie jeden z kandydatów oznajmiając z flegmą, że ma się rozumieć, że jest!!

— *Władza w rękach ludu pracującego miast i wsi — droga pani — doskonale pani trafiła.*

Okazja — turbo

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Ta duchota najbardziej dawała się we znaki. Parno było, zdawało się, że lepkie powietrze osacza, ogranicza każdy ruch, tamuje oddech. Wątłe podmuchy wiatru nie przynosiły ulgi, sypały tylko kurzem, drobinami brudnego piasku.

I tak stałem jak przysłowiowy kołek na skraju asfaltowej trasy. Brudny, wściekły. Bez realnej perspektywy rychłego dotarcia do domu. Pare minut wcześniej dotrzymywała mi towarzystwa kobieta z dzieckiem i młodzieniec w wytartych dżinsach. Wtedy jeszcze machaliśmy na wyścigi. On zabrał się pierwszy, jakimś żukiem, wyładowanym po dach workami. Po nią, chyba z trzysta metrów, cofał czerwony polonez z wyłącznie męską obsadą. Od biedy byłoby tam miejsce i dla mnie, ale dwóch brzuchaczy zdecydowanie dało mi do zrozumienia, że wóz będzie przeciążony. I mogę poczekać.

Już nie machałem. Choć perspektywa wielu godzin w pociągu, (jak zwykle brudnym), być może w korytarzu, sprawiała, że po raz kolejny decydowałem: jeszcze kwadrans ostatni. A póki co, przemykającym obok, zwłaszcza tym samotnie podróżującym, życzyłem w duchu rozległych dziurawych objazdów, radaru, pięknych awarii, zgubienia kwitków na paliwo. Nawet jednak miotane przez zęby dane dotyczące niezbyt moralnego trybu życia mamusi delikwentów nie pomagały. Wygodnie rozparci, walili do przodu, posyłając mi ewentualnie pełen wyższości grymas...

Widmo zakurzonego jak i ja przedziału było coraz bardziej realne. Właśnie kończyłem posyłać wiązkę „serdeczności" okularnikowi z fiata, który na mój widok dodał jedynie gazu. Potężniejący jazgot nadciągający z lewej strony sprawił, że oderwałem się od tego pasjonującego zajęcia. Błyskając całą baterią kierunkowskazów, z wyciem hamował przede mną *(tak jest!)* drogowy kolos. *„— Piękny..." — przemknęło* w głowie, gdy rączo ruszyłem w kierunku kabiny. Biały olbrzym, w granatowe pasy, na pięciu czy sześciu osiach, o *lśniącym chromami* pysku prezentował się niesamowicie. Prawdziwy król asfaltowych duktów...

Wdrapałem się po kilku stopniach. Klamka, drzwi lekko ustąpiły, jeszcze jeden stopień i opadłem na poduszkę fotela. Wionął we mnie ów nieokreślony, a znany wszystkim prawdziwym samochodziarzom zapach benzyny, smaru, olejów, nagrzanych słońcem blach i tapicerki. Za kierownicą — sympatyczny, młody rudzielec. Na powitanie uniósł dłoń z wysuniętym palcem wskazującym i wyszczerzył garnitur olśniewająco białych zębów.

— Witam na topie, ale drzwiami nie trzeba tak napierać, to nie syrena-bosto — rzucił wesoło na powitanie, bo, faktycznie,wyrżnąłem nimi aż huknęło.

— No, odpalamy... — dodał i zaczęło się...

Przyzwyczajony do naszych starów i jelczy, którymi rzadko bo rzadko, ale jednak czasem człowiek podróżował, z niedowierzaniem przyglądałem się co wyczyniali rudzielec i jego wóz. Przede wszystkim cicho i płynnie włączyli się do ruchu. I uczynili to bez wysiłku, diabelnie szybko. Wóz miał niesamowite przyśpieszenia, lepsze od niejednego osobowego, co biorąc pod uwagę tony za plecami (jak się później dowiedziałem — bagatelka, brutto prawie 50...), było czymś niewiarygodnym. Patrzyłem jak urzeczony na taniec rąk i nóg rudego kierowcy, który dosłownie w kilkanaście sekund rozpędził tę masę do osiemdziesiątki, by nie poprzestać na tym bynajmniej. Wygodnie rozparty w fotelu z zagłówkiem, bez wysiłku powoził jedną ręką. Drugą coś wciskał, przekręcał na upstrzonej różnymi pokrętłami desce rozdzielczej przed sobą, gdy trzeba — jednym dosłownie palcem wrzucał stosowny bieg. A wóz rwał do przodu jak oszalały. Zerknąłem na zegar. Strzałka szybkościomierza powoli minęła „setkę" i systematycznie parła do przodu...

— Nieźle idzie, co? — uśmiechnął się szeroko driver. — Ale jest czym wygarniać: widlasta „ósemka" dwie sprężarki, w sumie prawie 300 koni... — uzupełnił moją mizerną wiedzę z zakresu ciężarowych koni. — No i praktycznie na wszystko mam wspomaganie, w układzie kierowniczym specjalne, podwójne. Tam upał, a tu — przyjemny chłodek, działa air conditioner...

Rzeczywiście, zapatrzony w zegary i taniec rudzielca za kółkiem, nie zwróciłem uwagi, iż pomimo szczelnie zakręconych szyb w kabinie upał nie dokucza zupełnie. Teraz już wiedziałem — ten skubaniec ma jeszcze klimatyzację.

— Pali pan? — wyciągnąłem paczkę w jego stronę.

— A może mojego? — zaproponował „Caro", więc poszedłem mu na rękę. — Popielniczkę ma pan w drzwiach.

— Daleko pan leci? — spytał wyprzedzając białego fiata, a jego kolos rwał sto i dwadzieścia. Przynajmniej na tej liczbie ustabilizowała się wskazówka od paru minut.

— Do Łodzi.

— Aha, to przed Piotrkowem się pożegnamy czy przy Rawie pan wyskakuje?

— Wolałbym koło Piotrkowa, tam szybciej znów coś złapię.

— Dobra, bo ja sunę prosto do stolicy.

Facet z poloneza, ponaglany światłami, zjeżdża wreszcie na prawy pas. Z niedowierzaniem kręci głową, gdy przesuwamy się obok jego limuzyny. I znów światła i przeciągły, pulsujący sygnał dźwiękowy, bo teraz dla odmiany jakaś skoda zaczyna się z nami ścigać.

— Widział pan? W każdym budzi się teraz lew, bo go ciężarówka wyprzedza — rudzielec ironicznie kiwa głową. — Kultura na drodze to dla wielu kierowców wciąż czarna magia. Dlaczego ja, mimo swej wagi, zawsze mu ustąpię drogi, jeśli mnie dogoni i chce wyprzedzać! A taki palant jedzie kilometrami i nawet w lusterko nie zerknie.

— Wielu boi się prawego pasa, bo dziury, pobocze wybite...

— Bez przesady, jeszcze „gierkówka" aż taka dziurawa nie jest. Ale fakt faktem, że jak noca lece, to też staram się wyłącznie lewego pasa trzymać.

— I dlaczego?

— Bo kochani rodacy lubią czasem po prawej stronie drogi nieoświetlony samochód zostawić, przyczepę, lubią tędy wozy konne podróżować i traktory bez żadnego światła z tyłu. A ja walę tą stówą i ważę zwykle ponad 40 ton. Nie chcę ryzykować.

— Te furmanki bez świateł, często gęsto z pijanym woźnicą — to rzeczywiście utrapienie.

— Szlag mnie trafia, bo ci ludzie nie mają za grosz wyobraźni. Na dwupasmowej — to pół biedy, jeszcze mam gdzie w ostatniej chwili uciec w jedną czy drugą stronę. Ale na tych wąskich, asfaltowych kiszkach, których mamy większość w kraju? Jak go nie dojrzę wcześniej w reflektorach — to może być tragedia. A pijaczków na rowerach to już lubię szczególnie...

— ???

— Wielu moją „Stefę" pamięta. O, proszę — pochylił się i sięgnął spod fotela metrowej długości gumową pałę. — Niezła, prawda? Z lanej gumy. Jak widzę, że gościa nosi na rowerze po całej drodze, czyli musi być zdrowo walnięty, to zwalniam, uchylam prawe okno i sru go przez plecki moją „Stefą". Może następnym razem zastanowi się dwa razy nim w stanie nieważkości na swą „damkę" wsiądzie.

— Jest pan bezwzględny...

— Ja? Ja tylko dbam o życie swoje i innych użytkowników naszych dróg. A jednego pijaczka to nawet podwiozłem kawałek.

— Do domciu?

— Nie tak całkiem. Wtrąbiony był do tego stopnia, że położył się obok swego roweru na środku drogi i spał. Tuż za zakrętem zresztą. Z trudem, pamiętam, wyhamowałem, prawie przed nim. Nawet się nie obudził. To go delikatnie wniosłem z tyłu do wozu, akurat z meblami leciałem i było miejsce. Rowerek też mu zabrałem, a jakże. I wywiozłem prawie 400 kilometrów, gdzieś w koszalińskie. Jak wysadzałem dziada — to wciąż chrapał jak suseł. Ale musiał się trochę zdziwić po przebudzeniu...

— Ale ile wrażeń po przyjeździe do domu!?

— No, i te teksty: „Stara, ja to po wódzie tak zapierdalam, że w nocy po 400 kilometrów pedałuję..."

Śmieliśmy się jeszcze długo z opowieści rudzielca, bo fantazję to on miał. Miał też niezły magnetofon kasetowy w swoim bolidzie; „japończyk", stereo, firmy JVC. Jeszcze w trakcie opowieści o rowerzystach mój kierowca zapakował w niego jedną z kaset i z umieszczonych w drzwiach głośników poleciał bodajże Neil Diamond...

— Świetnie się pod niego jedzie, w ogóle strasznie lubię country, nazywaną przecież stylem kierowców wielkich ciężarówek. Niezły jest też Cash, Kenny Rogers, trochę kaset, razem z tym kaseciakiem przywiozłem w zeszłym roku z Wiednia. Za parę groszy, na przecenie...

— Europę pewnie zaliczył pan całą?

— No prawie; po parę razy Holandię, RFN, Austrię, byłem choć krótko we Włoszech, Francji. Ale dziś to już nie te trasy, co parę lat temu.

— Drogi chyba nie gorsze?

— Nie o to chodzi, coraz trudniej wziąć trochę towaru w jedną i drugą stronę.

— Dokładniejsza kontrola na granicy?

— To też. Niby ma człowiek skrytki w wozie, ale na swoje drobiazgi, żeby coś żonie czy dzieciakowi przywieźć. A większe ilości to już za duże ryzyko. Choćby takie cebulki...

— ...z Holandii pewnie?

— Właśnie. Na niektóre odmiany hiacynta czy gladioli popyt u nas straszny i można by parę groszy trafić. A nawet jeszcze na tulipanach. Ale trzeba by zabrać ze 100—150 kilogramów. No i gdzie ja to wsadzę, za fotel?

— No, ale jest jeszcze kawa, zegarki elektronowe czy nawet ciuchy...

— E, tam. Ciuchy niech idą w paczkach, zegarki to przeszłość, a dla paru kilogramów kawy nie myślę dobrej roboty tracić i do końca życia rozklekotanym starem się telepać.

— Jest jeszcze sztruks, na którym też się nieźle wychodzi podobno...

Przyjrzał mi się bez słowa. Zwolnił nieco, bo przed nami dwie ciężarówki rodzimego chowu uskuteczniały właśnie zabawę „kto kogo". To znaczy jedna jedzie pięćdziesiątką na godzinę, a druga pięćdziesiąt i pół. I tak trwa ten wyścig kilometrami.

— Nie znam pana, ale mogę powiedzieć tylko tyle, że na sztruksie najlepiej wyszli ci co go nie sprowadzali. Nie słyszał pan o dużych aferach w Warszawie i Łodzi, na Śląsku? Za grubo chłopcy szli i „po oczach"...

Kilka pojazdów z przeciwnej strony mrugnęło światłami, znaczy — gdzieś tu stoją z radarem. Rudzielec podziękował gestem ręki, ale nie zwolnił zbytnio. Przelecieliśmy przez Częstochowę grubo powyżej szybkości wymalowanej na znakach. „—Co on robi? Forsy ma za dużo?!" — myślałem „— Zbyt jest pewny siebie". Już miałem coś bąknąć na ten temat, ale uprzedził mnie:

— Spokojnie, bez paniki. Dowiemy się gdzie stoją we właściwym czasie, bo...

Nie dokończył. W kabinie ozwał się modulowany brzęczyk, on zareagował natychmiast. Kopnął hamulec, aż poleciałem do przodu. Strzałka szybkościomierza cofnęła się szybko do przepisowej sześćdziesiątki. Wypatrywaliśmy obaj milicyjnego radiowozu, ale bez rezultatu. Stał co prawda na poboczu jakiś „cywilny" fiat, z podniesioną klapą bagażnika, obok oparte koło zapasowe, lewarek. Pewnie ktoś gumę złapał. Mijaliśmy właśnie domniemanego pechowca, gdy za kołem dojrzałem... radarowy miernik, a za kierownicą pana z „drogówki", tyle że bez białej, widocznej z daleka czapki...

— Widziałeś pan spryciarzy! — mój driver z uznaniem pokręcił głową. — Ale nie z nami takie numery, Bruner... — poklepał pieszczotliwym gestem niewielkie, czarne pudełko podwieszone obok tablicy z zegarami. Wiedziałem już — miał w kabinie jeszcze jedno pożyteczne wielce urządzenie — antyradar.

— Przydaje się w trasie, co? — pstryknął palcami i pomknęliśmy znów jak wyścigowy chart. — Przywiozłem tego ostatnio kilka sztuk, sobie chyba dwa lata temu zamontowałem, przedtem nie było miesiąca bym mandatu nie bulił. Ja nie mówię, że trzeba wszędzie sypać „stówką", zwykle nie ma takich warunków jak tu, na „gierkówce". Ale ileż mógłbym podać przykładów, gdzie z okazji robót drogowych choćby ograniczają prędkość do trzydziestu czy czterdziestu na godzinę. Roboty dawno skończone, ale znaki zostają. I to jest piękna pułapka.

— Drogi ten antyradar?

— Wie pan, ja je kupuję w Austrii, w takiej małej dziurze, rozmontowane. To taniej wychodzi, no i łatwiej przewieźć. Jeden kosztuje mnie w granicach 50—60 „zielonych". U nas — minimum podwójne przebicie, a ze zbytem nie ma kłopotu. Kawy pan łyknie?

Wpatrzony w usłużnie układającą się pod koła wstęgę szosy, jedną ręką sięgnął za siebie, za zasłonę z wiśniowego weluru. Zerknąłem. Całkiem szeroki, jednoosobowy tapczanik, w rogu mała lodóweczka, lampka na ścianie, lustro, złożona wyżej nieco druga koja; pokoik na trzech metrach kwadratowych. Sięgnął do turystycznej torby. Wprawnie, jedną ręką otworzył duży termos. Z przyjemnością popijałem po chwili z jednorazowego kubeczka parujący płyn.

„Życie jest piękne" — myśl godna Nobla przedarła się do mózgu. Wygodniej oparłem się w wysokim fotelu; papierosek, kawa bynajmniej nie zbożowa, przyjemny chłód w kabinie, dobra muzyka z drzwi płynąca... „Cholera, szkoda że facet do Łodzi nie jedzie!". Zacząłem się już zastanawiać, czy nie przedłużyć sympatycznej eskapady i nie dojechać do domu pociągiem z... Warszawy.

On rozkręcił się na dobre. Sypał dowcipami, opowiadał swe przygody na zagranicznych szlakach. Były wśród nich i mrożące krew w żyłach, jak choćby ta, gdy na oblodzonym odcinku autostrady w RFN wysypał się do rowu z 45 tonami jakichś konserw, znosząc po drodze plasującą jak i on furgonetkę. Sam niewiele ucierpiał, tyle że wóz rozbił poważnie.

— Ile pan nim poleci maksymalnie? — nie wytrzymałem w pewnej chwili.

— U nas?

— No nie, na porządnej autostradzie...

— Parę razy już go rozbujałem do stu sześćdziesięciu.

— Dużo wtedy pali?

— Sporo, nawet i trzydzieści pięć na sto...

— A jak nie przekracza pan stu dwudziestu?

— Jak jadę z czuciem, bez ostrych zrywów, to i w dwudziestu się mieszczę.

Te dwie godziny strzeliły mi błyskawicznie. Z żalem opuszczałem przytulne wnętrze. Pod wiaduktem, którym wiodła trasa do Łodzi. Upalne powietrze buchnęło w twarz jak z martenowskiego pieca. Nie było mowy o żadnych pieniądzach.

— Szerokiej drogi! — ryknął mi rudzielec na pożegnanie — I do zobaczenia na szlaku!... Wygarnął na jedynce, aż żwir pobocza wyrwało spod kół. Pozdrowił fanfarą sygnału, mrugnął awaryjnymi światłami i w sekundę oddalał się już w tempie Formuły I.

Do Łodzi dotarłem też okazją. Starem. Śmierdziało ropą niemiłosiernie, usiłowałem uchylić trochę okno. Nie udało się, korbka została mi w garści. Wozem trzęsło straszliwie, silnik rzęził, kichał, usmolony kierowca walczył jak lew z kierownicą, która miała drgawki constans i zdawało się, że za chwilę pourywa mu dłonie. Wył tylny most, biegi wchodziły i wyskakiwały kiedy chciały. Ale dojechaliśmy, choć zmordowany facet trzy razy dolewał wody do chłodnicy. Dwa razy cudem uniknęliśmy czołowego zderzenia, m.in. w miejscowości o wdzięcznej nazwie Srock. Kierowca ucieszony był nie mniej ode mnie, bo jak twierdził, wszystkie opony ma łyse i hamulec też nie bardzo.

W Łodzi wysiadłem mokry. Ze strachu. Facet następnego dnia — jak mi się zwierzył, — jedzie do Gdańska. Gdy już usiłował nieporadnie włączyć się do ruchu, spostrzegłem na dodatek, że nie ma kierunkowskazu z tyłu, a właściwie całą lampę ma potłuczoną. „— Uważaj, ojciec, jutro na rudego gościa w białym bolidzie — pomyślałem — jak cię dopadnie z tą swoją gumową „Stefą"...

Kronika kulturalna

JUBILEUSZ 35-lecia obchodzi Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Łodzi. Powstał w lutym 1949 r. jako druga, po warszawskiej, tego rodzaju placówka w kraju. Początkowo mieścił się przy ul. Piotrkowskiej 55, a od lipca 1965 r. działa w swej obecnej siedzibie, przy ul. Narutowicza 8. W roku 1975 w osiedlu studenckim im. Lumumby powstała filia KMPiK.

KMPiK dysponuje bogatym zbiorem gazet i czasopism krajowych i zagranicznych do wykorzystania na miejscu, w czytelni, oraz do nabycia w salonie sprzedaży. Od lat jest jednym z najpopularniejszych organizatorów kursów języków obcych dla słuchaczy o różnym stopniu zaawansowania i zróżnicowanej intensywności nauczania. W sali klubowej prezentowane są wystawy plastyczne i fotograficzne, odczyty, prelekcje, koncerty i spektakle kameralne, odbywają się spotkania z dziennikarzami i ludźmi sztuki.

W ubiegłym tygodniu, w ramach imprez związanych z obchodami jubileuszu odbył się m. in. koncert w wykonaniu artystów scen łódzkich, spotkanie z prof. Zbigniewem Kuchowiczem, spotkanie z uczestnikami kobiecej wyprawy w Himalaje. Otwarto również — czynną nadal — wystawę, poświęconą dorobkowi KMPiK, opracowaną na podstawie materiałów archiwalnych, zawartych w księgach pamiątkowych.

JANOWI KOCHANOWSKIEMU poświęcona była sesja popularnonaukowa, którą w 400-lecie śmierci poety zorganizowała Miejska Biblioteka Publiczna im. Waryńskiego w Łodzi. W czasie dyskusji mówiono m. in. o mniej znanych sprawach z życia i twórczości Jana Kochanowskiego, a także o wpływie, jaki jego dzieła wywierały na innych, także współczesnych poetów.

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA wznowiła w r. bieżącym przyznawanie Nagrody LSW za najlepsze wydawnictwa z zakresu nauk społecznych, humanistycznych, historii, literatury faktu, beletrystyki.

Nagrody przyznawane będą autorom publikacji za wybitne dzieła naukowe, popularnonaukowe, literackie, pamiętniki, wspomnienia, podejmujące szeroko rozumianą problematykę wsi, chłopów, rolnictwa.

O nagrodę ubiegać się mogą książki, które ukazały się nakładem wydawnictw polskich w latach 1980—1983. Zgłoszenia kierować należy pod adresem: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Dział Samorządowo-Organizacyjny, ul. Grzybowska 4, 00—131 Warszawa.

TYDZIEŃ STOWARZYSZEŃ KULTURALNYCH — impreza organizowana w ramach Panoramy Kulturalnej w 40-lecie PRL — odbył się w Dzielnicowym Domu Kultury „Lutnia" na Bałutach. Publiczności — nie tylko z dzielnicy Bałuty, lecz i często odwiedzającym placówkę mieszkańcom innych dzielnic Łodzi — zaprezentowano kilka programów muzycznych i estradowych, spektakli teatralnych, zestawów filmów przyrodniczych i sportowych, i wystaw plastycznych.

PO RAZ DRUGI Towarzystwo Kultury Teatralnej — Oddział w Łodzi oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi ogłaszają konkurs na pracę dotyczącą teatru i kultury teatralnej Łodzi i jej regionu. W konkursie uczestniczyć mogą prace magisterskie, doktorskie i inne, dotyczące teatru i kultury teatralnej w regionie łódzkim, odnoszące się do czasów współczesnych i do przeszłości. Prace nadsyłać mogą zarówno autorzy, jak i placówki naukowo-badawcze oraz instytucje. Przewidziane nagrody: I — 20 tys. zł, II — 15 tys. zł oraz dwa wyróżnienia po 10 tys. zł. Termin nadsyłania upływa 30 listopada br. Chętni do udziału w konkursie muszą przesłać prace w maszynopisie pod adresem: Towarzystwo Kultury Teatralnej, ul. Moniuszki 5, 90—101 Łódź (tel. 32-58-57).

KONKURS POETYCKI o nagrodę Milowego Słupa organizuje Koniński Klub Literacki przy ZW ZSMP w Koninie. Jest to impreza otwarta, o charakterze ogólnopolskim, w której uczestniczyć mogą poeci, nie będący członkami Związku Literatów Polskich, niezależnie od miejsca zamieszkania. Pod adresem organizatorów ZW ZSMP, Konin, Aleje 1 Maja 15, tel. 213-94 należy nadesłać zestaw trzech wierszy w czterech egzemplarzach, nigdzie dotychczas nie publikowanych. Każdy utwór musi być opatrzony godłem, z dołączoną, zaklejoną kopertą, opatrzoną tym samym godłem, zawierającą nazwisko i dokładny adres autora. Ilość zestawów dowolna. Niezależnie od przyznanych nagród prace wyróżnione opublikowane będą w miesięczniku „Nurt".

W konkursie, obok nagród regulaminowych, przewiduje się przyznanie nagrody specjalnej dla autora debiutującego, za wiersze o tematyce Wielkopolskiej. Wiersze pretendujące do tej nagrody, obok godła, powinny mieć dodatkowy napis „debiut". Ostateczny termin nadsyłania prac upływa 30 lipca br. Rozstrzygnięcie konkursu — w październiku.

NOWY, premierowy spektakl zaprezentował „Teatr 77". Było to „Kazanie" Andrzeja Strzeleckiego, w reżyserii autora. „Kazanie" łączące w spójną całość elementy kabaretu, cyrku i klasycznego teatru jest ponadczasową opowieścią o braku tolerancji i cenie, jaką bohater i jego otoczenie zapłacić muszą za taką właśnie postawę życiową.

Nędza literatury

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Wszyscy, którzy interesują się zjawiskiem określanym okazjonalnie jako młoda literatura powinni przeczytać powieść Piotra Bratkowskiego pt. „W stanie wolnym". W niej bowiem — jak w krzywym zwierciadle — znalazły odbicie sprawy dla zjawiska tego charakterystyczne.

Można powiedzieć, że wspomniana powieść jest pisarską zabawą, rodzajem gry z czytelnikiem, do którego autor co i rusz robi oko i ani przez moment nie traktuje poważnie. Jeszcze mniej poważnie potraktowane zostało tak zwane środowisko, zwłaszcza młodoliterackie. Obok różnych pomniejszych spraw przyświecał autorowi jeden cel zasadniczy: pokazać słabość literatury współczesnej, ale też obnażyć nędzę literatury w ogóle, bezsilnie miotającej się w sieci coraz bardziej wymyślnych konwencji, modnych stereotypów myślowych i artystycznych, które przeważnie donikąd prowadzą literatury dręczonej niemiłosiernie przez różnych pożal się Boże mecenasów, popularyzatorów i domorosłych znawców. Przede wszystkim zaś dorzynanej tępymi piórami samych jej adeptów, którym nie wiedzieć co nakazuje przepychać się w stronę przybytku muz. Nie wie zresztą tego i autor — w każdym razie zachowuje dyskrecję daleko posuniętą. Swą rzetelną karykaturę kieruje nie ku przyczynom owego stanu rzeczy, przedstawia niewesołe raczej objawy pewnej sytuacji literackiej. Zbyt jest mądry, by zawierzyć uzdrowieńczemu działaniu swej jadowitej kpiny, co zaś sobie (a przy okazji może i innym) ulży i użyje — tego mu nikt nie odbierze, nawet tak zwani aktywni czytelnicy, których próbki krytycznych możliwości przedstawił w aneksie. Niezawodne Gogolowskie pytanie: — z kogo się śmiejecie — towarzyszy lekturze.

Powieść „W stanie wolnym" jest w jakiejś mierze katalogiem niespełnień, ziszczeń zaledwie fragmentarycznych, przedsięwzięć rozpoczętych i porzuconych, zamysłów niezrealizowanych — po prostu jest księgą form kalekich, w której rojno od kikutów i protez. W takim też sensie pozwala się traktować jako swoista synteza dokonań-niedokonań młodej literatury. Oto bohater, młody pisarz marzyciel, snuje kolejną wersję swojej „odwiecznej" powieści: „Chciał napisać długą i poważną książkę, w której byłoby wszystko, cały dramat współczesnej ludzkości: wielka miłość i dramatyczne rozstania, wielka polityka i walka jednostki z systemem, samotność w tłumie i niemożność komunikacji interpersonalnej; niemożność zrozumienia i opisania świata oraz zapis obserwacji obyczajowych połączony z uniwersalną refleksją metafizyczną. Wiele razy zaczynał tę powieść. Miał już stałego bohatera, który występował w tych wszystkich pozaczynanych kawałkach. Był to człowiek na pograniczu obłędu, głęboko nieszczęśliwy, nie wahający się zapłacić najwyższej ceny za możliwość zrozumienia metafizycznego sensu istnienia.

Był też inny bohaterowie była młoda dziewczyna naznaczona tajemniczym stygmatem cierpienia (...), pojawiał się też młody, ale doświadczony już przez życie artysta, który po ciężkim zawodzie miłosnym usiłuje podjąć ostatnią próbę odzyskania wiary w sens uczucia i czystość świata, wykorzystując jako medium dziewczą nastolatkę. Próba ta niestety kończyła się nieodmiennie niepowodzeniem. Całą tę grupę bohaterów wiele zresztą łączyło: najpierw ciężkie doświadczenia życiowe, klęski, potem rozpaczliwe próby powrotu do normalnej egzystencji — wreszcie samobójstwo lub inna forma tragicznej śmierci (...), która w zamyśle autora miała dramatycznym akordem kończyć powieść. Ale do owego akordu nigdy nie dochodziło — znacznie wcześniej niecierpliwy autor porzucał swoich bohaterów. Na ogół po prostu nie wiedział, co ma z nimi dalej począć (...). Bywało jeszcze inaczej: tragiczni bohaterowie zaczynali w pewnym momencie drażnić, nudzić i śmieszyć ich twórcę, wówczas ten zachowywał się w stosunku do nich wysoce nielojalnie — nie mogąc zrozumieć — z braku autentycznych przeżyć osobistych — ich problemów, zaczynał swoich niedawnych przyjaciół ośmieszać, wykpiwać...". I w taki to sposób doszliśmy do encyklopedycznego wykładu o sposobie istnienia młodej prozy.

Problemem numer jeden w pastiszu Piotra Bratkowskiego okazuje się obcość świata. Nie potrafiąc się określić, nie mogąc odpowiedzieć na pytanie: kim jestem, narrator (mówiąc precyzyjniej: jeden z narratorów) powieści „W stanie wolnym" nie umie zdecydować się na konsekwentny wybór roli. Przeszkadza mu świadomość, iż żadna z istniejących w świecie ról nie pozwala młodemu człowiekowi określić jego statusu, nie daje szansy utożsamienia. Chce być spontanicznym, nieskrępowanym, wolnym człowiekiem, a nie takim, jakim **powinien** być w danej sytuacji. Chce żyć prawdziwie, nie zaś życiem jedynie utrzymanym w prawidłach. Paniczny lęk przed nieautentycznością paraliżuje go. Utrudnia jakikolwiek wybór. Wyzwala pandemonium bezsilności. Staje się beznadzieją. Jakie jest wyjście, jaki ratunek? Ucieczka w obłęd, a potem kuracja w domu wariatów? Zanurzenie się w młodzieżowej subkulturze jako wyraz spektakularnej kontestacji? Lekcja bohemy? Nic z tego — daje do zrozumienia wspomniany powyżej narrator — bo życie nie jest literaturą. W grę wchodziłby tylko jakiś zabieg radykalny, lecz kogo nań stać? Pozostaje więc wkomponować się w szarzyznę, a co najwyżej, dla poprawienia samopoczucia, można pozwolić sobie od czasu do czasu na makijaż. A jeszcze lepiej — na autoironię.

Próba autoironii w wykonaniu Piotra Bratkowskiego eksploatuje nade wszystko chwyty warsztatowe. W wystylizowanej **improwizacji** współgrają różnorodne struktury: listy, fragmenty publicystyczne, raporty, kartki z dziennika, recenzje, utwór w utworze, dywagacje autotematyczne etc. Ich gra sporo mówi o funkcjonowaniu życia literackiego u nas: od powstania utworu, poprzez zapewnienie sobie przychylności wydawcy, aż po czytelniczy obieg, w którym tak łatwo o nieporozumienia. Myślę, że tej powieści nie będą one dotyczyć. Wszystko tu bowiem jest proste — prostotą krzywego zwierciadła.

Piotr Bratkowski: „W stanie wolnym", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983, s. 153 nakład 5 000 plus 283 egz., cena 45 zł.

Komu i za co nagrodę „Odgłosów"

Nie tak dawno opublikowaliśmy „Regulamin Nagrody Tygodnika „Odgłosy" za Upowszechnianie Kultury". Chcemy prezentować głosy ludzi zajmujących w życiu kulturalnym poczesne i odpowiedzialne miejsca i pełniących w instytucjach kulturalnych kierownicze funkcje. Jak oni pojmują i rozumieją termin „upowszechnianie kultury"? Kim, według nich, jest człowiek mianujący się „działaczem kultury"?

Oto wypowiedź JANA JAKUBISZYNA, dyrektora Łódzkiego Domu Kultury:

— Dzieło bez odbiorcy nie istnieje. Powieść w szufladzie, obraz w piwnicy, choćby były najwspanialszymi wytworami sztuki nikomu nie służą. Nie wywołują doznań emocjonalnych, refleksji, nie wzbogacają wiedzy ani doświadczeń. Muszą znaleźć czytelnika, widza... Muszą zaistnieć społecznie. Aby tak się stało, koniecznym jest powstanie całego systemu przekazu między twórcą a odbiorcą. Aby rękopis powieści dotarł do czytających tysięcy osób niezbędna jest cała sieć instytucji, które ten fakt umożliwią: wydawnictwo, drukarnia, księgarnia, biblioteka. I ten rejstr instytucji, ściśle ze sobą współpracujących tworzy system, system upowszechniania książki.

Upowszechnianie kultury zatem — by nie bawić się w zawiłe definicje — to działanie polegające na umożliwieniu społeczeństwu kontaktów z dziełem artystycznym.

Wielu ten punkt widzenia wyda się zawężony, poza nim znajdują się pewne wzory, istotne i ważne ze społecznego punktu widzenia, nie będące jednak dziełami twórców, a rzutujące na nasze życie codzienne, pracę, wzajemne stosunki. Wydaje się jednak, że są one skorelowane ze stosunkiem jednostki do tzw. kultury zachowania społecznego.

Właśnie. Kultura jest wartością sama w sobie i każdy winien mieć prawo do uczestnictwa w jej osiągnięciach. Tak to ujmował Karol Marks. Na tym jednak nie wyczerpuje się społeczna rola upowszechniania. Między twórcą a odbiorcą, istnieje, być może często nie uświadamiane, sprzężenie zwrotne. Twórca przez dzieło wpływa na odbiorcę, na jego przeżycia, gust, na wybór wzorców.

Istnieje również relacja w drugą stronę. Czytelnik, widz, słuchacz, nie przyjmuje wszystkiego „jak leci", dokonuje wyboru, który jest wynikiem oceny, i w ten sposób wpływa na twórców i inspiruje ich i cały system upowszechniania do dostosowania się do potrzeb społecznych. Istnieje tu oczywiście poważne niebezpieczeństwo dostosowania się do potrzeb bardzo podstawowych.

Ale rolą upowszechniania jest również, by odbiór dzieła sztuki stał na stosunkowo jak najwyższym poziomie jego rozumienia i mógł uczestniczyć się na równie wysokim poziomie precyzji słownej.

Te kilka uwag nie zamyka skomplikowanej i rozległej problematyki i sfer oddziaływania upowszechniania kultury. Założenie niniejszej wypowiedzi zmusza do lapidarności. Toteż starałem się powyżej przedstawić podstawowe zadania upowszechniania kultury.

A kim jest działacz kultury? Trudno jego rolę zamknąć jednym zdaniem, a stojące przed nim obowiązki zhierarchizować i szczegółowo wyliczyć. Przede wszystkim działacz to człowiek aktywny. To reprezentant określonej społeczności, której potrzeby i pragnienia zna, akceptuje, bo najczęściej do tej społeczności należy, bądź się z nią identyfikuje. Swoją wiedzą i doświadczeniem usiłuje pomóc w zaspokajaniu jej potrzeb i realizacji pragnień. Poradą, przykładem, pobudzeniem aktywności samej grupy, przedstawieniem jej problemów ośrodkom decyzyjnym.

Jest przyjacielem tych, z którymi i w imię których działa.

Jest stanowczy i uparty w obronie interesów swojej grupy, gdy są one niesprzeczne z interesami innych i dobrem ogólnym.

Jest mądry, tolerancyjny, zaangażowany, ale umiejący utrzymać niezbędny dystans. Zaspokaja istniejące, ale i wywołuje nie uświadamiane potrzeby.

Ma świadomość celu, realnych warunków i koniecznych środków niezbędnych do jego osiągnięcia.

Działacz kultury ma jeszcze rozległą wiedzę z dziedziny, która jest terenem jego aktywności.

To on jest niezbędnym ogniwem procesu upowszechniania.

Wirydarz poetycki

Grzegorz Kościński

Mój teatr krawiecki

Józkowi Jaworskiemu
(krawcowi zresztą)

Oto ta scena
Czarna suka
I krawiec, który nożyc szuka
Trzy panie
(Pewnie nie spod igły)
I tylko uśmiech jest przebrzydły

W nieruchomości trwają lalki nieruchome
Takie stoją jak zawsze, jak zawsze bezdomne

A od spodu robaczek
Który nic nie znaczy
Wgryza wolno się w scenę
By było inaczej
Nie chcę niczego więcej
Niech tak pozostanie
Idzie w górę ten kornik na cudzym arkanie

Grzegorz Kabaciński

Słuchając „Mszy Organowej" J. S. Bacha

Muzyka spokojna i delikatna,
bywa jak —
— obłoku szelest
na cichym niebie.
Skóra pieszczonych kobiet,
bywa roziskrzona gwiazdami,
gdy żyje pod dotknięciem rąk.
Uśmiech dziecka jest szczerością
samą w sobie.
Której już nigdy nie spotkasz
idąc dalej.
Cisza w zadumie —
— bywa jak
bezgłośny upadek
płatków śniegu,
gdy giną pod dotknięciem ręki.

My

Małe codzienne dramaty domowe,
zamieszkałe jak dziki lokator,
żyją z nami z dnia na dzień.
Ileż to bólu sprawia
Małej MUSZCE,
zgubienie przypinki do włosów,
albo choroba lalki.
Muszę brać na siebie
cały ciężar poszukiwań,
reperacji i pocieszeń,
wchodząc w to nieszczęście
całym sobą.
— Tato zreperuj mi auto.
— Tato chodź na spacer.
— Tato gdzie jest nocnik.
— Tato kocham cię jak serdelka.
— Och tatusiu, popieść się z nami
Oto proza dnia,
po bezsennej czwartej nocy,
pisana ukradkiem,
gdy dzieci oglądają książkę.
— Tatusiu co tam piszesz...

7.03.84 r.

Barbara Bianek

Bóg rzeki

Odpłynąć na brzeg,
gdzie pastuch pali ogień,
a ludzie piją ciepłe mleko.
Owce beczą,
patrząc w ciemność,
ukryte za ciężkimi powiekami.
Na rzece dogorywa blask słońca,
wypalając się chłodnym płomieniem
fali ciężkim od giętkiego srebra
ryby kluczącej w cieniu mostu
wśród nenufarów.
Bóg rzeki otwiera oczy
oślepione słońcem zachodu
i czeka dnia, czuwając.
Wie, że on nadejdzie
zawsze prędkimi stopami.

Grusza

Tam, gdzie nabrzmiały deszczem obłok,
na polu,
grusza odcina się grubą kreską.
Jeruzalem liści,
kwiat miodem pachnący.
Huczą senne pszczoły w godzinę spełnienia
W szczelinach kory
sączy się żywica i błękit.
Jeruzalem węzłastych korzeni,
Grusza,
dorodna Meduza Gorgona
depce
przenikliwy deseń cieni.
Grube połyskliwe węże
kołyszą poplątany taniec,
Grusza wabi je zabijając.

Podskórny erotyzm i czerwone chusty

W naszej prasie trzeci po debiutanckich „Zmorach" oraz „Kluczniku" film Wojciecha Marczewskiego pt. „Dreszcze" w dalszym ciągu wzbudza żywe reakcje i emocje. Obok głosów zdecydowanie podkreślających rangę i znaczenie tego filmu, znalazły się też opinie negatywne, wytykające filmowi wiele nieścisłości. Antagonistami „Dreszczy" są: Artur Sandauer oraz redaktor naczelny „Tu i Teraz" Kazimierz Koźniewski. Artur Sandauer w „Polityce", nr 9 z 3 III 84 r., zamieścił artykuł pt. „Okres miniony, oskarżenie i obrona". Pisze w nim o tym, że film Marczewskiego narodził się z „Wielkiego mitu" i mit ten potęguje. Mitem mają być w tym przypadku osławione lata 50, a ściślej mówiąc ich pierwsza połowa czyli tzw. okres stalinizmu. Sandauer twierdzi, że obóz jaki przedstawił Marczewski w swoim filmie bardziej przypomina obóz hitlerowski — *„obóz harcerski ma wszelkie cechy kacetu: bicie i znęcanie się, załatwianie się rzędem na desce klozetowej"*. Aż dziw bierze, że Sandauer mógł dokonać takiego porównania, ale i tak porównanie obozu harcerskiego z obozem hitlerowskim wydaje się być komparatystyką szytą potwornie grubymi nićmi. W jednym miejscu należy zgodzić się z Sandauerem — *„w końcu są dzienniki, dokumenta, żyją uczestnicy"*. Chciałbym przypomnieć, że właśnie Marczewski był uczestnikiem takiego obozu. Wprawdzie perspektywa lat oraz wymogi praw kina mogły nieco zmienić rzeczywisty obraz wydarzeń, ale twórca ma prawo do kreowania ekranowej rzeczywistości, jeśli nawet za temat obierze sobie czasy nie tak przecież odległej historii.

Z kolei Koźniewski reprezentuje pogląd, jakoby obóz nie mógł zaistnieć w lecie 56 r., a więc w roku poznańskich wydarzeń, tylko ewentualnie w latach 51—53, czyli obraz Marczewskiego nie trzyma się ściśle realiów. Skoro tego nie czyni, fałszuje w ten sposób historię. Na tym stwierdzeniu Koźniewski buduje całą swą krytykę. Jeśli nawet przyjmiemy założenie, że przedstawione w „Dreszczach" wypadki nie mogły zaistnieć w 56 r., to i tak wymowa całego filmu nie ulegnie zmianie.

Wprawdzie Koźniewski wspomina że został zaatakowany na festiwalu gdańskim w 1981 r., gdzie zwracano mu uwagę, że jest to film obyczajowy, psychologiczny, ukazujący metody indoktrynacji, ale jego optyka nie uległa zmianie i odczytał on film Marczewskiego jako szczególnie groźny w fałszowaniu lat 50. Koźniewski obawia się, aby przypadkiem w umyśle młodego pokolenia nie powstał zwichnięty obraz lat czerwonych chust.

Podstawowe pytanie, które należy postawić przy analizie „Dreszczy" powinno brzmieć: na czym polega ich nowatorski charakter i czy w ogóle w przypadku tego filmu taki istnieje? I tu odpowiedź nie będzie jednoznaczna. Przecież film Marczewskiego nie jest pierwszym podejmującym temat lat 50 czyli czasów stalinowskich. Przed nim czynili to chciażby Andrzej Wajda w „Człowieku z marmuru", czy Filip Bajon w takich filmach jak „Rekord świata" oraz w powstałym w mniej więcej tym samym czasie co „Dreszcze" „Wahadełku".

„Rekord świata" będący historią naszego jedynego rekordzisty świata w pływaniu Petrusewicza był także osadzony w latach 50, ale stalinizm funkcjonował w nim na zasadzie zielonych stołów, za którymi odbywały się zebrania partyjne czy rozwieszonych transparentów z modnymi wówczas hasłami. Dramat Petrusewicza wynikał raczej z indywidualnych cech osobowościowych bohatera oraz ze wzrastającego nacisku władz sportowych (one to uosabiały cechy stalinizmu) dążących do uzyskiwania coraz lepszych rezultatów. Z kolei w „Wahadełku" okres stalinizmu funkcjonował dwojako: 1) na zasadzie retrospekcji z lat 50, kiedy to mały bohater Michał Szmajda, chory na gruźlicę przebywał w sanatorium, 2) współcześnie, w mieszkaniu, w którym znajdował się pokój jego matki wypełniony przeróżnymi elementami charakterystycznymi dla tamtego okresu.

Tak więc novum w filmie Marczewskiego polega na tym, że jako pierwszy obrał na swoich bohaterów młodzież będącą w okresie dojrzewania, w tym jakże szczególnym czasie, gdy dokonuje się pierwszych istotnych wyborów i formułuje się skalę wartości. Łącząc ten element z epoką lat pięćdziesiątych stworzył syntezę niespotykaną dotychczas w naszej kinematografii.

„Dreszcze" dzielą się wyraźnie na dwie części. Oczywiście przyjęty podział jest umowny. Pierwszą część nazwijmy „szkolną". Przyjrzyjmy się pierwszym kadrom filmu. Na starym torowisku bawią się kilkunastoletni chłopcy ubrani w szare palta, na głowach mają kojarzące się z tamtymi latami pilotki. Po torowisku fruwają gazety (nie inne papiery, ale właśnie gazety). Jeden z chłopców daje głównemu bohaterowi Tomaszowi Żukowskiemu prezerwatywy. Tym chwytem reżyser sugeruje, że rodzenie się pierwszych odczuć erotycznych będzie obecne w całym filmie. Obraz torowiska pojawia się jeszcze później w „Dreszczach" jako motyw i symbol ponurej rzeczywistości.

Analizując część „szkolną" „Dreszczy" nie będę mówił o tym, co mogłoby wydawać się najistotniejsze. Mianowicie o dwóch postawach nauczycielskich. Jedną reprezentuje stary przedwojenny nauczyciel (Jerzy Bińczycki), drugą aktywny pedagog, przedstawiciel „nowego ładu" (Marek Kondrat). Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na rzecz następującą. Marczewski już w swym pierwszym filmie jakim były „Zmory" pokazał, że doskonale czuje pod względem reżyserskim klasę szkolną jako zbiorowość. W „Dreszczach" jest w uczniowskich dowcipach coś z atmosfery Gombrowicza. Rzucona piłka rozbija kałamarz brudząc uczennicę, rzucanie papierami, robienie sobie nawzajem kawałów czy wreszcie nieszczęśliwie zakończone chodzenie po gzymsie. Skoro już jesteśmy przy „Zmorach", to trzeba stwierdzić, że Marczewski kontynuuje w „Dreszczach" uprzednio podjęty temat: w jaki sposób otoczenie wpływa na rozwój wrażliwości jednostki. W „Zmorach" mieliśmy do czynienia z rodzącą się osobowością młodego poety Mikołaja Srebrnego, w „Dreszczach" Tomek Żukowski także reprezentuje ten typ wrażliwości. Na tej płaszczyźnie rysuje się podobieństwo pomiędzy pierwszym a drugim filmem.

Część druga filmu rozpoczyna się od długiej panoramy po wnętrzu. Na żelaznych łóżkach śpi młodzież. Na białych koszulach wiszą czerwone chusty. Dzięki zastosowaniu skrótu myślowego, jakim jest przejście od części pierwszej, gwałtownie wchodzimy w zamkniętą enklawę obozowego świata. Stajemy się świadkami dokonywania psychicznego gwałtu na jego uczestnikach. Tomasz początkowo bardzo nieufnie odnosi się do stosowanych metod. Nie uczestniczy chociażby w zbiorowym pościgu za chłopcem rzucającym kamień w okno. Przyjmuje rolę obserwatora dziejących się wydarzeń. W tym momencie stać go było jeszcze na odruch buntu, gdy dowiedział się, że listy na obozie są kontrolowane. Z czasem jednak obserwujemy zachodzące w nim przemiany. Na tym właśnie polega siła filmu Marczewskiego i jego głęboko ludzki wymiar. Ukazując powolny proces przemian świadomościowych chłopca, reżyser przeprowadza tę analizę bardzo delikatnie, ukazując, że o przejściu na drugą „stronę barykady" nie decydują czasami wielkie hasła i idee, ale zwykłe ludzkie namiętności. W przypadku młodego bohatera decydującą rolę odegrał rodzący się pociąg erotyczny do wychowawczyni (Teresa Marczewska). Nie był to jednak erotyzm w pełni uświadomiony. Tkwił on jeszcze głęboko pod skórą i dopiero zaczynał budzić się do życia.

Dwie sceny wydają się być najważniejsze w drugiej części filmu. Pierwsza, gdy Tomasz spotyka się z ojcem, który wrócił z więzienia w wyniku zachodzących w kraju przemian, po wydarzeniach poznańskich. Ojciec pragnie zabrać syna do domu, ten jednak odmawia, twierdząc, że jego miejsce jest na obozie. Po tej scenie widzimy, jak młody neofita proponuje rozprawić się z prowokatorami, którzy podnieśli dłoń na partię, niszcząc przygotowane transparenty. Tak więc system wartości propagowany przez ojca załamał się. W przypadku Tomasza zwyciężył podskórny erotyzm.

Przedstawione powyżej wnioski mogłyby doprowadzić uważnego czytelnika do konkluzji, że „Dreszcze" w gruncie rzeczy niewiele mają wspólnego z polityką. Otóż tak nie jest. Film Marczewskiego jest niewątpliwie polityczny, gdyż ukazuje w jaki sposób manipulowano młodzieżą w imię doktrynalnych założeń. Ale nie tylko. Oprócz tego wymiar polityczny tkwi w stawianych przez reżysera pytaniach. Co stało się później z Tomaszem, który otrzymał swoją pomarańczę? Może został tak, jak bohater „Wahadełka" psychopatą, a może jego losy potoczyły się jeszcze inaczej?

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Wydaje się, że zainteresowanie naszych filmowców okresem stalinowskim nie wynika tylko z faktu (jak twierdził Sandauer), że obecnie można ten okres dowolnie krytykować. Okres lat 50 jest po prostu świetną materią filmową, która doskonale się fotografuje ze względu na atrybuty, takie jak transparenty czy czerwone chusty. O tym także doskonale pamięta Wojciech Marczewski.

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

„Jaskinia filozofów"

W lipcu 1983 roku pisałem na łamach „Odgłosów" o Studiu Teatralnym SŁUP", działającym przy DDK Łódź — Widzew, które zaprezentowało sztukę Stanisława I. Witkiewicza „Nowe wyzwolenie" w reż. Marcela Szytenchelma. Zapowiadałem wtedy kolejne osiągnięcie młodego, ambitnego zespołu teatralnego, o którym jak wtedy pisałem: „będziemy jeszcze z pewnością *słyszeli i czytali*". Ponowna okazja do zwrócenia uwagi na pracę „Słupa" nadarzyła się niedawno, kiedy to zaprezentował kolejną premierę „Jaskinię filozofów", spektakl oparty o „Jaskinię filozofów" Zbigniewa Herberta, dialogi Platona i pieśni Eurypidesa, w układzie tekstowym, inscenizacji i reżyserii Marcela Szytenchelma.

Temat trudny, nietypowy, ciekawy. Słynny, starożytny filozof Sokrates nie zrozumiany przez współczesnych mu ludzi przenosi swoje myślenie, działanie, wzorzec postępowania do naszej współczesności.

W maleńkiej salce piwnicznej oglądamy ostatnie dni życia Sokratesa, które filozof spędził w jednym z ateńskich więzień.

Reżyser spektaklu postawił nam pytanie: Kim był Sokrates? Człowiek, który w dziejach filozofii, a szczególnie w dziejach etyki wywarł największy wpływ wychodząc z założenia, że człowiek powinien poznać nie tylko kosmos, a więc otaczający go świat, ale przede wszystkim samego siebie, bowiem nie jest izolowanym mikroświatem, lecz stanowi jedność z kosmosem.

Kim jest ten, co przechyla kielich cykuty — filozofem, symbolem, a może tak jak każdy z nas... człowiekiem.

Historię o Sokratesie oglądamy na dwóch planach: przy stole, gdzie siedzą chórzyści — współcześni komentatorzy: młody inteligent, głupia sekretarka, młodzieżowa aktywistka i biedna dziewczynka oraz w celi Sokratesa, którego odwiedzają Platon, Kriton, Laches, Ksantypa, Wysłannik Rady.

Komentatorzy opisują widzom zdarzenia dziejące się na głównym planie, przy okazji prezentując różne postawy i światopoglądy.

Stół jest jeden, ale łączy wszystkie środowiska młodych ludzi. Pogląd jest jeden, choć każdy patrzy na tragedię Sokratesa inaczej.

Całość uzupełniają celnie dobrane dialogi Platona z dramatu „Obrona Sokratesa" i „Kriton", a także pieśni Eurypidesa i dobra, współtworząca nastrój spektaklu muzyka Pawła Humki.

Reżyser stara się przekazać widzom treść sztuki i ideę nie poprzez dosadne, obrazowe demonstrowanie różnych zadań aktorskich, popis czy wchodzenie w postać, lecz poprzez słowa, które wiele znaczą. Aktorzy muszą nimi zaznaczyć, że w sztuce wszystko jest względne.

Finał sztuki sugeruje, że wszystko jest aktualne, problemy ludzi nie zmieniają się mimo upływu wieków. A o życiu decydują czasem kości, w które postanowili zagrać komentatorzy za stołem.

Chórzysta I. Wiecie co? Zagramy w kości.

Chórzysta II: Dobra myśl.

Chórzysta III: Gramy.

Chórzysta I: Gramy do końca, a potem jeszcze raz.

„SŁUP" potrafi mówić teatralnym językiem o ważkich i trudnych problemach człowieka, obchodzących nie tylko nas, ale i naszych wiekowych przodków, a może jest odwrotnie, że to oni wciąż nas tego uczą?

Marcel Szytenchelm wystawiając swój kolejny spektakl potwierdził swój nie ustający rozwój twórcy ambitnego, poszukującego, interesującego.

Dobrych odtwórców swoich wizji znalazł w młodym zespole aktorskim, spośród którego na wyróżnienie zasługują: Janusz Godziebiewski — Sokrates (samotny, załamany, dogorywający), Robert Luchniak — Platon (zaślepiony w filozoficzne postawy i racje), Ryszard Pepłoński — Laches) nie rozumiejący niczego poza filozoficznymi tyradami), Ewa Drążkiewicz — Ksantypa (jakże ludzka i zbolała sytuacją męża) czy wreszcie Marcel Szytenchelm — Kriton (jedyny ludzki człowiek w tym towarzystwie).

„Jaskinia filozofów" cieszy się dużym zainteresowaniem młodzieży, która chętnie odwiedza Studio Teatralne „SŁUP", wiedząc, że spotka się tu z teatrem ciekawym, oryginalnym, może przy tym spektaklu zbyt trudnym w warstwie myślowej, ale jakże bliskim im młodym współczesnym w swojej wymowie.

BOHDAN GADOMSKI

Na zdjęciu: Marcel Szytenchelm (Kriton) i Janusz Godziebiewski (Sokrates)

LIST Z WYBRZEŻA

Jeszcze jedna „Operetka"

Od kilku lat w teatrze polskim trwa sezon Witolda Gombrowicza. Widzowie scen stołecznych mają okazję oglądać cały serial gombrowiczowski. Pisarz ten szturmem wszedł do naszych teatrów — szkoda, że tak późno.

Teatr Wybrzeże nie pozostaje w tyle za innymi scenami. Przed kilku laty przedstawił „Iwonę, księżniczkę Burgunda", następnie „Ślub" a teraz zaprezentował premierę „Operetki". Wszystkie te przedstawienia reżyserował Ryszard Major twórca od lat zafascynowany pisarstwem Gombrowicza i jego filozofią.

Major przez całe lata marzył o tym, by móc zrealizować „Operetkę". Pragnienie to się ziściło: w ciągu minionego roku reżyser ten aż dwukrotnie opracował scenicznie ten dramat — najpierw w Teatrze Współczesnym w Szczecinie, którego jest kierownikiem artystycznym, a teraz w Teatrze Wybrzeże. Nie oglądałem realizacji szczecińskiej, natomiast przez dłuższy czas z bliska obserwowałem próby „Operetki" w Gdańsku. Sądzę, że jest to przedstawienie, które pod wieloma względami zasługuje na uwagę i jednocześnie na kilka uwag krytycznych.

Najpierw jednakże o plusach tego spektaklu. Otóż nowością realizacji Ryszarda Majora jest sama interpretacja tekstu sztuki Gombrowicza. Nie jest to bowiem spektakl wyreżyserowany „na kolanach" wobec samego Gombrowicza, nie traktuje on w istocie ani o rewolucji, ani też nie rozważa antynomii strój — nagość. Tematy te, rzecz jasna, są obecne w gdańskim przedstawieniu, jednak nie one decydują o jego odkrywczości.

„Operetka" Witolda Gombrowicza w Teatrze Wybrzeże jest spektaklem o miejscu intelektualisty w świecie współczesnym — o jego roli, znaczeniu i wszelkich myślowych i moralnych powikłaniach. Major więc dość schematycznie przedstawia dwór księcia Himalaj, na którym mistrz Fior jest tylko szeregowym projektantem mody. Nie koncertuje także uwagi widza na perypetiach Szarma i Firuleta z Albertynką. W centrum zainteresowania reżysera znalazła się postać Profesora, którego w gdańskim przestawieniu gra Henryk Bista. Z pewnością dla wielu widzów, którzy przed spektaklem zajrzeli do programów, było dość szokujące, że tak wybitny aktor gra rolę, która w dotychczasowych realizacjach scenicznych „Operetki" nie miała znaczących osiągnięć artystycznych. Sądzę, że samo przedstawienie te obawy rozwiewa.

„Operetka" Majora dzieje się jakby w wyobraźni Profesora. Jest koszmarnym snem intelektualisty, który postanowił wcielić w życie teorie, które powstały gdzieś w ciszy gabinetu.

Profesor chcąc zmienić skostniałą rzeczywistość wprowadza na dwór księcia Himalaj lokaja Józefa, przedstawiając go jako hrabiego Hufnagla. Wydaje mu się, że ów rewolucjonista zmieni ten świat pozorów. Początkowo wszystko przebiega po myśli Profesora. Później jednak następuje dramat — władza wymyka się z ręki zagubionego intelektualisty, mało tego — Profesor musi podporządkować się byłemu lokajowi. Ten dramat Henryk Bista zarysował z wyjątkową precyzją aktorską. Stworzył typ uczonego, który nie dba o wygląd, rozchwianego w geście i sposobie poruszania się — naiwnego intelektualisty, który chce, aby było dobrze, wychodzi natomiast koszmar. Bista chodzi po scenie w jakimś wymiętoszonym kapelusiku, trzymając w rękach książki, z którymi nigdy się nie rozstaje. Drobnym kroczkiem biega po scenie, próbując daremnie zrozumieć mechanizm przemian, który sam uruchomił. Byłem poruszony i przejęty rolą Henryka Bisty i uważam ją za znaczącą w bogatym dorobku artystycznym tego aktora.

Postać Profesora dominuje nad pozostałymi, co nie znaczy, iż aktorsko przedstawienie jest słabe — ciekawie budują swoje role Joanna Bogacka (Księżna), Zbigniew Olszewski (Firulet), Florian Staniewski (Szarm) i Kuba Zaklukiewicz (Hufnagiel). Autorem pomysłowej i zabawnej muzyki jest Andrzej Głowiński. Tylko dlaczego prawie wszystkie piosenki są nagrane na taśmę? Jest to moje główne zastrzeżenie wobec tego wartościowego przedstawienia — powód irytacji nie tylko mojej.

Ludzie płacą za bilety i mają prawo czuć się dość nieszczególnie, gdy aktorzy cały czas śpiewają na playback'u. Tak poważna placówka artystyczna, jak Teatr Wybrzeże powinna tego unikać.

WIESŁAW NOWICKI

Dokończenie ze strony 1

a nawet i PGR-y, uzyskując o dziwo na ogół zadowalające wyniki. Fakt ten zmuszał do zdziwienia i zastanowienia — jak to jest możliwe? Jednym się udaje i to na własne ryzyko, a innym — ani rusz, w dodatku za państwowe pieniądze!

W moim reportażu opowiedziałem historię paszy R-T od narodzin pomysłu aż po ostatnie (z ubiegłego roku) przykłady jej zastosowania. Zapoznałem się z dziesiątkami dokumentów, rozmawiałem z wieloma ludźmi. Prawdziwość wszystkich przedstawionych w reportażu informacji mogę udowodnić. Nie mogę tylko udowodnić jednego — że pasza R-T jest dobra i nadaje się do powszechnego użytku, czy też — na odwrót — że jest zła, szkodliwa i nie warto zawracać sobie nią głowy.

Nie mogąc sobie w pełni wyrobić własnej (nie jestem ani hodowcą, ani profesorem), starałem się przedstawić opinie innych — i negatywne, i pozytywne. Niczego z góry nie chciałem sugerować, a jeżeli już, to tylko i wyłącznie to, iż moim zdaniem sprawa nie została dotąd jednoznacznie (co nie znaczy, że zdecydowanie) rozstrzygnięta. W tym poglądzie nie jestem zresztą odosobniony.

Ani przez chwilę nie wątpiłem, że problem pasz jest dla naszego rolnictwa i w ogóle gospodarki jednym z najważniejszych, zwłaszcza po 1981 roku, kiedy pożegnaliśmy się z importem, a spadek produkcji mięsa każdy Polak odczuł w postaci przydziału kartkowego. Z tego też głównie powodu uważam, że nie wolno nam teraz zmarnować już żadnej szansy, w tym także i tej, jaką daje ewentualne upowszechnienie pomysłu inż. Frontczaka. Miałem więc nadzieję, że wracając na łamach „Odgłosów" do sprawy uznanej za zamkniętą, ale nie wyjaśnionej do końca, przypomnę ją nie tylko naszym czytelnikom, ale i kompetentnym instytucjom: **Instytutowi Zootechniki** w Krakowie, **Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego — Akademii Rolniczej** w Warszawie oraz **Wojewódzkiemu Ośrodkowi Postępu Rolniczego** w Bratoszewicach, które to placówki badały onegdaj nie tyle samą paszę, co efekty jej stosowania, jak również — **Ministerstwu Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, Naczelnemu Komitetowi ZSL i Komitetowi Centralnemu PZPR**, które mogłyby mieć wpływ na podjęcie decyzji o jednoznacznym i przekonywającym zakończeniu dyskusji o paszy R-T, czyli — ponownym jej przebadaniu.

Jak do tej pory — a minął już ponad miesiąc — do poruszonej w moim reportażu sprawy ustosunkowały się: Ministerstwo Rolnictwa, SGGW-AR oraz Instytut Zootechniki. Niestety, były to odpowiedzi — krótko mówiąc — wymijające, a ich stosunek do mego reportażu można by określić obrazowo jako rozmowę ślepego z głuchoniemym.

Oto np. fragment pisma, jakie nadeszło z Departamentu Współpracy z Zagranicą i Informacji Ministerstwa Rolnictwa: **„...omawiana problematyka jest znana resortowi od ponad 30 lat. Na skutek inicjatywy inż. Stanisława Frontczaka odnośnie koncepcji paszy roślinno-torfowej resort uznał za celowe zbadanie, jaką może mieć ona wartość i przydatność, chociaż poprzednio badane koncepcje nie dały pozytywnych wyników i nie znalazły zainteresowania i zastosowania w praktyce żywieniowej. Przeprowadzone liczne doświadczenia żywieniowe w wielu jednostkach naukowo-badawczych w końcu lat 70-tych i początku 80-tych wykazały negatywne skutki paszy roślinno-torfowej w żywieniu zwierząt. Optymizm autora koncepcji, opierający się głównie na nieuzasadnionych założeniach nie uwzględniających wszystkich aspektów i znajomości fizyko-chemicznych i biologicznych torfu, nie został potwierdzony w badaniach naukowych.**

W tej sytuacji resort uznał za niecelowe dalsze angażowanie jednostek naukowo-badawczych i wydawanie dalszych społecznych środków finansowych na badania tej koncepcji.

Badania zostały wykonane przez doświadczonych pracowników naukowych i dokumentują jednoznacznie negatywny wpływ torfu i paszy roślinno-torfowej wg koncepcji autora. Mimo tego autor nie chce uznać tych wyników, gdyż nie potwierdzają jego założeń i efektów. Stawiając zarzuty nie uzasadnia dlaczego, a tylko usiłuje stworzyć atmosferę o nieudolności i niechęci naukowców i administracji państwowej do wynalazców i racjonalizatorów.

Opublikowany pogląd jest jednostronny i dotyczy dobrych chęci i trudności autora wynalazków i racjonalizacji. Trzeba też podać wyniki badań i wyciągnięte z nich wnioski."

W dalszej części pisma przedstawione zostają wyniki eksperymentów żywieniowych, które zaważyły o wydaniu negatywnej opinii o paszy R-T. Znane mi one były już wcześniej, czego w reportażu nie kryłem, a nawet niektóre z nich przedstawiłem lub omówiłem. Nie ma więc sensu ich tutaj przytaczać. Brak natomiast w piśmie ministerstwa jakiegokolwiek ustosunkowania się do tych wszystkich przypadków, kiedy wykorzystanie paszy R-T dało pozytywne rezultaty, jeżeli nie liczyć akapitu dotyczącego Babimojskiego Kombinatu Rolnego. Tu jednak nie ma już żadnych danych liczbowych, a jedynie — ogólnikowe stwierdzenia, że wcale nie było tak dobrze jak to przedstawiłem (nawiasem mówiąc, na podstawie listu dyrektora BKR do Stanisława Frontczaka, w którym to liście dziękuje on wynalazcy za udostępnienie patentu i informuje, że efekty ekonomiczne z tytułu zastosowania paszy R-T wyniosły 240 406 złotych polskich, więc coś tu się chyba jednak nie zgadza, prawda?).

Oczywiście zawsze można przedstawić zarzut — i jest on przedstawiany — iż wszystkie pozytywne testy z pasza R-T nie były prowadzone zgodnie z naukową metodologią i przez zwykłych amatorów. Można więc łatwo wyniki te zakwestionować, a nawet ośmieszyć. Zarzut ten jest jednak tylko po części prawdziwy, jako że niektóre przypadki stosowania paszy R-T z pozytywnym wynikiem są nie gorzej udokumentowane od eksperymentów prowadzonych przez naukowców. Przykładem — cytowany już przeze mnie artykuł w periodyku „Trzoda chlewna" (nr 9 z 1981 r.) dotyczący eksperymentu w Zakładzie Rolnym Swarzynice, gdzie uzyskano jednoznacznie pozytywne wyniki, notując wszystko tak jak trzeba. Ale fakt ten ministerstwo w swoim piśmie do „Odgłosów" delikatnie pomija i zbywa milczeniem. Przemilcza również i to, że eksperyment w SGGW-AR, na który się powołuje, przeprowadzono w rażącej sprzeczności z ideą wynalazku i założeniami autora (zastosowano tam pełne nawożenie mineralne torfu, choć Frontczak nie tylko nigdy tego nie sugerował, ale uważa to wręcz za wypaczenie jego idei). Można zatem postawić pytanie: co właściwie badano w SGGW-AR — paszę R-T pomysłu inż. Frontczaka, czy też coś zupełnie innego?

Oczywiście pismo SGGW-AR w Warszawie, jakie otrzymałem niedawno, także nie porusza tej przykrej kwestii. Oto zresztą jego treść z niewielkimi skrótami: **„...— poglądy na ten temat były już wyrażane przez kompetentne instytucje (m.in. Instytut Zootechniki, Ministerstwo Rolnictwa), — także w naszej uczelni przeprowadzono eksperyment (por. Maciak F., Liwski S.: Podst. Nauk Roln. 3, 1980). — nie można zgodzić się z poglądem wyrażonym w reportażu (cz. III, str. 5), a zawartym w zdaniu „...należałoby przeprowadzić niezbyt rozbudowany proces badawczy w którymś z istniejących instytutów, z wyłączeniem Instytutu Zootechniki..." A to dlaczego „z wyłączeniem". Skoro jest to jedna z najbardziej kompetentnych placówek, która w dodatku już się tym zajmowała. Czyżby dlatego, że tam „Wyniki eksperymentu były... zdecydowanie negatywne"? (cz. II, str. 5), — jest pewna hierarchia ważności zagadnień wymagających racjonalnego rozwiązania w zakresie żywienia zwierząt i gospodarki paszowej; tak np. proponuje się mechaniczne suszenie tej „paszy roślinno-torfowej": teraz — przy tak wysokich kosztach energii, gdy nie jesteśmy w stanie wysuszyć wielu cennych pasz, nawet tych wyprodukowanych w rejonach działalności suszarni? — gdyby nawet była uzasadniona potrzeba, nasza Katedra nie ma możliwości przeprowadzenia doświadczeń w tym zakresie, ma bowiem zawarte umowy z koordynatorami na tematy wchodzące w skład PR-4: eksperymenty były już zresztą wykonywane."**

No i w kółko Macieju! Nihil novi. Zaś co do zdania o wyłączeniu Instytutu Zootechniki z ewentualnych dalszych badań nad paszą R-T, to jest ono cytatem z listu, co w reportażu zaznaczyłem, i nie odzwierciedla rzecz jasna moich poglądów. W tej sytuacji nie czuję się władny odpowiedzieć SGGW-AR na jej do mnie pytanie. Mogę się natomiast domyślać dlaczego to autor owego listu do KC PZPR zawarł w nim taką sugestię.

Zastanawiający jest przy tym ostatni fragment pisma. A zatem „gdyby nawet była uzasadniona potrzeba...", to i tak nic z tego — tak? Nas to nie interesuje, bo już jesteśmy zajęci? Oj, pachnie mi to biurokracją! Ale myślę też, że właśnie ów fragment jest najbardziej szczery i dużo powinien dawać do myślenia — nie tylko zresztą w sprawie paszy R-T.

Z kolei pora na odpowiedź, jaką przysłał Instytut Zootechniki: **„Jestem zaskoczony, że Redakcja „Odgłosów" wraca do tematu, który wydawałoby się został jednoznacznie wyczerpany. Autor Paweł Tomaszewski przytoczył w swoim artykule opinię trzech niezależnych ośrodków badawczych, a mianowicie SGGW, WOPRu w Batoszycach** (chyba Bratoszewicach, prawda? — przyp. P.T.) **i Instytutu Zootechniki. Wszystkie są zbliżone w oparciu o uzyskane wyniki doświadczeń. Nie ma więc potrzeby powtórnego przytaczania wyników. Wyniki innych doświadczeń, najczęściej prowadzone przez placówki produkcyjne lub innych wykonawców, przytoczone przez autora artykułu, są słabo udokumentowane i nie mogą stanowić materiału dowodowego. Także ewentualne opatentowanie pomysłu za granicą o niczym nie świadczy. Przyjmuje się każdą nowość, jeśli tylko uiści się opłatę patentową. Jednak żaden patent nie gwarantuje efektów ekonomicznych pomysłu.**

Zastanawiam się jaki cel przyświeca tak autorowi pomysłu jak i autorowi artykułu. Jeżeli tak wiele osób uważa, że pomysł jest dobry, to przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by ta „rewelacyjna" metoda znalazła szerokie zastosowanie. Jak z artykułu wynika, szereg korespondentów dostało od pomysłodawcy szczegółowe informacje. Na ten temat nie można się jednak niczego ciekawego dowiedzieć. Odnoszę wrażenie, że autor pomysłu oczekuje raczej na „grubą" gratyfikację od państwa, podczas gdy państwo już zapłaciło kilka milionów złotych za sprawdzenie niefortunnego pomysłu, przy czym, gdy prowadzono doświadczenia w Instytucie Zootechniki pan Frontczak uchylił się od przedyskutowania założeń metodycznych i nie wykazał zainteresowania prowadzonym doświadczeniem mimo naszego zaproszenia.

Na zakończenie warto wyjaśnić, że w procesach powstawania masy torfowej i produktów rozpadu zdrewniałych części roślin i substancji żywicznych powstają toksyczne substancje o charakterze aromatycznym, które zabijają mikroorganizmy żwacza tak istotne u przeżuwaczy do wykorzystania celulozy. — Tak, że torf jest więc toksyczny, natomiast nie ma zastrzeżeń co do wartości porostu roślin pastewnych kiełkowanych z nasion niezależnie na jakim wyrosły podłożu: gleby, torfu czy nawet wody (Hydroponiki), ale w tym stwierdzeniu nie ma nic odkrywczego."

Doprawdy, trudno zrozumieć. Niby wszystkim powinno zależeć, niby wszyscy rozumieją, że pasze to ważna sprawa, a jak przychodzi do konkretów — powtarza się stare argumenty i stara się dowieść, że coś jest niemożliwe, zamiast wspólnie zastanowić się, co z tego możemy mieć. Pomijając już ironiczny ton, nie odnajduję w odpowiedzi Instytutu Zootechniki rzeczowego ustosunkowania się do niektórych faktów, jakie przedstawiłem w reportażu, mówiąc, iż pasza R-T jest stosowana z powodzeniem. Krakowscy naukowcy na odległość wiedzą, co się za nimi kryje. Ciekawe!

Argument o toksyczności torfu (bardzo ogólnikowy i niczym nie udokumentowany) w dyskusji o paszy R-T pojawia się po raz pierwszy i o ile wiem, wcale nie z tego powodu pasze tę zdyskwalifikowano. Nie musiał być więc chyba aż taki istotny. Poza tym, przypomnę, nie chodzi tu tylko o karmienie przeżuwaczy, ale także np. drobiu.

Na zarzuty zawarte w akapicie zaczynającym się od słów **„Zastanawiam się jaki cel przyświeca tak autorowi pomysłu jak i autorowi artykułu..."** odpowiedziałem już na wstępie. Natomiast ironiczną uwagę o możliwości rozpowszechnienia paszy R-T pozwolę sobie zestawić z fragmentem listu, jaki otrzymałem od prof. **Stanisława Tołpy** z Katedry Botaniki i Fizjologii Roślin Akademii Rolniczej we Wrocławiu, jednego z największych znawców torfu w nie tylko polskiej nauce. Prof. Tołpa, którego poprosiłem o wyrażenie swej opinii, stawia sprawę może i brutalnie, ale jasno i szczerze:

„Moje zdanie w chwili obecnej jest identyczne z tym, które przekazałem Panu Frontczakowi i innym zainteresowanym. Jego (tzn. Pana Frontczaka) patent, pomysł czy jak to kto nazwie, tak długo nie może uzyskać „pełni praw obywatelskich" i wejść do produkcji, jak długo Resort Rolnictwa na podstawie naukowych ekspertyz kompetentnych Instytutów (które pomysł Pana Frontczaka uznają za pełnowartościowy) nie wyda tzw. „numeru rejestracyjnego", na podstawie którego znajdą się instytucje chętne do produkcji karmy pomysłu Pana Frontczaka.

Nic więcej dodać nie mogę — dura lex sed lex."

I jeszcze na zakończenie — aby nie było niedomówień i złudzeń: pasza R-T nie jest i nie może być panaceum na wszystkie nasze kłopoty paszowe, jak sobie to niektórzy naiwnie wyobrażają, choć kto wie, czy nie mogłaby przyczynić się do poprawy sytuacji. Mimo iż została opatentowana, nie jest jeszcze na pewno tworem doskonałym i gotowym, a ewentualnej jej udoskonaleniem i zbadaniem wszystkich możliwości powinny zająć się właśnie instytuty naukowe związane blisko z rolnictwem. To one powinny rozwinąć pomysł wynalazcy-amatora, starać się go ulepszyć. Takiej chęci jednak nie widać, chociaż dr Żurek z Instytutu Zootechniki stwierdził wyraźnie na podstawie dostępnej mu literatury, że **„...istnieje realna możliwość przemiany słabo rozłożonego torfu wysokiego na pełnowartościową paszę węglowodanową i węglowodanowo-białkową. Przy tym, w przeciwieństwie do pasz konwencjonalnych, torf posiada aktywność biologiczną, pobudzającą wzrost i przemianę materii u zwierząt".**

Trudno wobec tego nazywać pomysł Stanisława Frontczaka niefortunnym, jak twierdzi w swoim piśmie dyrekcja Instytutu. Może gdyby zająć się nim naprawdę i z sercem, włożyć w niego trochę pracy... A że trzeba by sfinansować to z państwowych (czytaj — społecznych) pieniędzy, to prawda. Ale czyż właśnie nie w takich celach powinno się ich używać?

Ileż to razy oficjalne gremia naukowe lekceważyły „fantastyczne i nierealne" pomysły wynalazców-amatorów, by potem życie przyznało jednak rację tym ostatnim. Ileż to razy dobre i sprawdzone nawet przez naukowców pomysły nie mogły utorować sobie drogi do przemysłu. By nie szukać daleko — wspomniany w moim reportażu siewnik do nasion traw konstrukcji tegoż Stanisława Frontczaka, powszechnie i zgodnie uznany za dobry, od ponad dwudziestu lat nie może znaleźć producenta, mimo iż była w tej sprawie decyzja ministerstwa! Niewiarygodne, a jednak prawdziwe.

Doprawdy, trudno to zrozumieć.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Nihil novi

Niestety, liczą się tylko pieniądze

J. Stanisław Knypl biada w „Odgłosach" (nr 17 z 28 kwietnia 1984 r. w artykule pt. „Mizeria studenta i asystenta") nad tym, że przyszli koryfeusze myśli humanistycznej, technicznej i wszelkiej innej mają ambicje mniej niż średnie. Z takimi ambicjami świata naprzód się nie pchnie, „prochu się nie wymyśli", najwyżej można żyć sobie skromnie, cicho i nijako. J. Stanisław Knypl już nie pierwszy raz publicznie wyraża obawę o przyszłość naszej kultury i nauki. Bo jak tak dalej będzie się u nas ceniło myśl, pracę umysłową, koncepcyjną, to skutki będą takie, że inne narody będą się rozwijały, dokonywały postępu, a my będziemy się cofali.

„Przyczynę dzisiejszego „braku motywacji" i niedostrzegania perspektyw związanych z wykształceniem — pisze J. Stanisław Knypl — *stanowi przez dziesięciolecia kultywowane mniej lub bardziej skrycie — a ostatnio jawne, bagatelizowanie pracy wysoce kwalifikowanej, niskie cenienie walorów umysłu i skutków jego koncepcyjnej aktywności".*

I ja się z tym zgadzam. Cała dyskusja — jaka się ostatnio rozpętała — o preferencyjnych punktach na wyższe uczelnie dla dzieci robotników i chłopów diabła jest warta. Jest to dyskusja o pozorach, o plastrze, którym chce się — pod pozorem leczenia — przykryć istotne przyczyny choroby. A chorobą tą jest po prostu nieprzestrzeganie zasady, że płaci się za rzeczywiście wykonaną pracę. Zasada ta — o czym wszyscy wiedzą i z czym w teorii zgadzają się — jest podstawową zasadą socjalizmu. Tylko że przystępując do praktyki zamyka się po prostu na nią oczy. Teoria sobie — praktyka sobie. Co też nie jest zgodne z oficjalnie wyznawaną filozofią, która zakłada bezwarunkową zgodność praktyki z teorią. W myśl tej filozofii praktyka musi potwierdzać teorię, a jeśli tego nie czyni, to coś należy zmienić: albo praktykę, albo teorię. U nas przyznaje się, że trzeba zmienić praktykę, ale znów tylko w teorii, bo w praktyce brniemy dalej w systemy płac, które nie pracę mają za miernik, a miejsce pracy.

Co gorzej, system ten przenosi się również na szkolnictwo. Dla nikogo przecież nie jest tajemnicą, że pierwsza selekcja dokonuje się po szkole podstawowej. W tym momencie życia młody człowiek musi dokonać zasadniczego wyboru: albo odważnie rzucić się w wir życia, albo kuć jeszcze przez wiele lat, mając w perspektywie marne zarobki i wcale nie zawrotne nadzieje. A wiadomo, że świat należy do odważnych. Odważnym zresztą pomagają wszyscy.

Od pewnego czasu gromadzę ogłoszenia szkół zawodowych. Oto na przykład, co Zasadnicza Szkoła Zawodowa Stoczni „Wisła" w Gdańsku oferuje kandydatom: bezpłatne umundurowanie dwa razy w ciągu trzech lat, bo tyle trwa nauka, bezpłatnie komplet podręczników do wszystkich trzech klas, bezpłatnie jeden posiłek dziennie, zamiejscowym bezpłatne zakwaterowanie. Mniej zamożni mogą otrzymać kwartalnie 2500 zł zapomogi, co w ciągu trzech lat nauki może wynieść 30 000 złotych. Nie musi, ale może. Poza tym każdy uczeń dostaje miesięcznie: w I klasie — 2 250 zł, w II — 2 700 plus 20 proc. premii, w III — przy bardzo dobrych wynikach do 5 900 złotych. Jeszcze nie zaczął pracować, a już może wcale nieźle — jak na potrzeby ucznia — zarabiać. Za co? Przede wszystkim za to, że wybrał tę, a nie inną szkołę.

Inne szkoły nie mają takich możliwości. Na przykład Zespół Szkół Zawodowych Kombinatu Maszyn Włókienniczych „Polmatex — Wifama" stwierdza skromnie, że *„absolwenci szkoły mają zagwarantowaną pracę w wyuczonym zawodzie oraz możliwość kontynuowania nauki w przyzakładowym technikum mechanicznym dla pracujących"*. Zresztą prawie wszystkie reklamujące się szkoły zapewniają po nauce pracę w wyuczonym zawodzie. Pytanie tylko, czy absolwenci się zgodzą, czy też odpłyną sobie w siną dal, co się przecież wcale nie tak rzadko zdarza.

Nie jestem przeciw stypendiom. Bezpłatna oświata i pomoc w czasie nauki — to nic nowego. Domagano się i walczono o to od dawna. Jest to bezsprzecznie nasze osiągnięcie. Ale nie może to być licytacja szkół zawodowych przed absolwentami szkół podstawowych. A jest z tym gorzej niż źle. Stawki płacone uczniom w różnych szkołach są różne. Na przykład Zasadnicza Szkoła Zawodowa przy Spółdzielni Pracy „Przystań" w Skierniewicach płaci uczniom I i II klas po 2 500 zł miesięcznie, a dopiero w III klasie 3 400 zł, zastrzegając się, że *„w przypadku dobrych wyników w nauce w.w. kwoty mogą ulec podwyższeniu"*. Przyzakładowa szkoła zawodowa MPK w Łodzi w I klasie płaci 2 100 zł, w II — 2 400 zł, w III — około 4 000 zł. Ale *„po roku nauki przysługuje deputat węglowy"* oraz uczeń korzysta z wolnych przejazdów tramwajami i autobusami MPK. Techniczne Szkoły Budownictwa Okrętowego „Condradinum" w Gdańsku przede wszystkim przyjmują do szkoły bez egzaminu, a następnie okres nauki zaliczają do stażu „Karty stoczniowca". Uczniowie „Condradinum" otrzymują wynagrodzenie *„zgodnie z obowiązującymi przepisami"* oraz dodatek adaptacyjny w wysokości od 300 do 1 600 zł *„w zależności od wyników w nauce i sprawowaniu"*, w klasie II i III nagrody w wysokości 25 proc. *„wynagrodzenia miesięcznego"*. A poza tym: dwa razy w ciągu trwania nauki (dwa razy na trzy lata) bezpłatne umundurowanie, bezpłatne posiłki regeneracyjne, bezpłatne przybory i podręczniki, a także pomoc materialną mniej zamożnym. Proszę zwrócić uwagę: nie używa się pojęcia „stypendium" tylko „wynagrodzenie". Że uczeń pracuje w warsztatach szkolnych? Zgoda. Ale niech w momencie wyboru zawodu wie, że pieniądze będzie dostawał za pracę w warsztatach, a nie za fakt, że łaskawie dokona takiego a nie innego wyboru.

Tę licytację szkół przed uczniami uważam za demoralizującą. Życie sprzyja odważnym, ale nagroda za odwagę jest co najmniej za wysoka. Taka nagroda powinna być za pracę. Czyż można się później dziwić, że absolwenci tych szkół nie o pracę się martwią, a o zarobki, aby były możliwie wysokie przy minimalnym wysiłku. Ta droga wiedzie na manowce. Jeśli od młodego człowieka wymaga się tylko, aby był i uczył się, dając mu w zamian wszystko, co wydaje mu się być potrzebne, to jak można później dziwić się, że dorosły już człowiek nie będzie chciał nic dać z siebie. On nadal będzie oczekiwał, że państwo będzie mu dawało, bo go się tego w młodości nauczyło. A ludzie najmniej szanują to, co im zbyt łatwo przychodzi.

Jeszcze raz powtarzam: nie jestem przeciw pomocy uczącym się, ale musi to być pomoc mądrze dawana, na zasadzie coś za coś. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że już na pierwszym etapie selekcji element najbardziej dynamiczny wybiera najbardziej opłacalną drogę życiową, że do liceum ogólnokształcącego idą już ci „gorsi", którzy boją się ryzyka. Może więc sobie J. Stanisław Knypl rwać włosy z głowy, narzekać i biadać, że studenci są nijacy, może ich obrzucać obelgami, oczekując, że się odezwą, a oni i tak będą milczeli, bo wyboru dokonali znacznie wcześniej i teraz ponoszą tylko tego konsekwencje. Przecież w całej tej licytacji szkół nie pada ani razu słowo zdolności, predyspozycje, skłonności. Liczą się tylko pieniądze. Niestety!

Zróbmy coś z tym fantem! Nie pozwólmy na degradację myślenia, zdolności, talentów!

LUCJAN BOGUSZ

ZA MAŁO O SPRAWACH SŁUŻBY ZDROWIA

Redakcja „Odgłosów" otrzymała list, w którym autorki (?) piszą:

„Ostatnio za mało drukuje się tekstów dotyczących służby zdrowia, zwłaszcza konkretnych... Wygląda tak, jakby problemy przyszły, zniknęły, a wcale tak nie jest..."

Zgadzamy się z tym poglądem. I nie jest naszym zamiarem unikanie trudnych spraw służby zdrowia. Nie jesteśmy jednak pismem specjalizującym się tylko w sprawach służby zdrowia Innych spraw też jest wiele i chcielibyśmy też nimi się zajmować.

„Wiemy, że problem braku pielęgniarek urósł już do olbrzymich rozmiarów. Różnymi sposobami — piszą dalej autorki (?) listu — **zwiększa się ich liczbę, aby załatwić najpilniejsze potrzeby, jednakże wciąż jest ich za mało... Żaden szpital nie może istnieć bez pielęgniarek".**

Bez wątpienia i sprawami pielęgniarek należy się zająć. Zatem i ten temat włączymy do naszych redakcyjnych planów.

Dlaczego jednak nie publikujemy w całości cytowanego listu?

Z jedynego tylko powodu. Jest on podpisany: **„Grupa pielęgniarek z Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. M. Kopernika w Łodzi".** A zatem jest to anonim. Dlatego przy słowie „autorki" stawiałem znak zapytania. Nie mamy bowiem żadnej pewności, czy jest to rzeczywiście list wielu autorek czy jednej? Niczego bowiem też nie wyjaśnia „PS", który zacytuję:

„Nie podpisujemy się imiennie, gdyż musimy przyznać, że jesteśmy za mało odważne, a list ten niewątpliwie nie będzie się podobał naszym przełożonym... W naszym liście nikogo nie krzywdzimy, nie oczerniamy, przypominamy tylko problem, nie są więc chyba ważne nazwiska".

A właśnie, że są ważne. Przyjęliśmy taką zasadę, aby nie publikować anonimów. Zwracaliśmy się już do Czytelników z prośbą, aby podpisywali listy do redakcji. Czytelnik ma prawo skorzystać z anonimowości, zastrzegając swoje nazwisko i swój adres tylko do wiadomości redakcji. A redakcji nie wolno zdradzić tej tajemnicy. Zobowiązuje do tego dziennikarzy „Kodeks Obyczajowy". A od 1 lipca 1984 roku — wchodzące życie — „Prawo prasowe" w artykule 15 tak stanowi:

„1. Autorowi materiału prasowego przysługuje prawo zachowania w tajemnicy swego nazwiska.

2. Dziennikarz ma obowiązek zachowania w tajemnicy:

1) danych umożliwiających identyfikację autora materiału prasowego, listu do redakcji lub innego materiału o tym charakterze, jak również innych osób udzielających informacji opublikowanych albo przekazanych do opublikowania, jeżeli osoby te zastrzegły nieujawnianie powyższych danych,

2) wszelkich informacji, których ujawnienie mogłoby naruszać chronione prawem interesy osób trzecich.

3. Obowiązek, o którym mowa w ust. 2, dotyczy również innych osób zatrudnionych w redakcjach, wydawnictwach prasowych i innych prasowych jednostkach organizacyjnych".

Sprawa jest więc jasna. Czytelnik musi mieć zaufanie do redakcji, do której pisze list. Redakcja publikując taki list, którego autor nie chce ujawnić swego nazwiska, bierze za jego treść całą odpowiedzialność. Musi więc wiedzieć, kto tę odpowiedzialność składa na jej barki.

A poza wszystkim nie mamy zaufania do ludzi, którzy pisują anonimy, dlatego też listów nie podpisanych imieniem i nazwiskiem oraz pozbawionych adresu nadawcy nie będziemy ani drukowali, ani wykorzystywali w naszej pracy. Wyjątek, jaki zrobiliśmy dla listu **„Grupy pielęgniarek"** wynika tylko z tego, że list ten potraktowaliśmy jako pretekst do wyjaśnienia Czytelnikom naszego stanowiska.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JA, LODÓWKA I CENY

Pan minister Zdzisław Krasiński, którego społeczeństwo kojarzy raczej z brakiem chrupiących bułeczek niż z finansami, desygnował do radia i TV, a także prasy, nie ludzi, którzy byliby w stanie wytłumaczyć nam sens podwyżek cen, jakieś logiczne ekonomiczne uzasadnienie wzrostu cen, którzy byliby w stanie obronić politykę cen państwa, nie fachowców ekonomistów, ale jakby dyplomatów, ludzi, którzy mają nas załgać, zagadać jakimiś kilkoma procentami, pomijając kilkaset. Panowie owi mają, nas maluczkich, uspokoić, że państwo czuwa nad „karkulacją" cen, jak się wyraził jeden z urzędników ministerstwa w radio. Ci panowie jakby zatracili instynkt samozachowawczy, jakby mieli za zadanie być, za przeproszeniem, wypiętymi pośladkami do bicia. Bo pomijając dorosłą populację doprowadzaną do furii mowami o tym, co jest luksusem, każde dziecko w PRL przyłoży takiemu panu jak zechce, pytając np. o cenę skarpetek, która wzrosła ostatnio o 100 procent. A jeżeli dziecko na przykład zapyta podchwytliwie, o ile wzrosła opłata za radio i TV to oni powiedzą, nie, że zdrożało o 150 proc., tylko, że było takie tanie przez tyle lat.

W styczniu 1983 r. wezwani fachowcy do mojej szwankującej lodówki zamiast naprawy, zaproponowali mi papier o niemożności naprawy. Po wymontowaniu jeszcze jako tako pracującego agregatu zostaliśmy bez lodówki. W wydzielonym sklepie zaproponowano mi przyszły zakup lodówki „Mińsk" i 8 marca 1983 r. zapisano jako oczekującego z nr 277. Cena lodówki wynosiła 18 tys. 500 zł i czas oczekiwania określono na 3—4 miesiące. Zaciągnąłem pożyczkę i spokojnie czekałem na swoją kolej. Po 4 miesiącach dowiedziałem się, że czas oczekiwania przedłuży się, a cena lodówki wzrosła o 6 tys. tj. o około 30 proc. Pożyczyłem pieniądze i zjadając z rodziną zjełczałe masło i pachnącą husarską kiełbaskę z nadzieją czekałem na radosny dzień.

W czasie, gdy usiłowałem wymyślić dla moich dzieci odpowiedź na pytanie, jakie powody uniemożliwiają nam zakup lodówki, okazało się, że to ja byłem winien, moje ciągoty do zbytku, do luksusu. Przyczyna naszej udręki, lodówka „Mińsk", została zaliczona do artykułów luksusowych. Cena oczywiście stała się również luksusowa 31 tys. 500 zł.

Mijał właśnie rok oczekiwania, dostałem trzynastą pensję, po naradzie rodzinnej postanowiliśmy dotrwać do końca. Na moją interwencję w sklepie, dlaczego tych lodówek jest tak mało, oświadczono mi, że w magazynie są, ale „na sklep nie dają", bo mają zdrożeć. Okazało się, że luksus, na który postanowiłem sobie pozwolić ma być superluksusem, ma przekraczać wszystkie moje możliwości i finansowe, i nerwowe, i jakąkolwiek możliwość przystosowania się do działań gospodarczych mających na celu rzekomo ochronę m.in ludzi takich jak ja.

W prima aprilis „moja" lodówka kosztowała 58 tys. Dostaliśmy histerii ze śmiechu. Ostatniego marca po południu do Domu Handl. „Central" tj. na dzień przed podwyżką, dostarczono do wolnej sprzedaży po starych cenach partie „Mińsków", które można było nabyć od paserów po 60 tys. od ręki. Dlaczego tych lodówek nie można było dostarczyć do sklepu, gdzie ludzie na nie czekają latami?

Po całorocznym kiwaniu mną jak palcem w bucie, po bezprawnym jak się teraz okazuje pozbawieniu mnie mojej starej, ale jeszcze jako tako pracującej lodówki, w sposób urągający wszelkiej etyce handlu i dobremu obyczajowi znalazłem się w punkcie wyjścia tzn. lodówki nie mam i mieć nie będę, bo muszę jeść chleb, a nie lodówkę.

24 kwietnia dostałem zawiadomienie, że mogę już kupić lodówkę, bo są nawet w wolnej sprzedaży. He, he, chcą mi pewnie przyłożyć domiar od luksusu.

Może jeszcze nie zwariowałem.

Czołem Wasz nr 277.

(NAZWISKO I ADRES DO WIADOMOŚCI REDAKCJI)

NIE RÓWNO, LECZ SPRAWIEDLIWIE

Z pewnym niedowierzaniem i zdziwieniem przeczytałem, że z powodu trudności z papierem zmniejszono nakład „Odgłosów" do 20 tysięcy. Jest to zaskakujące dlatego, że ostatnio sprzedawano „Odgłosy" w ilości 45 tysięcy egzemplarzy, co było absolutnym rekordem w dziejach tygodnika. Dokonano więc niezwykle drastycznej redukcji.

Ale zdumienie moje wzrosło jeszcze, kiedy dowiedziałem się z dobrze poinformowanych źródeł, że „Odgłosy" będą miały teraz taki sam nakład jak „Tygodnik Piotrkowski", „Wiadomości Skierniewickie" i „Nad Wartą". Nic nie mam przeciwko periodykom obsługującym sąsiednie województwa; nie czytam ich zresztą, gdyż nie docierają do „moich" kiosków. Nie rozumiem jednak, dlaczego przy redukcji nakładów nie uwzględniono liczby mieszkańców poszczególnych województw, nie mówiąc już o zróżnicowanych potrzebach.

Aktualnie mieszka w piotrkowskim 618 tys. osób, skierniewickim 401 tys. i sieradzkim 394 tysiące. Natomiast nasze województwo liczy 1 mln 142 tys. mieszkańców. Poza tym Łódź należy do największych ośrodków akademickich i kulturalnych w kraju. Czy tzw „decydentom" nie przyszło do głowy, aby dane te wziąć pod uwagę i potraktować zainteresowanych nie równo, lecz sprawiedliwie?

Pracownicy Redakcji i Czytelnicy „Odgłosów" zostali po prostu skrzywdzeni. Można nawet odnieść wrażenie, że ktoś skorzystał z okazji i ukarał Redakcję. Być może komuś nie podobało się, że nakład tygodnika systematycznie wzrastał? W każdym razie mamy do czynienia z decyzją jawnie niesprawiedliwą i niesłuszną, którą należy zmienić. Myślę że przynajmniej o 10 tysięcy więcej egzemplarzy nakładu powinny „Odgłosy" otrzymać.

EDMUND LEWANDOWSKI

GODNY PODZIWU SAMOKRYTYCYZM

Dostaliśmy wierszowany list od Stanisława Smardzewskiego z Pabianic, który dodaje, iż jest członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych, nr legitymacji 1112, wydanej w Lublinie. Właściwie są to dwa listy. Oba wierszowane. Pierwszy jest o „Odgłosach", drugi o sobie, czyli o autorze listów.

Oto fragment pierwszego:

„Kupiłem „Odgłosy"
po prostu spod lady
z dodatkiem „Gromady".

Gdy będzie „Odgłosów"
nadal niedostatek,
co będę musiał
kupować na dodatek...

Obecnie w „Odgłosach"
jest tak, jak w teatrze,
jeśli nie przeczytam,
to chociaż popatrzę..."

Miło nam, dziękujemy za dobre słowa, choć wiersz to nie wysokiego lotu, a wręcz przeciwnie. Zresztą Stanisław Smardzewski sam krytycznie tak pisze o swojej pisaninie:

„... I jestem rencistą,
na wikcie państwowym,
tylko czasem rymy
przychodzą do głowy.
Tylko moje wiersze
idą wprost do kosza,
bo żaden niewart
złamanego grosza."

O RECENZJI Z „DZIADÓW"

Panie Redaktorze.

Władysław Orłowski recenzując „Dziady" („Dziady" — święto teatralnej Łodzi". „Odgłosy" 1984 nr 15) sugeruje, iż program do przedstawienia mylnie podaje datę poprzedniej realizacji utworu Mickiewicza w Łodzi. Ponieważ chodzi o sporządzone przeze mnie calendarium wystawień „Dziadów" na łódzkich scenach pozwalam sobie na niniejsze wyjaśnienie.

Dla przypomnienia: w calendarium podałem, że „Dziady" w Teatrze Powszechnym wystawiono 3.IV.1965 r., a zdaniem recenzenta premiera odbyła się 27.III.1965 r. Niestety, nie jest to prawdą. 27.III. (sobota) w T.P. grano sztukę Domańskiego „Ktoś nowy", a nazajutrz Osieckiej „Piosenka prawdę Ci powie". Pierwsze przedstawienie „Dziadów" odbyło się w podanym przeze mnie terminie, tj. 3.IV.

Przy sprawdzeniu nie jest konieczne wertowanie stosownych numerów gazet. Wystarczyło sięgnąć choćby po program T. P. do owego przedstawienia, bądź porównać z informacjami zawartymi w „Almanachu Sceny Polskiej" (sezon 1964/65). W obu wypadkach wymieniono 3.IV. Natomiast serdecznie odradzam bezkrytyczne korzystanie z wydawnictw jubileuszowych Teatru Powszechnego przygotowanych na XX i XXV-lecie pracy teatru. Są one obciążone znaczną ilością omyłek i niedokładności, m. in. w zapisie dotyczącym premiery „Dziadów".

Władysław Orłowski poprawiał to właśnie, lecz nie dostrzegł rzeczywistego błędu. Chodzi o przesunięcie o miesiąc premiery „Dziadów" w 1917 r. Wystawiono je 30.X., a nie 30.XI. Wyjaśniam i przepraszam, choć na „poprawki" i inne wyczyny chochlika w drukarni nie posiadam wpływu.

Przy okazji pragnę dodać uściślenia do innych uwag recenzenta. W relacji czytamy m. in. „Wprawdzie w 1908 r. po raz pierwszy w zaborze rosyjskim wystawiono cały utwór na scenie właśnie tutaj, za dyrekcji Aleksandra Zelwerowicza (...)" Zelwerowicz nie wystawił całych „Dziadów". Owszem, grano cz. I, II, IV zgodnie z kształtem nadanym przez adaptatora, jednak w III cz. do tekstu okrojonego przez Wyspiańskiego (usunął np. Widzenie Ewy, Salon Warszawski) doszły skreślenia cenzury. W wyniku tego na scenę dostały się zaledwie sceny więzienne, też mocno skrócone. Nie ma potrzeby przypisywania Zelwerowiczowi decyzji cenzorskich.

Premiera z 1908 r. nie była pierwszą realizacją utworu na terenie zaboru rosyjskiego, lecz jedynie w Królestwie Polskim (wówczas już — byłym Królestwie). Sądzę, że różnic (także terytorialnych) między Królestwem a zaborem rosyjskim nie muszę przedstawiać. Znane są jeszcze ze szkolnego kursu historii. Poza Królestwem, ale na terenie zaboru znajdowało się m. in. Wilno, gdzie „Dziady" wystawiono wcześniej — 8.XII.1906 r.

O najnowszej premierze Władysław Orłowski pisze: „Maciej Prus, autor najświeższej mise en scène w Teatrze Jaracza, najwięcej bodaj zachował z „Dziadów" Wprowadził mianowicie do swego przedstawienia nie grywaną dotąd Część I, zaczynając je od słów Dziewicy:

Świeco niedobra! właśnie pora zgasnąć!

I nie mogłam doczytać — czyż podobna zasnąć?

I nie mogłam doczytać — czyż podobna zasnąć? a nie od sakramentalnej inkantacji Chóru: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie... otwierającej wszystkie dotychczasowe inscenizacje".

Nieprawda! Część I grywa się od ponad 80 lat. Znalazła się już w inscenizacji Wyspiańskiego (jako odsłona I). Uwzględniali ją także inni twórcy, np. Leon Schiller (w jego realizacji część I była Prologiem) czy Aleksander Bardini (Teatr Polski, Warszawa 1955 — pierwsze „Dziady" po 1945 r.; tu część I tworzyła Obraz pierwszy).

W Łodzi sceny części I grane są od 1908 r. Twierdzenie recenzenta zdumiewa tym bardziej, że tekst części I znalazł się też w poprzedniej łódzkiej realizacji utworu z 1965 r. Władysław Orłowski relacjonował ją czytelnikom „Głosu Robotniczego"...

Już choćby te przykłady przeczą sugestii recenzenta o rozpoczynaniu wszystkich dotychczasowych inscenizacji od części II. Bo tę zapewne ma na uwadze pisząc o kwestii chóru „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie"... Wprawdzie przytoczone słowa padają i w części I, ale tylko z ust Guślarza. Również od tej sceny — podążania na obrzęd — bardzo rzadko rozpoczynano przedstawienia. Sięgano raczej po inne fragmenty. Np. śladem Wyspiańskiego zaczynano od sceny Starzec — Dziecię.

Nie można też twierdzić, że na scenie pomijano monolog Dziewicy. Był już w adaptacji Wyspiańskiego — skrócony i z Dziewicą przemianowaną na Marylę. Podobnie jak u Macieja Prusa monolog Dziewicy otwierał spektakl w inscenizacji Aleksandra Bardiniego.

O co zatem chodzi recenzentowi? Niewiedza to czy usilne przydawanie wartości spektaklowi? Sądzę, że przedstawienie w Teatrze im. Jaracza posiada dostatecznie wiele zalet, by potrzebna była tak bałamutna obrona.

JAN J. SKĄPSKI

P.S.

Na omyłki Władysława Orłowskiego zwracam uwagę tylko dlatego, że są one symptomem zasmucającego, acz coraz powszechniejszego zjawiska postępującej głuchoty na sceniczne losy utworów. Przykre, że do harcującej gromadki dezinformatorów czy wręcz ignorantów z prasy codziennej tak spiesznie dołączają sprawozdawcy „Odgłosów".

„TRUDNE POWROTY"

W tygodniku „Odgłosy" toczy się polemika między autorem powieści pt. „Trudne powroty" p. Józefem Spychalskim a p. Włodzimierzem Krzemińskim, który zarzuca autorowi, że opisane w Jego książce wspomnienia są tak bulwersujące, że trudno uwierzyć, by były prawdziwe. Otóż książkę tę czytałam, przez wszystkie obozy tj. w Augustdorfie, Herfordzie, Haltern, Dornicku — nazwanego później przez nas „Spadochronowem", przeszłam i warunki, jakie w nich mieliśmy są całkowicie zgodne z opisywanymi, z tym, że obóz w Haltern został opisany zbyt łagodnie, bo tak naprawdę to było dużo gorzej. Jeżeli warunki w Augustdorfie, gdy wojna jeszcze trwała, i w Herfordzie, gdzie przeżyliśmy jej zakończenie, można Amerykanom darować, to warunków w Haltern nie można Anglikom wybaczyć.

Przecież obóz ten przygotowany został przez naszych sojuszników, więc nikt z nas takiego potraktowania się nie spodziewał.

Mam nadzieję, że moje wyjaśnienie choć w minimalnym stopniu przyczyni się do rozładowania napięcia, jakie powstało między obu wyżej wymienionymi Panami.

Pozostaję z poważaniem.

W.E.
(NAZWISKO ZNANE REDAKCJI)

SPROSTOWANIE

Zwracam się z uprzejmą prośbą o zamieszczenie niniejszego sprostowania:

Sklep WSOP w bl. 30 na osiedlu „Chojny-Zatorze" faktycznie został otwarty w dniu 27 marca br., o czym nie był poinformowany samorząd mieszkańców. Natomiast nie zostały otwarte usługi rtv w tym samym bloku. Blok zasiedlony w czerwcu ub. roku. W następnym bl. nr 29, który został zasiedlony w kwietniu ub. roku do dnia dzisiejszego nie została otwarta ajencja PKO oraz pomieszczenie w bl. 210 przewidziane na usługi nie zostało zagospodarowane od przeszło roku.

Wprawdzie rozpoczęły się prace przy układaniu chodnika w dniu 12 bm., lecz zostały znów przerwane na ul. Mieszczańskiej

Za pomyłkę w druku przepraszam zainteresowane instytucje oraz Czytelników „Odgłosów".

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

KOMUNIKAT

W dniu 17 kwietnia 1984 roku rozstrzygnięty został konkurs literacki na powieść z dziejów polskiej lewicy. Organizator — Krajowa Agencja Wydawnicza — z satysfakcją informuje, że po analizie nadesłanych na konkurs utworów jury w składzie: Witold Nawrocki (przewodniczący), Feliks Fornalczyk, Kazimierz Koźniewski, Wacław Sadkowski, Tadeusz Kaczmarek i Jerzy Dałek wydało następujący werdykt:

Laureatem I nagrody został Roman Landowski (Tczew) za powieść „Wyrok u wszystkich świętych" — opatrzoną godłem „Cezaryna Bohusz".

Dwie równorzędne II nagrody otrzymali: Jerzy Wawrzak (Łódź) za utwór „Gwiżdżąc na śmierć" — godło „Rekitnica" i Stanisław Ryszard Dobrowolski (Warszawa) za „Pokój do wynajęcia" — godło „Alfa".

Dwie równorzędne III nagrody: Jan Ziemba (Dąbrowa Górnicza) za „Dojrzewanie" — godło „Szczęście Agnieszki" i Jan Łysakowski Rzeszów) za „Klasę" — godło „Michał".

Jury przyznało także cztery wyróżnienia. Otrzymali je: Ludwik Bronisz-Pikało (Lublin) za powieść „017 nadaje" — godło „Ewa", Leon Wantuła (Rybnik) za „Boso do nieba" — godło „Robak", „Jarosław Warzecha (Łódź) za „Sprawę żyrardowską" — godło „Jerzy Jarosławski" i Andrzej Twerdochlib (Gdańsk) za „Sploty" — godło „4589".

Wszystkie nagrodzone i wyróżnione utwory zostaną wydane nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.

Miss Polonia '84

Fotoreportaż Janusza Kubika

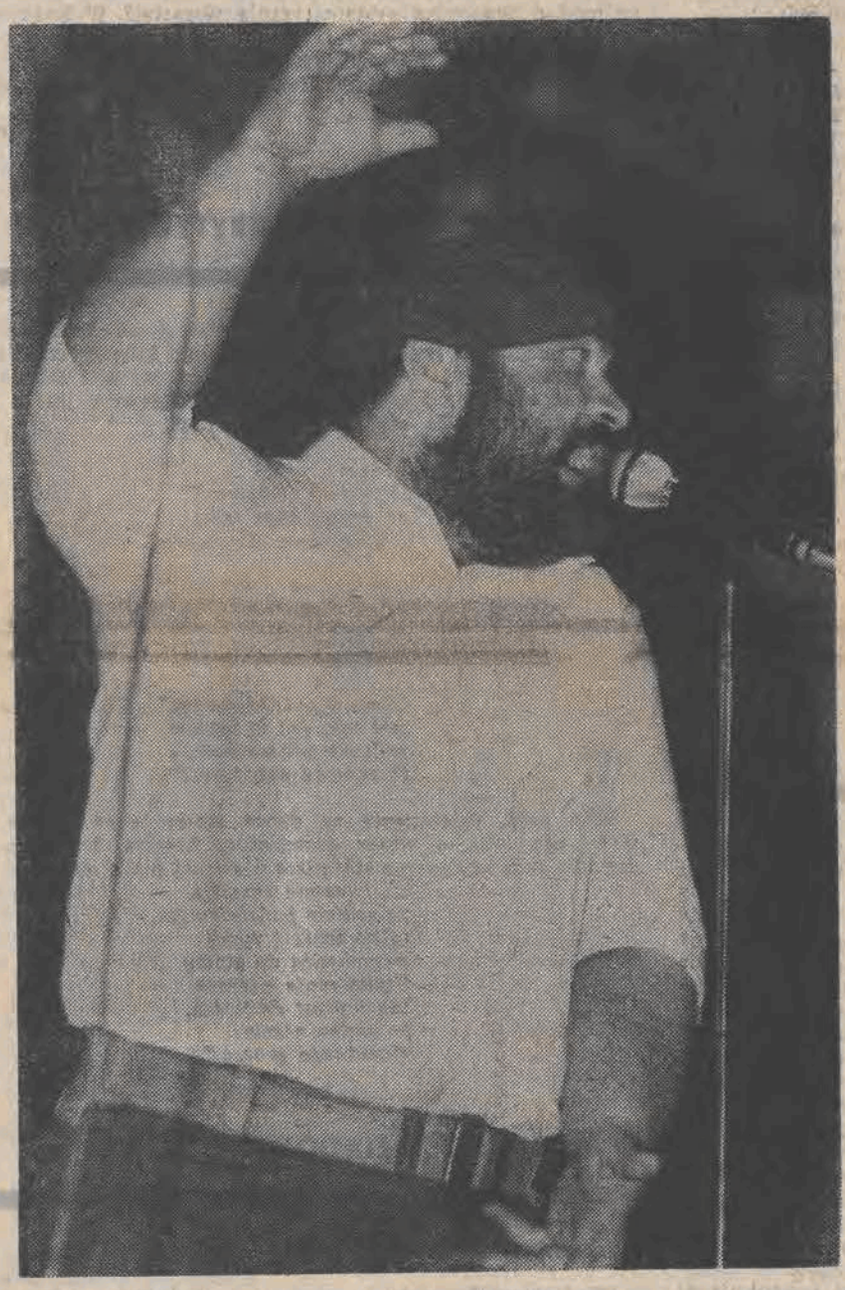

86—60—90 czyli triumf filozofii

Dokończenie ze strony 1

tysiąca panienek defilowało przed jurorami w 26 miastach. Raz ksiądz z ambony interweniował przeciw, raz wypowiedział się na ten temat rzecznik rządu. W efekcie 41 finalistek zostało skoszarowanych w Zaborowie, a następnie na trzecim piętrze hotelu „Forum". Dostępu do panienek strzegli wynajęci ludzie, którzy raz tylko zeszli z posterunków, by dać ochronę Miss Świata przed fotoreporterami polującymi na ujęcie z myciem koronowanej głowy w uspołecznionym hotelowym punkcie fryzjerskim.

Za 1500 zł publiczność spodziewała się zobaczyć Jana Pietrzaka i dziewczyny. Wyszło odwrotnie i bez Pietrzaka. Wiało nudą do momentu ogłoszenia wyników, z małymi przerwami na „Wały Jagiellońskie" i wygłupy duetu Mann-Materna. Fotoreporterów konferansjerzy prosili, by zachowywali się po europejsku i zaprzestali walki o lepsze miejsca. Panienkom na scenie drżały łydki. Pierwsza dostała „malucha", druga wycieczkę do Bułgarii, trzecia za duże futro z lisów.

JULIAN BECK

Rozmowa z biskupem Pekinu

Ciężko doświadczona w pierwszych latach reżimu chińska wspólnota katolicka, która w 1949 r. skupiała około 3 mln wiernych, przeżyła liczne przeciwności, jakie od ponad trzech dziesięcioleci znaczyły drogę jej bytowania i historię kraju. Przeżyła ponawiające się co rusz kampanie polityczne, aresztowania, zerwanie w 1958 r. z Watykanem, rewolucję kulturalną. Od kilku lat przejawia nawet pewien wzrost aktywności, która choć ograniczona, niemniej jednak jest wyczuwalna. Aby sobie to uzmysłowić, wystarczy udać się do kościoła w niedzielę rano w porze mszy. Jednym z przejawów tej nieśmiałej odnowy było w grudniu 1979 r. wyświęcenie biskupa, głowy diecezji pekińskiej, po raz pierwszy od 1964 r. Biskup Fu Tieschan, według metryki lat 52, łatwo może uchodzić za młodszego o lat 10. Średniego wzrostu, twarz okrągła, serdeczny uścisk dłoni... Od biskupa bije prostoduszność i szczera bezpośredniość. Czy biskup Fu, przez Rzym nie uznany, uważa się mimo wszystko za biskupa takiego jak inni? Odpowiedź pada roztropna, gdyż biskup Fu jest mistrzem w sztuce stosowania uników. „Jestem pasterzem" — oświadcza. A owieczki? Jest ich w Pekinie i okolicach — czyli z ogółem 9 mln mieszkańców — około 30 000, czyli 5 do 6 razy więcej, niż deklarował przed 4 laty. Liczba znikoma, a jednak połowa tego, co było w 1949 r. Zresztą krzywa, jeśli mowa o chrztach, pnie się w górę — w 1982 r. 300, podczas gdy w 1980 r. — 100. Najmłodsi nowo ochrzczeni mają 15, a najstarsi nieco więcej niż 20 lat. W zeszłym roku, podobnie jak w 1981 r., było około 100 ślubów kościelnych.

„W skali światowej katolicy chińscy są maleńką gromadką uczniów Jezusa Chrystusa" — mówi biskup Fu. Łącznie w całych Chinach liczba katolików wynosi ponoć, tak samo jak było w momencie wyzwolenia, 3 mln. Jest to liczba, którą się wymienia, ale której sprawdzić nie sposób. Nauka religii odbywa się na ogół w rodzinie. Biskup Fu przypisuje to „tradycji". Zdarza się jednak, że księża — jest ich 14 przy katedrze w Nantang, gdzie ma siedzibę biskup — rozmawiają po mszy z niektórymi spośród wiernych lub że młodzi wracając z pracy zachodzą do plebanii. Diecezja ma zresztą od 2 lat własne seminarium duchowne ulokowane na przedmieściu. Naukę pobiera w tym seminarium 10 Chińczyków, z których 6 jest już po postrzyżynach kapłańskich.

KATOLICY I OBYWATELE

Biskup Fu przyznaje, że rzadko zdarza się, żeby ktoś nawrócił się na katolicyzm. Jakkolwiek bywają takie rzeczy. Ale tak naprawdę — po cóż nawracać na katolicyzm? Co to znaczy być chrześcijaninem dzisiaj w kraju takim jak Chiny? Biskup Fu odpowiada: „Pierwszym pytaniem, jakie stawia sobie katolik, jest pytanie, po co ludzie żyją na świecie. A później rzecz w tym, żeby czcić Pana i działać gwoli zbawienia własnej duszy". Oczywiście — dorzuca po chwili milczenia biskup — „katolicy chińscy są również obywatelami". Już nie wdając się w rozważania nad pasterskim sensem swojej misji, biskup Fu rozpoczyna długi wywód historyczny o ewolucji chińskiego Kościoła katolickiego w ostatnich 100 latach: „Przed wyzwoleniem Kościół chiński był zeuropeizowany. To powodowało, że wielu katolików odczuwało miłość do krajów obcych, a nie do własnej ojczyzny. Dziś katolicy chińscy są zrzeszeni w stowarzyszeniu patriotycznym, którego celem — obok misji religijnej — jest jednoczyć wszystkich wiernych i ich kapłanów, żeby uczestniczyli w budowie kraju. Stowarzyszenie ma też na płaszczyźnie politycznej zadanie wykorzenienia wpływów zagranicznych". Ale dlaczego narażając się na uwypuklenie politycznego charakteru tej organizacji, trzeba było aż wyraźnie określić ten Kościół mianem „patriotycznego"? Biskup Fu prostuje: „Nie „Kościół" lecz „stowarzyszenie". Zdaje się, że biskup przywiązuje duże znaczenie do tego szczegółu. Zwróci na niego uwagę jeszcze trzy razy w toku naszej rozmowy. Oświadcza: „Wiem, że pewni ludzie za granicą wypaczają wyobrażenie o nas i ustosunkowują się tak, jak gdyby nasze stowarzyszenie nie było katolickie. Ale widzi Pan, okazuje się, że nasza wspólnota jest równocześnie katolicka i patriotyczna. Czyli w sumie, tak jak Kościół francuski! On też ma poczucie patriotyzmu, Francuzi są patriotami, dobrze to wiadomo". Biskup Fu wybucha głośnym śmiechem. Jest w widoczny sposób rozbawiony pointą własnej wypowiedzi.

Biskup Pekinu dobrze się przygotował z historii Francji. Udaje, że niby tej historii nie zna, ale do niej sięga po przykłady, żeby podbudować swoją tezę. Stosunki między Kościołem i państwem? „Wszak kiedyś pewien kardynał francuski był ministrem spraw zagranicznych". Trudne stosunki z Watykanem? „A niech Pan sobie przypomni kłótnie między Filipem Pięknym i papieżem Bonifacym VIII". Biskup wraca do czasów obecnych. — „W każdym razie to nie my ponosimy odpowiedzialność za zerwanie z Rzymem. Ale cóż? W historii zdarzają się niekiedy przypadki niesprawiedliwości".

POTAJEMNE DZIAŁANIA

Pod jakimi warunkami mogłoby dojść do nawiązania dialogu z Rzymem? Czy jedyną przeszkodą są stosunki, jakie Watykan utrzymuje z Tajwanem? Twarz biskupa Fu niezauważalnie utraciła swój otwarty wygląd. „Tajwan, oczywiście, jest problemem. Ale są też inne. Dla przykładu: kuria rzymska wyraziła pragnienie nawiązania stosunków z Kościołem chińskim — to jest jej publiczne stanowisko. Ale za kulisami prowadzi potajemne działania, które zmierzają do tego, żeby mieszać się do sporów chińskich. Podburza księży, żeby wdawali się w poczynania, które podkopują ustrój socjalistyczny". Według biskupa Pekinu, takich przestępstw wobec prawa dopuścili się 4 jezuici z Szanghaju aresztowani w 1981 r. i skazani na początku obecnego roku na długie kary więzienia. Czy nie sądzi on jednak, że kary, jakimi zostali dotknięci — aż do 15 lat więzienia — są szczególnie ciężkie, jeśli weźmie się pod uwagę podeszły, od 64 do 81 lat, wiek tych ludzi oraz fakt, iż już uprzednio doświadczyli przeszło 20-letniego pozbawienia wolności? Czy cnota chrześcijańska nie nakazuje żywić współczucia dla tych nieszczęśników? „Oczywiście — odpowiada biskup Fu — nie pragniemy, żeby dochodziło do tego rodzaju sytuacji. Błagamy Pana, żeby pobłogosławił tych księży i pomógł im, aby jak najszybciej poczuli skruchę."

Biskup Fu modli się „oczywiście" za biskupa Kong Pinmei, dawnego biskupa Szanghaju, uwięzionego od 1955 r. Biskup Kong ma dziś przeszło 80 lat. Czy istnieje Kościół „podziemny", wierny Rzymowi? Nie — mniema biskup Fu — „to nie odpowiada prawdzie. Chcą go zorganizować pewni cudzoziemcy, ale ich knowania nie powiodą się". Czy religia zachodnia, katolicyzm może być uważany za „zanieczyszczenie umysłu"? Też nie — sądzi nasz rozmówca — bo „wolność wiary jest wpisana do konstytucji".

Czy odcięci od Rzymu katolicy chińscy uważają się za izolowanych od świata? Nie tak bardzo. Chińczycy wyznania katolickiego zamieszkali za granicą licznie przyjeżdżają w odwiedziny. Są cennym kanałem informacji. Biskup Fu nie zna jeszcze stanowiska zajętego przez biskupów francuskich w sprawie „odstraszania" nuklearnego. Za to „słyszał jak mówiono" o stanowisku episkopatu amerykańskiego. Ze swojej strony biskup Fu uważa, że główną groźbą, jaka zawisła nad światem, jest hegemonizm Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych". Osobiście, biskup Pekinu jest „przeciw odstraszaniu nuklearnemu". Zresztą — dodaje w nieco pośpiesznym skrócie — Chiny oświadczyły, że nie użyłyby jako pierwsze broni jądrowej. „Najlepiej byłoby, jeśli nie wytwarzano by tego rodzaju broni i zniszczono by tę, która istnieje". Ale biskupowi wydaje się w sposób oczywisty, że nie należy wyolbrzymiać ryzyka powszechnej wojny nuklearnej. Myśl o niej, rzucona w rozmowie z biskupem, wywołuje u niego nawet uśmiech, tak jakby była wyświechtanym „trickiem propagandowym". Stanowczo — w sprawie przyszłości zarówno swojej wspólnoty, jak i całej ludzkości — biskup Fu Tieshan jest niezachwianym optymistą.

LE MONDE

Życie kobiet zaczyna się po czterdziestce

Czy nie mogła pani znaleźć jakiegoś weselszego tematu", „Czy nie jest pani za młoda, aby interesować się tym problemem?" „Czy nie mogłybyśmy porozmawiać o czymś przyjemniejszym?" — takie uwagi słyszałam od przyjaciółek i znajomych w wieku od 48 do 53 lat, kiedy zaczęłam przeprowadzać ankietę na temat klimakterium, popularnie zwanego „zmianą życia".

Słysząc to można by pomyśleć, że zamierzamy dyskutować o czymś, czego trzeba się wstydzić, o czym można mówić tylko w czterech ścianach gabinetu lekarskiego — lub o czym można tylko żartować. Wszystkie rozmówczynie prosiły o niepodawanie nazwisk.

Jest wiele przyczyn tych zastrzeżeń, przy czym niektóre z nich wywodzą się z atawistycznego tabu na temat płodności. W niektórych pierwotnych społeczeństwach, w których wartość kobiety oceniano według jej zdolności rodzenia dzieci, utrata tej zdolności pomniejszała jej status jako kobiety. W naszym rozwiniętym, przeludnionym świecie, w którym tak wysoko ceni się młodość, jest to przede wszystkim podyktowane obawą przed starzeniem się. Kobiety boją się, że przestaną być przedmiotem pożądania i miłości.

Może się to wydać paradoksalne, niemniej jednak faktem jest, że w miarę przesuwania się granicy tzw. średniego wieku lęk przed klimakterium wzrasta. Za czasów cesarstwa rzymskiego, kiedy kobiety żyły przeciętnie 23 lata i w epoce wiktoriańskiej, gdy przeciętna długość życia kobiety wynosiła 45 lat, niewiasty po prostu nie dożywały klimakterium, umierały zanim nadszedł ten fatalny okres. U Balzaka starsza kobieta była bohaterką powieści „La femme de trente ans" (Kobieta trzydziestoletnia). Stephen Vizinczey w swej powieści „In Praise of Older Women" (Chwalę starsze kobiety) przedstawiał panie 40-letnie.

Dzisiaj, gdy tyle słynnych gwiazd filmowych — jak Jane Fonda, Elizabeth Taylor, Sophia Loren, Joan Collins etc. — zbliża się (lub przekroczyło) pięćdziesiątkę, czterdziestka stała się wiekiem „eleganckim". W wielu filmach i powieściach występują czterdziestoletnie kobiety szczęśliwie zakochane w mężczyznach znacznie młodszych. Ale, jak powiedziała Lady Antonia Fraser z okazji swych 50 urodzin, niezależnie od tego, jak się wygląda, pięćdziesiątka jest początkiem wieku średniego, a także zazwyczaj początkiem klimakterium.

„Wyraz rozczarowania pojawia się na twarzy każdego mężczyzny, gdy tylko mówię mu, że mam pięćdziesiąt lat — mówi pewna przystojna instruktorka sportowa. Inna z kolei kobieta zwierza się, że właśnie nawiązała romans i nie chce go niszczyć, wyjawiając kochankowi, że przeżywa okres klimakterium. „To słowo brzmi jak dzwon na pogrzeb" — mówi.

Nic więc dziwnego, że na temat klimakterium stosunkowo niewiele się pisze. Zajmują się tym tematem tylko niektóre fachowe pisma. Nawet Ruch Wyzwolenia Kobiet raczej stroni od problemów klimakterium. (Jedyną fachową pozycją w tej dziedzinie jest książka Wendy Cooper „No change" — „Bez zmiany" — wydana w 1975 roku).

Obecnie 95 proc kobiet w krajach rozwiniętych żyje do 75 lat, co oznacza, że jedna trzecia ich życia przypada na okres po klimakterium. Tak więc sprawa regulowania tych problemów stała się bardziej palaca. Granica wieku klimakterycznego przesunęła się w niewielkim stopniu od czasów starożytności, kiedy Arystoteles i Avicenna ustalili ją na 49 do 50 lat. Jednak u niektórych kobiet klimakterium zaczyna się wcześniej, u innych zaś później — Guinness wymienia np. kobietę, która urodziła dziecko w wieku 57 lat.

PRZECIW NATURZE

Proces klimakteryczny rozpoczyna się w momencie, gdy jajniki przestają wytwarzać estrogen i progestogen, czyli hormony kierujące funkcja reprodukcji. Ustaje wówczas menstruacja. Problemy związane z tymi zmianami określa się jako „cechy klimakteryczne". „Chociaż jej lata ubiegały, klimakterium drażniło ją jak młodzieńczość" — pisał Lord Byron.

Pomyślnym sygnałem jest to, że owego „drażnienia" można obecnie spokojnie i bezboleśnie uniknąć dzięki Teorii Zastępowania Hormonów (HRT), zalecającej zażywanie brakujących hormonów w postaci farmakologicznej. Pionierem HRT był w latach 50 i 60 Amerykanin pochodzenia angielskiego, dr Robert Wilson, który w 1966 roku opublikował wyniki swych badań w swym bestsellerze pod tytułem „Forever Feminine" (Wieczna kobiecość). Dr Wilson twierdził w tej książce, że medycyna dotychczas „lekceważyła" klimakterium ze szkodą dla kobiet i że teoria zastępowania hormonów może przeciwdziałać niektórym „kastrującym" skutkom, dając kobietom możność zachowania przez dłuższy czas młodości i zdrowia.

Od tego czasu właśnie w Wielkiej Brytanii przeprowadzono najwięcej poważnych badań w tej dziedzinie (charakterystyczne jest zresztą, że Brytyjczycy najmniej się tym chwalą — o badaniach przeprowadzonych przez nich dowiedziałam się od lekarza francuskiego). Zajmował się tym problemem przede wszystkim dr John Studd wraz z całą ekipą badaczy z King's College Hospital i z Dulwich.

„Przed 10 laty założyliśmy w Birmingham pierwszą klinikę ubezpieczalni zajmującą się problemami klimakterium — opowiada dr Studd — ale wywołało to falę protestów ze strony lekarzy, którzy mieli nam za złe, że traktujemy zjawisko naturalne jako chorobę. Wystosowali odpowiednią petycję do lokalnego oddziału Brytyjskiego Stowarzyszenia Lekarskiego i musieliśmy klinikę zamknąć. Ja jednak nie zrezygnowałem; utworzyłem grupę badaczy i przeniosłem się do Londynu".

Argument o rzekomym działaniu „przeciw naturze" pojawia się zawsze, gdy dokonuje się jakiś przełom w medycynie. Królowej Wiktorii odmówiono zastosowania chloroformu podczas porodu, ponieważ nie było to „naturalne". Na szczęście królowa postawiła na swoim, oświadczając kategorycznie: „My rodzimy dziecko i my żądamy chloroformu!"

Trzeba było aż 10 lat, by teoria zastępowania hormonów znalazła uznanie w oczach lekarzy. „Obecnie — mówi dr Studd — żaden lekarz nie przepisze pacjentce valium, mówiąc jej „trzeba się pogodzić z wiekiem, droga pani".

25 procent kobiet przechodzi okres klimakterium bez większych problemów, ale co najmniej 30 do 40 procent cierpi dotkliwie i musi szukać pomocy. Lista symptomów i dolegliwości przypomina egzotyczne tortury: „Wachlarz objawów fizycznych jest bardzo szeroki — poczynając od uderzeń krwi do głowy, palpitacji serca, bezsenności i migren, aż do nadmiernego owłosienia, przybierania na wadze, atrofii pochwy, utraty libido i łamliwości kości" — mówi dr Studd — Szpitale pełne są kobiet ze złamaniami nadgarstka, kostek i podudzia, spowodowanymi osteoporosis (tzw. szklane kości), która jest z kolei rezultatem niedoboru estrogenu. Innym z kolei następstwem jest utrata collagenu, substancji, która zapewnia jędrność skóry — stąd właśnie bladość i przejrzystość skóry u osób starszych".

Jakby tego jeszcze było za mało, w okresie klimakterium występują także symptomy psychologiczne, jeszcze gorsze niekiedy niż fizyczne, gdyż odbijają się na stosunkach z otoczeniem. Owe symptomy to przede wszystkim niepokój, głęboka depresja, paranoja, agorafobia itp. Jak mówi dr Studd, „trudno te symptomy oddzielić od normalnych problemów starzenia się. Kobieta 50-letnia, która ma dorosłe dzieci i której mąż uznał nagle, że jego młoda sekretarka lepiej go rozumie, nie jest klimakteryczką, lecz kobietą nieszczęśliwą. Żadna teoria zastępowania hormonów nie może jej pomóc".

Skoro jednak teoria ta może usunąć wszystkie symptomy klimakterium i zapewnić jego łagodny przebieg, dlaczego niektórzy lekarze nadal nie chcą ich przepisywać, jak to się zdarzyło w przypadku jednej z moich przyjaciółek? Zapytałam o to jej ginekologa, dr Eliota Philipa, niegdyś pracującego w Royal Northern Hospital, a obecnie specjalistę z Harley Street. Oto co odpowiedział: „Zawsze muszę grać rolę tego „czarnego charakteru", który nie chce stosować terapii hormonalnej i każe kobietom cierpieć. A ja po prostu jestem bardzo ostrożny i każdy przypadek rozpatruję odrębnie, także gdy chodzi o pigułki antykoncepcyjne. I tak np. jeśli kobieta ma bardzo znikome objawy klimakterium, a natomiast cierpi na skrzep, wówczas nie zalecam HRT — ponieważ dotychczas nie udowodniono jej całkowitej nieszkodliwości w podobnych przypadkach. Wyniki ostatnich badań w Stanach Zjednoczonych wykazały nawet, że wśród kobiet zażywających hormony zastępcze zwiększyła się nieco liczba zawałów serca, ale jest to za nikły procent (tylko 1232 pacjentki), aby móc wyciągnąć z tego definitywne wnioski. Zalecam natomiast HRT w przypadkach, gdy objawy klimakteryczne są bardzo uciążliwe i nieprzyjemne i gdy nie ma przeciwwskazań".

Niechęć lekarzy do HRT jest częściowo uzasadniona obawą przed zwiększeniem się liczby przypadków nowotworu złośliwego. W latach 70-tych, wiele kobiet amerykańskich, zachęconych przez dr Wilsona, zaczęło regularnie zażywać hormony, traktując je jako eliksir młodości. Po kilku latach statystyki wykazały alarmujący wzrost zachorowań na raka macicy wśród kobiet zażywających hormony i wybuchła panika.

MAM TYLKO 70 LAT!

Dr Studd wyjaśnia dlaczego tak się stało: „Początkowo produkowano tylko tabletki estrogenowe, które powodowały zgrubienie ścianek macicy, co w niektórych przypadkach prowadziło do raka. W późniejszym okresie nasze badania wykazały, że przy jednoczesnym stosowaniu innego hormonu żeńskiego — progestogenu — na zasadzie cyklicznej, tak jak przy stosowaniu pigułek antykoncepcyjnych — można było zapobiec niebezpieczeństwu raka. Jest to nasza stała praktyka terapii długofalowej. Nadal nie podajemy hormonów kobietom, które miały raka macicy lub piersi, bądź też mają skłonności do skrzepu".

Co się zaś tyczy utraty libido, to większość kobiet, z którymi rozmawiałam twierdziła, iż pociąg seksualny nie zmienił się u nich w większym stopniu po klimakterium. Gdy pewien dziennikarz zapytał kiedyś słynną francuską pieśniarkę i tancerkę Mistinguett, czy żądza seksualna u kobiet zmniejsza się z wiekiem, wielka diva odpowiedziała: „Skąd mogę wiedzieć? Mam dopiero 70 lat!"

„Nikt nie wie jak funkcjonuje libido — mówi dr Studd — i mężczyźni także mają z tym problemy, podobnie jak kobiety. Nie ma jednak podstaw, aby twierdzić, że pociąg seksualny czy też atrakcyjność kobiet zmniejsza się z chwilą ukończenia 50 lat. Gdy pracowałem w mojej pierwszej klinice widywałem pacjentki, które wyglądały staro w wieku 50 lat, a obecnie wyglądają na 40 albo nawet 30 lat. Postawy się zmieniają i mężczyźni nie zwracają już takiej uwagi na to, ile kobieta ma lat, ale przede wszystkim na to, jak wygląda. Byłoby jednak absurdem twierdzić, że HRT jest eliksirem młodości — nic nie może powstrzymać procesu starzenia się. Może ona jednak zapewnić łagodniejszy jego przebieg i utrzymać w dobrym stanie kości, mięśnie i skórę".

Hormony są łatwo przyswajalne i można je zażywać w trojaki sposób — doustnie w formie tabletek, podskórnie, przez wszywanie substancji pod skórę podbrzusza i wreszcie przez zwykłe wcieranie maści hormonalnej w okolice żołądka. Ostatnia metoda jest szeroko stosowana we Francji, natomiast w Anglii jest jeszcze nieznana.

Pewna znana 58-letnia aktorka i dramatopisarka francuska powiedziała mi: „Co rano wcieram maść zaraz po kąpieli i jestem żywą reklamą klimakterium: moja kariera zaczęła się po pięćdziesiątce".

Zapytałam dr Studda, co sądzi o osławionym klimakterium u mężczyzn. „Jest to mit — odpowiedział dr Studd — U mężczyzn występuje normalny spadek energii, ale nie ma nagłego zatrzymania. Mężczyźni przeżywający „kryzys średniego wieku" boją się starości, jak wszyscy ludzie. Ale ich aktywność hormonalna nie spada nagle i znamy wiele przypadków sławnych mężczyzn którzy zostali ojcami w podeszłym wieku — jak Picasso, Chaplin itd. Jednakże w przeciwieństwie do kobiet nie mogą oni wiele uczynić, aby powstrzymać stopniowy zmierzch witalności i pogarszanie się wyglądu zewnętrznego. 50-letnia kobieta może obecnie wyglądać o wiele młodziej, niż mężczyzna w tym wieku. Kobiety mogą więc przestać martwić się o swój los, skoro tyle dla nich zrobiono".

Zamiast czekać na pierwszy atak klimakterium można obecnie, za pomocą zwykłego testu, określić stopień niedoboru estrogenu i zacząć stosować HRT zanim wystąpią przykre objawy. Oddziały ginekologiczne szpitali ubezpieczalni takie możliwości stwarzają. „Uważam, że HRT jest bardzo ważną dziedziną medycyny zapobiegawczej" — konkluduje dr Studd.

Tak więc „zmiana życia" nie musi być zmianą na gorsze. Gdy przypominam sobie, jak cierpiała moja matka 30 lat temu w Persji, nie napotykając zrozumienia ani współczucia z niczyjej strony, a już najmniej ze strony swej kilkunastoletniej wówczas córki — nie mogę powstrzymać się od myśli, jak bardzo jesteśmy szczęśliwe teraz.

THE OBSERVER

W kręgu fantastyki

Twórca maszyn

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

Stere zwany Bosonogim szedł główną dróżką osiedla, mijając drewniane zagrody i zacienione wejścia do pieczar. Słońce prażyło niemiłosiernie, ale Steremu to nie przeszkadzało; lubił ciepło. Dlatego dobrze żyło mu się w tym osiedlu, położonym w płytkiej kotlince i obwarowanym od północnej strony skałami.

Skały przynosiły podwójną korzyść; chroniły od chłodnych wiatrów i — dzięki systemowi jaskiń — dawały schronienie mieszkańcom. Funkcja obronna tego naturalnego ostrokołu nie miała znaczenia. Wszelkie walki zbrojne żyły tylko w baśniach i legendach, a dzikie zwierzęta rzadko opuszczały leśne gąszcza.

Przed zagrodą swojego przyjaciela, Złotowłosego Itro, Stere zatrzymał się.

— Cześć Bosonogi! — gospodarz wyszedł mu na spotkanie. Zza ogrodzenia wyskoczyły dwa kundle, które poznały przybysza i poszczekując radośnie zaczęły łasić się i domagać pieszczot.

— Witaj — Stere uścisnął podaną dłoń. Przykucnął i uszczęśliwił psy kilkoma przyjaznymi klepnięciami. — Mam trochę wolnego czasu i pomyślałem, że wpadnę do ciebie. Nie było dotąd okazji poznać twojej żony...

— Doskonale. Ulma właśnie przygotowuje posiłek.

Przeszli obok przybudówki dla zwierząt domowych i weszli do pieczary. Stere starannie wytarł nogi w skórkową wycieraczkę. Miał niespotykanie olbrzymie stopy, a ponieważ rzadko nosił sandały, nazywano go Bosonogim.

Wewnątrz było chłodniej, lecz wcale nie za zimno. Przy ognisku stała zgrabna, drobnej budowy dziewczyna. Smażyła coś na kawałku blachy. Zapach przypiekanego mięsa drażnił nozdrza.

Stere poczuł, że jest bardzo głodny. W jego gospodarstwie brakowało kobiety, zatem rzadko jadał bardziej wymyślne potrawy.

Na widok wchodzących dziewczyna przerwała pracę. Stere przedstawił się. Po krótkiej wymianie zwyczajowych uprzejmości, usiedli przy stole. Ulma wróciła do ogniska i wkrótce podała posiłek. Leżące na drewnianych tackach zarumienione mięso wyglądało nadzwyczaj apetycznie. Stere wetknął zaostrzony patyk w dymiący kawałek i spróbował.

— O rety! — krzyknął. — Co to za mięso?

— Nie smakuje ci? — zaniepokoiła się Ulma.

— Wręcz przeciwnie. Jest wyśmienite, ale ma dziwną konsystencję. Czy to wieprzowina?

— Tak. Tylko... Itro! Może pokażesz mu swój wynalazek?

— Pozwól Bosonogi — rzekł Itro i zaprowadził go w kąt jaskini. Wskazał leżącą na stole drewnianą konstrukcję w kształcie walca. Była pusta w środku i zamknięta z jednej strony krążkiem z licznymi otworkami. Obok Stere dostrzegł przedmiot przypominający muszlę zakończoną wystającym kolcem.

— Sporo się nameczyłem, zanim to wykonałem. Wszystko jest z najtwardszego drewna — powiedział Złotowłosy.

— Ale ja nic nie rozumiem — przyznał się Stere.

— Spójrz — Itro wziął muszlę i wsunął ją w walec. Kręcę korbką i środkowa część obraca się. Tędy — wskazał otwór w ścianie walca — wkładam mięso pokrojone na kawałki. Karby na muszli wykonane są w ten sposób, że przesuwają je w kierunku krążka z otworkami. Na końcu znajduje się kawałek ostrej blachy. Mięso zostaje pocięte i wydostać się może tylko przez te otworki. Wylatuje z nich dokładnie zmielone.

Stere ożywił się.

— Wspaniałe! — krzyknął spontanicznie. — Przecież to... Maszyna. Potrafisz robić Maszyny.

— Bo ja wiem? — zastanowił się Itro. — W każdym razie to urządzenie nazwałem Maszynka Do Mięsa.

— Masz zamiar pracować dalej?

— To nie jest takie proste, przyjacielu — Itro zasępił się. — Ograniczają mnie możliwości realizacji pomysłów. Zrobienie Maszyny wcale nie byłoby takie trudne, gdybym dysponował materiałem o odpowiedniej twardości i narzędziami do jego obróbki. Szczególnie dotkliwie odczuwam brak łączników umożliwiających zespolenie poszczególnych części. Podobno Mieszkańcy Ruin...

— Jacy Mieszkańcy Ruin? Przecież to nędzarze...

— Mówię o przeszłości. Ruiny nie zawsze były Ruinami. Zbudowali je ludzie.

— Wierzysz w takie rzeczy? — zdumiał się Stere.

— A dlaczego nie? Dlaczego mam nie wierzyć w jedyne logiczne wytłumaczenie? Chyba nie twierdzisz, że Ruiny to naturalny twór przyrody?

Stere wzruszył ramionami.

— Właściwie to nie wiem. Nie zastanawiałem się.

— Nad wieloma rzeczami nie zastanawiamy się.

Niespodziewanie z dworu dobiegł głośny okrzyk. Mężczyźni spojrzeli na siebie pytająco. Ulma wybiegła z jaskini.

— To wołał Lendo — powiedziała po powrocie. — Do osiedla zbliżają się jacyś ludzie. Prawdopodobnie Mieszkańcy Ruin.

— Ilu ich jest? — zapytał Itro.

— Lendo mówi, że wielu.

— Taak... Ciekawe czego chcą?

— Pewnie żywności, jak zwykle — rzekł Stere. — Żebracy...

— Nie mów tak — zaoponowała Ulma. — To biedni ludzie. A handlują uczciwie. Ten kawałek blachy, na którym smażyłam mięso, jest właśnie od nich.

— Eee... Zabraliby się do porządnej roboty, a nie gnili wciąż w Ruinach.

— Przestańcie się sprzeczać — wtrącił Itro. — Chodźmy. Może rzeczywiście mają coś ciekawego. Czasami można od nich wytargować części do prawdziwej Maszyny.

* * *

Mieszkańcy Ruin byli niewysocy i wychudzeni. Odziani w połatane i postrzępione ubrania budzili litość. Ich twarze były blade, jakby nigdy nie padały na nie promienie słoneczne; było to zresztą możliwe, gdyż na głowach nosili dziwne daszki mające — jak sami twierdzili — chronić zarówno przed deszczem jak i słońcem. Oczy zakrywały im zaciemnione krążki, które nazywali okularami. Okulary nosili tylko wtedy, gdy świeciło słońce. Jakby się go bali. Było to niezrozumiałe, bo przecież każdy kocha słońce i światło. Tak jak kocha się życie. Słońce, światło i życie — to jedno.

Przybyszy było sześciu. Jeden leżał na prowizorycznych noszach. Nogę miał owiniętą delikatnym, białym materiałem.

— Potrzebujemy waszej pomocy — powiedział najstarszy z Mieszkańców Ruin. Jego cichy głos brzmiał dziwacznie i śpiewnie.

— Gdzie jest Stary Czok? — rozległy się szmery wśród gromadzących się wokół ludzi. — Czok! Niech on z nimi rozmawia.

— Jestem... — starzec przecisnął się przez ustępujący mu miejsca tłum. — O co chodzi?

— Potrzebujemy pomocy — powtórzył nieznajomy. — Nasz towarzysz — wskazał ręką na człowieka na noszach — złamał nogę. To skomplikowane złamanie. Bardzo cierpi... Chcielibyśmy pożyczyć... kupić wózek.

Stary Czok nie odpowiedział. Zastanawiał się. Rozejrzał się niepewnie.

— Co to jest wózek? — zapytał w końcu.

Któryś z Mieszkańców Ruin parsknął piskliwym śmiechem, lecz natychmiast umilkł, skarcony wzrokiem współtowarzyszy.

— Daj spokój Jack — powiedział najwyższy, ale i najchudszy z przybyszy. — Oni nie bardzo wiedzą do czego służy koło.

— Panie... — zwrócił się do starca — znaczy się... panie Czok, sprawa wygląda tak: potrzebujemy dwóch ludzi, którzy mogliby ponieść nosze z naszym kolegą. Dobrze zapłacimy. Do ra... Do Ruin nie jest daleko i za kilka dni będą z powrotem.

— Bardzo nam na tym zależy — dodał mężczyzna nazwany Jackiem. — Nie będziecie żałować. Już teraz możemy rozdać prezenty — zaczął rozpakowywać plecak.

Starego Czoka nie dziwiło, że potrzebują tragarzy, bo byli wątli i najwyraźniej zmęczeni, ale nie był pewien czy może im ufać. Różne rzeczy słyszało się o Mieszkańcach Ruin.

— Rannego możecie zostawić u nas — zaproponował. — Wrócicie po niego jak będzie zdrowy.

Nieoczekiwanie leżący na noszach mężczyzna zaczął krzyczeć: — Nie! Chłopaki, nie róbcie tego! — był najwyraźniej przestraszony.

— Nie denerwuj się Paul — uspokoił go chudzielec. — Jasne, że cię tu nie zostawimy.

— Więc jak będzie? — zapytał Jack. Wyjmował z plecaka jakieś przedmioty.

Czok pokiwał głową. Mieszkańcy Ruin byli nędznie odziani, słabi, ale jednocześnie swoim sposobem bycia budzili szacunek. No i mieli prezenty.

— Bosonogi! — zawołał Czok, nie odwracając głowy. — Pójdziesz z nimi. Dobierz sobie kogoś i dogadajcie się co do ceny.

* * *

Szli już trzeci dzień. Mieszkańcy Ruin byli słabymi piechurami, Stere i Itro dźwigali nosze, a i tak musieli zwalniać kroku.

— Tutaj zatrzymamy się na nocleg — powiedział Stere. Nikt nie zaprotestował. — Jutro powinniśmy dotrzeć do Ruin.

Rozbili obóz. Mieszkańcy Ruin rozłożyli lekką konstrukcję w kształcie dachu. Nazywali ją namiotem. Itro z zainteresowaniem przyglądał się czynnościom wykonywanym podczas rozkładania. To było fenomenalne; w ciągu kilku minut powstał mały domek.

Namiot stanowił część zapłaty za pomoc w dotarciu do Ruin. Itro układał już w myśli sposób wykonania podobnego zestawu ze skór i drewna. Nie wydawało mu się to takie trudne, szczególnie, że wzorzec będzie jego własnością.

Stare miał otrzymać dwa noże. Ale jakie noże! W osiedlu tylko Czok posiadał coś takiego. Za te dwa noże Stere gotów był prowadzić przybyszy choćby do piekła.

Nazajutrz ruszyli dalej. Około południa na horyzoncie wyłoniły się ciemne kształty. Na ich widok przyśpieszyli. To cel wędrówki. Ruiny.

— Dobrze, dziękujemy wam — powiedział Jack, gdy byli już zupełnie blisko. — Dalej sami sobie poradzimy. Możecie wracać.

Stere i Itro położyli nosze na ziemi. Przysunęli się blisko siebie i w milczeniu oczekiwali na zapłatę. Mężczyzna dźwigający namiot rzucił go na ziemię. Za chwilę obok pojawiły się noże.

— Żegnajcie! — dwóch Mieszkańców Ruin chwyciło nosze i wkrótce cała szóstka oddaliła się.

— Nawet nie podali nam ręki na pożegnanie — stwierdził melancholijnie Itro.

Stere nie odezwał się. Klęczał na ziemi i oglądał noże. Były dokładnie takie, jak to sobie wyobrażał; masywne i bardzo ostre.

— Wiesz co? — rzekł Itro. — A może byśmy tak poszli za nimi?

— Co ty?! Czekają na nas w osiedlu.

— Nigdy nie byłem w Ruinach.

— Ja też nie...

— No więc?

Stere zawahał się.

— ...Możemy się rozejrzeć.

— Boisz się — zaśmiał się Itro.

— Niepokoję się tylko. Po co robić coś, co nie ma żadnego sensu, a w dodatku może okazać się niebezpieczne?

— Myślę, że w Ruinach można znaleźć wiele ciekawych rzeczy.

— Zwariowałeś?! Chcesz kraść? — oburzył się Stere.

Itro aż podskoczył.

— Przecież mówię wyraźnie: znaleźć.

— A więc uważasz, że gdyby ktoś zabrał coś z naszego osiedla, to byłby znalazcą, nie złodziejem?

— Osiedle należy do nas, a Ruiny są niczyje.

— A Mieszkańcy Ruin?

— Chyba nie przypuszczasz, że do nich to należy? Tacy słabi ludzie mieliby zbudować takiego kolosa? I po co? Przecież Ruiny niczemu nie służą? — Itro bezwiednie podniósł głos.

— Jednak oni tam mieszkają.

— Psy też u nas mieszkają, a chyba nie powiesz, że coś jest ich własnością? Człowiek posiada tylko to, co sam wykonał — oświadczył autorytatywnie Itro.

Stere parsknął śmiechem.

— Na przykład ten namiot jest twój, bo pewnie...

— Lub na co zapracował — Itro nie dał się zbić z tropu.

* * *

Ruiny były wielkim złomowiskiem. Setki ton stali, poszarpanej, nadtopionej i wbitej częściowo w ziemię, zalegały obszar około trzech hektarów.

Góra porozrzucanego żelastwa, a wśród niej kamienne chaty i namioty — siedziba Mieszkańców Ruin.

To były najmłodsze Ruiny. Pojawiły się nagle — jakby spadły z nieba — w czasach, gdy Stera i Itra nie było jeszcze na świecie. Wraz z nimi pojawili się Mieszkańcy Ruin.

Początkowo przybysze często odwiedzali osadę Stera oraz tę drugą, z której pochodziła Ulma. Innych osad na świecie nie było. Opowiadali wiele niezwykłych i niezrozumiałych historii. Sami byli niezwykli i niezrozumiali.

Z czasem kontakty rozluźniły się, gdyż ludzie z osiedli nie chcieli, aby narzucano im nowe zwyczaje, co natrętnie usiłowali czynić przybysze nazywając to „ucywilizowaniem".

Istniały jeszcze dwie Ruiny, dużo starsze i nie zamieszkane. Znajdowały się również daleko od osiedli i rzadko kto do nich docierał. Ludzie z osad nie lubili podróżować.

Stere i Itro dotarli do pierwszego, obsypanego ziemią stalowego stosu, gdy nagle rozległ się okrzyk. To zauważyło ich bawiące się nie opodal dziecko. Rzuciło zabawkę i uciekło nie oglądając się za siebie.

Bosonogi podniósł porzucony przedmiot.

— Coś dla ciebie, Złotowłosy — powiedział. — Maszyna.

Itro obejrzał znalezisko: baniak na jednej nóżce z prętem zakończonym rączką. Bajecznie kolorowy.

— Czego tu szukacie?! — poderwał ich męski głos.

Uśmiechnęli się niepewnie. Wołał chudzielec — jeden z tych, których odprowadzali.

— My tylko tak — rzekł Itro. — Z ciekawości.

— Jazda stąd!

— Stójcie! — obok chudzielca pojawił się Jack. — Spokój Frank, może mają jakiś interes. Pogadamy. Cho... — nagle urwał. Tubylców już nie było. Wzbijając w górę obłoczek piaskowego pyłu, biegli w kierunku swojej osady.

— Idioto! — powiedział Jack. — Znasz przecież rozkaz Staka: z tubylcami należy utrzymywać jak najbardziej przyjazne stosunki. Mamy dość własnych kłopotów.

Frank wzruszył ramionami.

— Chyba nie myślisz, że się obrażą? Zresztą... Nie dokończył. — O cholera! — nagle zaklął i ze złością machnął ręką.

— Co się stało?

— Zakosili bączek! To była ulubiona zabawka mojego chłopaka. Ostatni, jaki mieliśmy.

* * *

— Co jest? — zapytał Stak.

— Nic specjalnego — Jack skrzywił się. — Tubylcy przyszli za nami, ale Frank ich spłoszył.

Stak przeszedł wzdłuż pokoju, jak gdyby odmierzał krokami jego długość. — Szkoda. Może warto by z nimi porozmawiać.

Jack spojrzał na dowódcę spod przymrużonych powiek.

— O czym? Czyżbyś zamierzał opuścić wreszcie Ruiny?

Stak pokręcił przecząco głową.

— Nie zmieniłem swojego stanowiska. Zostaniemy tutaj. Musimy.

— Zaczynam wątpić czy masz rację. Zapytaj innych, widzieliśmy jak oni żyją. Nieźle sobie radzą. W gruncie rzeczy wcale nie są tacy zacofani, jak z początku nam się wydawało.

— To pozory Jack. Tak myślisz, bo widzisz, że im się wiedzie lepiej niż nam. A oni po prostu się przystosowali.

— Ale my też jesteśmy tu już trzydzieści lat i...

Stak przerwał swoją przechadzkę po pokoju. Zrobił to z tego samego powodu, dla którego Jack nie dokończył zaczętego zdania. Obaj doskonale wiedzieli od jak dawna przebywają na tej planecie, ale dopiero wypowiedziana głośno liczba trzydzieści uświadomiła im, jaki to szmat czasu.

Ponad ćwierć wieku temu dotarli do słońca ogrzewającego ten wspaniały glob.

Byli wyprawą badawczą, ale ich statek był bardzo dobrze uzbrojony i przygotowany do walki; przyczyną były wydarzenia sprzed niemal dwustu laty. Wtedy to z Ziemi wysłano tu pierwszą ekipę badawczą przystosowaną liczbą członków załogi i wyposażeniem do rozpoczęcia akcji kolonizacyjnej. Po kilkunastu latach musiano wysłać następną, ale już ratunkowo-badawczą. Ratunkową — gdyż kontakt z załogą pierwszej wyprawy urwał się nagle, i to akurat w dniu zgodnego z harmonogramem lądowania; badawczą — bo mało kto wierzył, że po tak długim okresie milczenia ktoś z tamtych mógłby jeszcze żyć — liczono się z tym, że wszelkie prace naukowe trzeba będzie podjąć od początku. Ta wyprawa również zdolna była do utworzenia przyczółka kolonizacyjnego.

Ale sytuacja powtórzyła się. Ostatni otrzymany meldunek dotyczył przygotowań do lądowania.

Zaniechano wtedy dalszych lotów w ten rejon. Koszty były bardzo duże, a sam przelot trwał kilkanaście lat. Następne poczynania dotyczyły innych obszarów eksploracyjnych.

Dopiero po blisko dwu wiekach przypomniano sobie o tej planecie, mającej prawdopodobnie warunki zoosferyczne sprzyjające kolonizacji. Podjęto następną wyprawę, właśnie tę, którą dowodził Stak. I chociaż przezornie wyposażono statek również pod względem wojskowym, na nic to się zdało.

Po dotarciu do Układu i wejściu na orbitę parkingową planety wszystko było jeszcze w porządku. Wysyłane w atmosferę sondy klimatyczne przynosiły zachęcające informacje. I nagle rewelacja — na powierzchni planety odkryto dwa obiekty najwyraźniej sztucznego pochodzenia. Zdecydowano o lądowaniu w tym rejonie.

Wtedy stało się. Nikt właściwie nie wie co było przyczyną, wszelkie teorie na ten temat są zaledwie hipotezami. W każdym bądź razie grawitacja zwariowała, a międzygwiezdny kolos, który przywiózł ludzi aż tutaj, zwariował wraz z nią. Szaleńczy wir porwał rakietę. Później jeden z naukowców nazwał to kominem grawitacyjnym nad maskoną.

Niemal w ostatniej chwili załoga zdołała ewakuować się w kapsułach ratunkowych, natomiast statek macierzysty spłynął — właśnie „spłynął", a nie runął — na obcą ziemię. To co po nim zostało, tubylcy nazywali później Ruinami. A zostało dużo, bo chociaż statek rozpadł się na cztery człony, to ocalała nawet część wiezionych zwierząt domowych.

Od tego czasu minęło wiele lat, ale Stak doskonale pamiętał najważniejsze wówczas wydarzenie. Miało ono miejsce już w kilka dni po niefortunnym lądowaniu, podczas drugiej wyprawy w teren. Szukali śladów którejś z dwóch poprzednich ekspedycji, a znaleźli...

Pierwszy zauważył go Jack.

— O rany! Człowiek! — wykrzyknął, gdy szli przez step, przepoceni i niewiarygodnie zmęczeni.

Z naprzeciwka zbliżał się odziany w skórę mężczyzna. Wyglądał jak duch. Szedł powoli, brodząc w sięgającej mu do pasa roślinności. Gdy był już dostatecznie blisko, by mogli zauważyć jego spękaną na słońcu twarz — zatrzymał się.

Nagle zniknął. Minęło kilka chwil, nim zorientowali się, że po prostu upadł i schował się w trawie. Uczynili to samo. Przeleżeli bez ruchu kilkanaście minut, lecz nic się nie wydarzyło. Gdy w końcu wstali i przeszukali teren, znaleźli jedynie ślady w postaci połamanej i zgniecionej trawy.

Zagadka została rozwiązana prędzej, niż można się było spodziewać. Przez silną lornetkę przeczesano okolicę z pobliskiego wzgórza i na południu, niemal na linii horyzontu, dostrzeżono dym. To była osada. Jej mieszkańcy byli ludźmi żyjącymi w pierwotnych prawie warunkach. Obchodził ich jedynie dzień dzisiejszy, kilka poprzednich i następnych. Swojej historii nie znali, celu na przyszłość zdali się nie mieć. Mówili językiem zrozumiałym, choć nieco zniekształconym i uproszczonym — ten fakt ostatecznie wyjaśnił, że byli potomkami uczestników którejś z wcześniejszych wypraw.

Później okazało się, że istnieje jeszcze jedna osada i dwa tajemnicze miejsca nazywane Ruinami.

Ruiny były miejscem rozbicia poprzednich ekspedycji. Pierwsza wyprawa — komin grawitacyjny — Ruiny — powstaje pierwsza osada.

Druga wyprawa — komin grawitacyjny — Ruiny — powstaje druga osada.

Wreszcie oni, trzecia wyprawa — komin grawitacyjny — Ruiny — powstaje...

Właśnie! Co dalej? Wciąż to samo...? Stak nie chciał tego i nie opuścił swoich Ruin. Tubylcy przystosowali się do nowego środowiska, lecz trudy codziennej walki o przetrwanie uczyniły ich odpornymi na przeszłość. W zastraszająco szybkim tempie zatracili swoją historię.

Stak uznał, że najważniejszym reliktem są szczątki statku. One — samym faktem istnienia — nie pozwolą zapomnieć o przeszłości.

Prawdopodobnie będą następne ekspedycje.

* * *

Stere zwany Bosonogim i jego przyjaciel, Złotowłosy Itro, siedzieli w jaskini oświetlonej kuchennym ogniskiem i tłuszczowym płomykiem małej lampki. W skupieniu oglądali jeden z przedmiotów przyniesionych z wyprawy.

— Złotowłosy, przecież to ty znasz się na Maszynach — powiedział z wyrzutem Stere. — Powiedz wreszcie: Co to jest?

Sprowokowany Itro chwycił za rączkę kolorowej bańki. Poczuł lekki opór; nacisnął. Dół pręta zaczął wsuwać się w podstawkę. Baniak zawirował, nabrał rozpędu i naraz wielobarwne koła na jego powierzchni zlały się ze sobą. Kolory falowały, zmieniając jaskrawość i odcień; tęczowy strumień przelewał się po obwodzie przedmiotu; żaden kolor nie trwał dłużej niż chwilę, ale równocześnie wszystkie wciąż istniały, ukazując piękno świata barw.

— To jest Najwspanialsza Maszyna Świata — powiedział Itro.

1 Lewym okiem

Paraekonomia

Od dłuższego już czasu przetaczają się przez prasę dwa tematy, do których włączenie się związane jest z ryzykiem podpadnięcia pod miano zatwardziałego wstecznika, ciemniaka, nietolerancyjnego głąba Może od razu wymienię te tematy: pierwszy to pornografia, drugi — wszelkiego rodzaju teorie „paranaukowe" o lecznictwie, o wróżeniu z gwiazd, prekognicji (jasnowidzeniu) i o życiu po życiu.

Sprawy zaszły bardzo daleko. Tak daleko, że wydaje się, jakby w świadomości społecznej czy też opinii publicznej nastąpiło całkowite odwrócenie znaków dodatnich i ujemnych. Teraz za postępowych, otwartych, nowoczesnych uważa się nie tych, którzy chcieliby badać świat racjonalnie, narzędziami sprawdzonymi, instrumentami o nieprawdopodobnej a obiektywnej precyzji, tylko właśnie tych, którzy z góry zakładają istnienie obszarów irracjonalnych i dają im w ciemno pierwszeństwo przed prawami materii. Ci drudzy przy tym są nietolerancyjni, krzykliwi, nie dopuszczają do głosu — nazwijmy to tak — racjonalistów. To oni są w ofensywie. A przecież można, a nawet trzeba badać — byle z należytą ostrożnością mędrca — najdziwniejsze zjawiska, nie zacietrzewiając się co do ważkości tych badań i nie odsądzając od czci i wiary ludzi sceptycznych, dających wyraz swym wątpliwościom. Tymczasem jest tak, że na przykład na jeden wyważony, sceptyczny artykuł Rurańskiego w „Polityce" sypnęła się po łamach wszystkich pism lawina reprymend, zapędzających wspomnianego autora do rezerwatów umysłowych przeżytków.

Podobnie — acz w kategoriach nie tyle intelektualnych, co moralnych ma się rzecz z pornografią. Na byle odezwanie się krytyczne o wulgarności, ekshibicjonizmie, złym smaku — otrzymuje się natychmiast etykietę „nowego księdza Pirożyńskiego", etykietę zalganego świętoszka, obrońcy seksualnej pruderii i zacofania. I nic nie pomaga przyznanie pełnej racji bytu tematyce seksualnej w literaturze i sztuce; jeśli ktoś głosi potrzebę dania wyrazu wszystkim rodzajom przeżyć ludzkich uznaje erotykę w całej jej mocy i pięknie, nie boi się i nie gorszy opisywaniem i przedstawianiem stosunków seksualnych — ale na przykład opis pośliźnięcia się w czasie dokonywania gwałtu na ekskrementach ofiary nazwie niesmacznym wulgaryzmem — to i tak już go okrzykną wstecznikiem, opóźniającym... rewolucję seksualną. Takiego opisu nie znaleźlibyście w żadnym „świerszczyku" zachodnim, tam podaje się seks apetycznie i podniecająco, nie obrzydliwie. A u nas proszę: znów prześcigneliśmy zachód!

Jak by to było dobrze, gdyby się okazało, że na różne dolegliwości organizmu społecznego także istnieją jakieś „niekonwencjonalne metody leczenia", jakaś finansowa akupunktura, paraekonomia, usuwająca kryzys położeniem dłoni gdzie trzeba! A może jednak coś takiego istnieje? Może by tak przyłożyć dłonią raz i drugi — byleby po dobrym rozeznaniu adresata? A już na pewno — jak byśmy tak wszyscy uczciwie przyłożyli ręce do wspólnej sprawy — co? Może spróbować, nie czekając na mityczne motywacje?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Spojrzenie znad szachownicy

Wizja

Wybrałem się na krótki, majowy urlop do Sopotu. Urlop zaplanowałem już wprawdzie bardzo dawno, nie wiedząc w ogóle, że będzie jakiś turniej szachowy w Szczyrku, że pojadę do tego Szczyrku, nadto, że mistrzostwa RSW „Prasa-Książka-Ruch" w owym Szczyrku wygram. Teraz dorabiam jednak ideologię „od tyłu" i niedbale wyjaśniam znajomym, że jako prawdziwy mistrz po mistrzostwach pojechałem odpocząć.

Wydawca — dodaję bezczelnie rozmijając się z prawdą — chciał mnie ekspediować na te wywczasy karetą zaprzężoną w cztery kare konie, albo nawet w więcej koni, tyle że mechanicznych, wielkodusznie jednak zrezygnowałem, bo owies i benzyna w strasznej dzisiaj cenie.

Puchar, i owszem, przywiozłem. Przy najbliższych oględzinach puchar okazał się wprawdzie kryształowym wazonem, w sam raz na róże albo chryzantemy złociste, przeto żona zarekwirowała mi go czasowo, gdyby była jednak jakaś godna okazja, oczywiście mogę służyć. Pucharem, sobą, albo sobą i pucharem jednocześnie.

Musi być jednak stosowna oprawa, inaczej nie ma mowy. Gdyby na przykład ktoś ruszył głową i zorganizował wystawę świetnych ilustracji Janusza Szymańskiego-Glanca do jeszcze świetniejszej powieści Nienackiego, mógłbym ewentualnie przybyć na wernisaż.

2.

I tu jawi mi się taka wizja. W jednym kącie autor powieści — Zbyszek Nienacki osobiście, oczywiście z książeczką czekową w kieszeni, gdyby przypadkiem przyszło komuś płacić za krzywdy moralne albo jakieś inne W drugim kącie — ja na tle pucharu vel wazonu, bądź puchar vel wazon na moim tle. W środku Szymański-Glanc, zagubiony, jak pijane dziecko w tym całym interesie.

Tłum. Tylnym wejściem wpycha się rozemocjonowany Passent. Wielbiciele Nienackiego biją Passenta; Nienacki płaci. Wielbiciele Passenta nie okazują się gorsi — biją Nienackiego. Ten wciąż płaci, pewno przez roztargnienie albo z rozpędu. Ktoś przy okazji bije mnie. Oj, niedobrze, bo Nienacki już się opanował i przestał płacić.

Pętaki w wieku przedszkolnym i małolaty w wieku przedmaturalnym usiłują w całym tym zamęcie podgrandzić ilustracje Szymańskiego-Glanca. Małolaty polują na te bardziej dwuznaczne, a pętaki na te bardziej gołe, bo na dwuznaczności jeszcze się nie rozumieją. Coraz gorzej, sam miałem ochotę na jedne i na drugie.

Tu jakaś pani w wieku pobalzakowskim (przedszkolanka?! wychowawczyni młodzieży?!, obrończyni moralności?!, zwolenniczka pokoju bożego na ziemi?!, antyszachistka?!) wali mnie parasolką w ciemię. Głowa wytrzymuje, bo twarda, pani bierze tedy zamach raz jeszcze i trafia w wazon. Wazon vel puchar — widać do takiego traktowania, przeciwnie niż zdobywca, jeszcze nie nawykły — cynicznie pęka, rozsypuje się w kryształowe okruchy...

3.

I bardzo dobrze, że pęka, mogę go bowiem wreszcie rozdać po kawałku wszystkim protektorom, przyjaciołom i moralnym współtwórcom sukcesu.

Przede wszystkim Wydawcy — co rozumie się samo przez się..

Potem Wieśkowi Wróblowi z „Dziennika", który w imieniu KDS „Kaczka" tak długo mnie do Szczyrku wypychał, aż wreszcie wypchnął.

Kolegom z „Głosu", oni to bowiem zwabili mnie przed laty do dziennikarstwa. Nie jestem pewny, czy im się należy, gdyby nie zwabili, byłbym może jakimś prawdziwym mistrzem sławnym na obie półkule z wyjątkiem Albanii i Grenlandii (a dlatego, że ani tu, ani tu międzynarodowych imprez szachowych się nie organizuje), ale niech już będzie. Spędziłem w końcu w tym „Głosie" parę pracowitych, bogatych w wydarzenia lat, a na starość człowiek robi się sentymentalny.

Gustowny kawałek — „Odgłosom".

„Żyłem z wami, kochałem i cierpiałem z wami;

teraz życie, kochajcie i męczcie się sobie sami"

— mógłbym (z pamięci, przeto nie ręczę, czy wiernie) zacytować Jana Izydora Sztaudyngera

Resztę kryształowego pyłu zgarnąłbym w chusteczkę do nosa i zaniósłbym do „Expressu"; sympatyczna ta firma wykorzystuje mnie przemiennie w charakterze pociągowego wołu i jucznego osła, przeto jak każde zwierzę wracam do niej i wracam, choć sam nie wiem po co

Plakietkę na niebieskiej wstążce, którą wazon vel puchar był przyozdobiony, ofiarowałbym natomiast żonie tytułem rekompensaty. Rekompensaty są od jakiegoś czasu w dobrym tonie, a małżonce szczególnie się należy, obiecywałem jej bowiem, że umrę młodo i — jak widać — nie dotrzymałem słowa. Oczywiście istniały trudności obiektywne, na przykład reglamentacja masła, przez którą nażarłem się mniej cholesterolu, niż bym się nażarł bez reglamentacji, trudności jednak trudnościami, a brzydko oszukiwać. Powiedziałbym — nie po chrześcijańsku nawet.

4.

I nagle — brzęk — wszystko znika. Nie ma wystawy, nie ma Nienackiego, nie ma pani z parasolką. Tylko głowa boli, a po tej obolałej głowie snują się jakieś głupie pytania, na które nie umiem udzielić sobie odpowiedzi. Przedstawię je na tym miejscu za czas jakiś, chyba że przedtem odwiozą mnie do czubków.

A co, nie może się tak zdarzyć?! Koniec końców wielki „Boby" Fischer popadł w depresję i manię prześladowczą, mimo iż tylko grał w szachy i wcale nie musiał redagować gazety. A ja muszę!

JERZY P.

3 Pieski bal

Po czemu te uszate? — starszawy jegomość zgwałcony przez oszalałego wnuczka stał przed kojcem z miną faceta, któremu ktoś zaproponował nabycie drogą kupna cegły za 50 tysięcy zielonych. Uszate cockery okazały się być po 20 paczek sztuka. Smutnookie przegubowce basety w sąsiedztwie chodziły po 30 tysięcy, a ściślej leżały i miały to wszystko głęboko w nosie. Pod bramą ustawił się wianuszek przedsiębiorstw oferujących wszelaką pomyślność, szczęście, jak również wybór najlepszych przyjaciół człowieka. Między gościem z naręczem psich uprzęży, kolczatek, pozłacanych namordników i innego świństwa, każde po „szeset", „dwie paczki", albo coś koło tego, ustawił się rozdawca tytułów: — chcesz pan mieć medal championa Belgii... się robi, a może champion Nowego Yorku lub mistrz walk obronnych?... o, to przykrość, będą dopiero za tydzień, ale mam inne medale. Koło faceta stoi spory tłumek nabywców, którzy w ten chociaż sposób pragną podleczyć swój kompleks. Kompleks wynika z posiadania burka lub innej „Cziki", zalecających się głównie miłym usposobieniem jak również precelkowatym ogonem. W tym miejscu, tego dnia taki „Candellbery", czyli kundel bury absolutnie dyskwalifikuje swego właściciela. Widać potem szarobure kundelki z dyndającym na piersi medalem championatu w psich zawodach... ratlery, teriery, foxteriery i tylko tu... teściowe wypłoszy, lebiegów tarmosi, za stówę cieć-anioł, nie pies. Po mamci medale, po tacie detale i lorda w familii miał też.

Dzieciom miga w oczach szaleństwo, dorośli kurczowo trzymają się za portfele. Pokusy na każdym kroku. Przed bramą — za grosze (czytaj: za parę tysięcy) możesz zostać przyjacielem uroczego, puchatego szczeniaka, który nie domaga się zaglądania w życiorys, sprawdzania po mieczu i kądzieli — jemu wystarczy, że będziesz go kochał i rano dasz się wyprowadzić na spacer. Za bramą — nabywasz towarzysza arystokratycznego, z dokumentacją w porządku, za kilkadziesiąt kawałków... któż jednak przelicza przyjaźń na pieniądze ? W kojcach walają się pęczki czterołapnych jednoogoniastych i silnie rasowych stworzeń. A to miluchne cockerki zwinięte w kłębki puchatej wełny, to znów zmartwione bokserki ze swą mamą do towarzystwa. Co bardziej wyszukane gusta zaspokoić może bullterier, albo sznaucer, lub w ostateczności półtora kilometra jamnika.

1600 psów w 85 gatunkach przyprowadziło swych państwa na wielką „Wystawę psów rasowych", otwartą 20 maja na stadionie „Startu" w Łodzi. Pełny ekskluzyw i szpan. Stado sędziów oceniało prawidłowość noszenia uszu, związanie grzbietu, wykształcone chody i płynny bieg. Właściciele z bielmem emocji na oczach, głusi i ślepi na wszystko podstrzygali, czesali, upiększali swych przyjaciół i... chlebodawców. Niejeden z nich winien wystawić spiżowy pomnik swemu wyzwolicielowi od najwyższego honoru i obowiązku, jakim dla obywatela jest praca. Posiadanie rasowego reproduktora lub suki zakwalifikowanej do wysokogatunkowej hodowli pozwala spokojnie żyć. Jeden miot — pięć szczeniaków, każdy po 60 tysięcy, jak np. briardy — francuskie owczarki... i żyjemy. Bywa, że jest to miłość i troskliwa opieka nad złotodajnym czworonogiem, bywa też, że złotówki zupełnie zasłoniły oczy i leci masowa produkcja snobistycznego uzupełnienia stanu posiadania. Mamy już willę, samochód oraz inne widome znamiona luksusu — albo i nie mamy — ale mój pies świadczy o mnie!!

Znajomym udało się czas jakiś temu sfinalizować znakomity interes. Dobrowolnie, w absolutnej nieświadomości — miało być, że kupują psa — pozwolili sobie wcisnąć żywego lwa. Bydełko wyrosło, żżera właścicielom obie kartki mięsne, wykańcza na codziennych piętnastokilometrowych przebieżkach (fakt, że przestali chorować na grypę!) i jeszcze życzy sobie być kochane. Niedawno znajoma powędrowała do Związku Kynologicznego, gdzie otrzymała specjalną kartkę na mięsko dla lwa. W sklepie — na tę kartkę — dali jej kontener świńskich uszu. Wróciła, ugotowała, przyrządziła świńskie uszka i postawiła michę przed psem. Bydlę obwąchało, wywlokło jedno ucho i zakopało pod dywanem. Wywlokło drugie, smutnie spojrzało na swą panią i poczęło rozpaczliwie wyć nad miską. Z głodu! Świńskie uszka to niech sobie pani sama żre. Pies musi mieć mięsko. Najlepiej polędwicę wołową. I dobrze im tak. Sami tego chcieli.

Patrzę ja po tym targowisku szpanu, snobizmów i przerośniętych ambicji i widzę psi sierociniec, pełen porzuconych, nikomu niepotrzebnych zwierzaków. Dzieci chciały mieć zabawkę — a nie codzienny obowiązek. Państwo nabyło sobie nowe meble i dywan i nie będzie nam byle pies szargał ciężko wypracowanego i wystanego w kolejkach dorobku. Niech sobie idzie precz. Stada bezdomnych kundelków petają się po nowych osiedlach, ludziom przybywają palmy i dywany, no i rasowi, choć czworonożni chlebodawcy. Bo kochać można oczywiście wyłącznie za cenę i rasę

Miał to być wesolutki felieton o psim szaleństwie oraz życzliwe przygadywanie hodowcom łap i ogonów, a wyszło mi takie jakieś malkontenctwo i porykiwactwo. Oj, będzież mnie będzie od funkcjonariuszy stowarzyszenia psich rasistów, ale co ja na to poradzę, że mam taki gust wypaczony i lubię wrony, zamiast kanarków!?...

BIUROWA

4 Sport

Jest dobrze, będzie lepiej

Czasem mówi się:

— Chwalą nas!

— A kto nas chwali?

— Jak to, kto? Ja ciebie, a ty mnie.

Zgodnie z tą zasadą postąpił Jerzy Mrzygłód, gdy ustawił przed telewizyjną kamerą trzech przedstawicieli, trzech dzienników, które są organizatorami Wyścigu Pokoju. Organizatorzy okazali się zadowoleni. Z ich wypowiedzi wynika, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Wyścig jest nowoczesny, ale trzeba go jeszcze bardziej unowocześniać. Tylko kolarze, którzy na Wyścigach Pokoju niejeden raz rządzili jak chcieli — Ryszard Szurkowski i Tadeusz Mytnik — występujący teraz w telewizji byli jakby odmiennego zdania. Ale być może oni są malkontenci.

Spróbuję więc pójść za tokiem rozumowania zadowolonych. Jest dobrze. Od lat właściwie ścigają się między sobą cztery zespoły, trzech organizatorów oraz ekipa radziecka. Cała reszta jest tylko tłem dla tej rywalizacji. Czy rzeczywiście nie ma innych, równie silnych albo i silniejszych drużyn, które można byłoby zaprosić do udziału w Wyścigu Pokoju? Zapewne są. Ale po co je zapraszać? Jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Ścigamy się we własnym gronie i wszyscy są zadowoleni.

Oczywiście, że są malkontenci, którym nie podoba się, że polscy kolarze zajęli czwarte miejsce. Ale jeżeli rywalizują ze sobą głównie cztery drużyny, to ktoś musi być pierwszy, ktoś drugi, a ktoś trzeci i czwarty. Tym razem nasi nie zmieścili się na pudle. Malkontenci z telewizji narzekali, że dlatego, bo byli źle przygotowani. Redaktor Bohdan Tuszyński ciągle powtarzał, że chłopcy jadą jak mogą, na ile ich stać, ale są źle przygotowani. Redaktor Wojciech Szkiela mu wtórował, że dają z siebie wszystko, ale wiele nie mogą. Andrzej Ruciński — trener polskiej ekipy zresztą — zatrudnił się dodatkowo jako komentator Wyścigu Pokoju w „Kurierze Polskim" i najpierw obiecywał, że jak nasi wjadą do kraju to się zacznie, później, że w górach to oni pokażą, a ostatnio narzekał, że nie było wiatru bocznego, bo jakby był wiatr boczny, to... Ho! ho!

Ale ho! ho! nie było już od czterech lat. To znaczy, od czterech lat żaden polski kolarz nie wygrał etapu w Wyścigu Pokoju. W tym roku w ogóle żaden polski kolarz nie odniósł jakiegokolwiek sukcesu w innych — zagranicznych — wyścigach. Ale jest dobrze, a będzie lepiej. Na przykład w przyszłym roku polska drużyna będzie mogła zająć trzecie miejsce, jak będzie oczywiście wiatr boczny, a za rok — drugie, jak też będzie wiatr boczny, albo jeszcze lepiej w plecy i tylko dla Polaków, a innym będzie wiało w oczy. Czyżby nasi dzielni kolarze mieli zamiar przerzucić się na żeglarstwo, że im tak wiatr jest potrzebny? A może zaczną jeździć na rowerach z napędem wietrznym zamiast nożnego. Byłaby to rewelacja na skalę światową.

Zresztą i tak już jesteśmy rewelacją. Kiedyś byliśmy kolarską potęgą i nasi naprawdę dzielni chłopcy przywozili mistrzowskie tytuły oraz olimpijskie medale. Teraz pozostały nam wspomnienia. A nasza rewelacyjność polega na tym, że jeśli nasi przywykli spóźniać się na starty w wyścigach krajowych, to i spóźnili się w międzynarodowym. Widać pomyśleli sobie, że skoro są drużyną jednego z organizatorów, to na nich tu również poczekają, jak to bywa w kraju. Ale sędzia startowy — Duńczyk zresztą — był innego zdania. Poza tym naszą rewelacyjną metodą jest nie zdobywać pierwszych miejsc etapowych, ale trzymać się gdzieś blisko czołówki, nazbierać punktów i... wyjść na swoje, czyli na czwarte miejsce. Jest dobrze, ale będzie lepiej.

Bohdan Tuszyński w telewizji, a i inni komentatorzy, próbują usprawiedliwiać naszych kolarzy, zwalając całą winę na trenera, Andrzeja Rucińskiego oraz na PZKol. Można i tak. Ale ją sądzę, że nasi wspaniali chłopcy na wspaniałych rowerach nie są tak wcale bez winy. Jest im dobrze, to po co ma im być lepiej. Jak zapewniał Tadeusz Mytnik kadra ma wszystko i nie odczuwa kryzysu. To po co ma się wysilać? A teraz dobrzy wujkowie zaczną powtarzać w kółko, że chłopcy są w porządku, to tylko działacze i trenerzy są do niczego. Jak się ich zmieni, to zaraz zmieni się wszystko. Było dobrze, ale będzie lepiej. A ja mam wątpliwości, czy ci sami wspaniali chłopcy, którym mało na czym zależy, tak zaraz się zmienią? Może by więc tak zacząć szukać nowej drużyny? Powiedzieć kibicom, że w przyszłym roku jeszcze będzie źle, a zacznie się poprawiać dopiero za dwa lata.

Bo jest źle, a powinno być dobrze. Samo się nie zrobi.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji) Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikiryckí (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. Mickiewicza 11, kod. 90-439 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-82-44, sekretarz redakcji 36-80-99. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1 dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa – Książka – Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa – Książka – Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych – indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa – Książka – Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów „Prasa – Książka – Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa – Książka – Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa – Książka – Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201045 139 11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa – Książka – Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-166 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi ul. Armii Czerwonej 36. Nr indeksu: 36768.

Zam. 1434 E-2.

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 19

O tym, jak pisarz Lubiński sam siebie spotkał u śluzy

— Nie mamy już nic gorącego — chrapliwie powiedziała kelnerka, z szacunkiem przyglądając się leżącej na obrusie białej czapce z lśniącym daszkiem i złotą kotwicą.

Jej duży brzuch oddalony był od ramienia Nepomucena tylko o centymetr lub nawet mniej. Lubińskiego zalatywał zapach tej kobiety — woń oleju, w którym usmażono frytki.

— Na zimno może być szczupak w galarecie i ozorek — dodała po chwili, kreśląc coś ołówkiem w bloczku, który opierała na brzuchu.

Pokazał jej w przyjaznym uśmiechu swoje białe zęby.

— Dwa ozorki i dwie wódki. Dla mnie i dla pani. Za nasze zdrowie — od tyłu włożył dłoń pod jej sukienkę i pogłaskał po grubym udzie.

— Ej, panie — żachnęła się i odsunęła się o mały krok. — Nam nie wolno pić podczas pracy.

Nie miał pojęcia, skąd znalazł w sobie bezczelną odwagę, aby znowu od tyłu sięgnąć kelnerce pod sukienkę i jeszcze raz pogłaskać jej wypukłe pośladki.

Znowu odsunęła się o krok.

— Coś mi się zdaje że znajdzie się dla pana porcja wątróbki z cebulką i ziemniakami — powiedziała.

— Znakomicie! — ucieszył się. Wątróbka i dwie wódki.

Nie od razu odeszła. Czarnymi oczami zlustrowała twarz Nepomucena jego strój żeglarski. Z życzliwym zdumieniem pokręciła głową:

— Taki elegancki, a podobny do wszystkich. Tylko jedno wam w głowie. A ja mam męża i troje dzieci. Dwie wódki?

— Dwie — uparł się. — Nie jestem pijakiem, żebym sam pił.

Odeszła bez słowa ciężkim krokiem i zniknęła w drzwiach koło bufetu.

Nepomucen poczuł się nieswojo. Ogarnęło go coś w rodzaju wstydu i był odrobinę zażenowany. Ten Lubiński, który powracał na Baudy przepadł raptem bez śladu. W restauracji pseudogotyckiego zamku z powrotem siedział Nepomucen Maria Lubiński, który dziś rano pożegnał swoją gibką żonę ze sterczącymi stromo piersiami. Na stole w jego pracowni pozostało sto stron powieści o pięknej Luizie i stażyście. Spotkanie u śluzy, pętla czasu, „ego", „superego" i „id" Lubińskiego stało się kiepskim pomysłem literackim, którym można się było zajmować jedynie przez kilka minut.

W drzwiach zaplecza ukazała się kelnerka z tacą. Przyniosła talerz gorącej wątróbki, chleb, dwa kieliszki wódki, szklankę i butelkę oranżady.

— Pan nie zamówił oranżady, ale pomyślałam, że zechce pan czymś popić wódkę — oświadczyła ciepło.

— Dziękuję — bąknął Lubiński.

Sięgnął po kieliszek, bo w tej chwili czuł wielką potrzebę odzyskania odwagi.

— Proszę uprzejmie. — Talerzyk z drugim kieliszkiem podsunął kelnerce.

Niedbale, jak gdyby jedynie dla przyzwoitości, rozejrzała się po sali, czy nikt jej nie obserwuje. Potem wysunęła krzesło spod stołu, przycupnęła i jednym szybkim haustem opróżniła kieliszek. Nalała sobie oranżady do szklanki i popiła.

— Okłamałam pana mówiąc, że mam troje dzieci — uśmiechnęła się do Lubińskiego. — Mam dwoje i męża, który pracuje daleko stąd.

—Tak, oczywiście — alkohol ciepłą strugą spłynął do żołądka.

— Może jeszcze po jednym? — zaproponował Nepomucen.

Podniosła się ciężko z krzesła.

— Jak pan sobie życzy — odniosła się do tej myśli dość łaskawie.

A gdy odeszła, Lubiński począł szybko i łapczywie krajać i jeść wątróbkę. Chciał zniknąć stąd jak najszybciej. Pragnął zapomnieć o Lubińskim przyszłym i zaprzyszłym, stać się znowu sobą, wyłącznie sobą owym Nepomucenem, który nigdy nie odważył się którąś z bab ze Skiroławek poklepać po pośladku, zaczepić frywolnym słowem. Dla najdrobniejszego flirtu potrzebował szerokiej płaszczyzny intelektualnej swobody, partnerki zdolnej smakować grę spojrzeń przelotnych dotknięć i półsłówek.

Przyniosła talerzyk z dwoma pełnymi kieliszkami. Znowu usiadła przy stole i od razu sięgnęła po kieliszek.

— No, to wypijmy od razu, bo muszę zabrać się do roboty. Trzeba nakryć stoły do kolacji. Wydajemy pięćdziesiąt śniadań, obiadów i kolacji dla wczasowiczów w domkach. Oni mają wykupione karnety. Jeśli pan będzie głodny, proszę tu przyjść za dwie godziny. Dam panu kolację bez karnetu.

— Dziękuję — wysyczał Lubiński, wydmuchując z siebie gorączkę alkoholu która oparzyła mu gardło.

— Gdzie pan nocuje? — zapytała.

— Na jachcie. Cumuje u śluzy.

— Samotnie?

— Tak wyszło — westchnął.

Jadł szybko żarłocznie ale nie dlatego, że był głodny. Chciał zapłacić i odejść. Ale jej wydał się po prostu bardzo głodny, co u prostej kobiety zazwyczaj budzi sympatię dla mężczyzny.

— Niech pan przyjdzie za dwie godziny. Kolację dostanie pan bez karnetu — zapewniała serdecznie, pochylając się ku niemu, aby mógł zerknąć w głęboki rowek między pulchnymi wypukłościami. Wolał jednak patrzeć w talerz, ta obfitość piersi i ich nagość dziwnie go zawstydzała.

— Zapłacę — o mało nie udławił się ostatnim kęsem wątróbki.

— Nie wiem czy będę miała czas zajrzeć do pana. Tutaj jest dużo roboty. Wieczorem nóg nie czuję. Niech pan przyjdzie na kolację — zaproponowała.

— Tak, oczywiście....

Wyjął z portfela duży banknot. Miał świadomość, że za chwilę stąd odejdzie i to sprawiało mu ulgę. Alkohol także już zaczął działać i przysporzył odrobinę śmiałości.

Zwinął banknot i włożył go w rowek między wypukłościami wielkiego biustu. Chwilę przytrzymał tam swój palec.

— Reszty nie trzeba — uśmiechnął się szeroko.

Delikatnie uderzyła go po ręku.

— Świntuch — oświadczyła — Od razu wiedziałam co pan za jeden. Nie przyjdę na ten pana jacht. Już ja wiem, czego chcą tacy...

Udawała obrażoną. Ale wstając od stołu i wyjmując banknot z dekoltu znowu się uśmiechnęła. A kiedy Lubiński podjął ze stołu swoją czapkę i wcisnął ją na głowę, dodała:

— Kolacje wydajemy za godzinę. Ale pan może przyjść za dwie godziny.

Zasalutował i sprężystym krokiem opuścił restaurację. Strach i skrępowanie nagle ulotniły się nie wiadomo dokąd. Czuł się wspaniale — w swych białych tenisówkach stąpał dumnie po wyżwirowanej aleice. Rozpierała go świadomość własnej siły, męskości, łatwości obcowania z kobietami. Żałował, że nie okazał się jeszcze bardziej natarczywy wobec tej kelnerki, nie umówił się z nią na określoną godzinę, ale całą sprawę niejako zawiesił w powietrzu. Jeszcze przed chwilą ów drugi Lubiński, wulgarnie podmacujący tłustą kelnerkę, wydawał mu się odpychający. Teraz czuł się nim i był z tego zadowolony.

Ile to razy ten pierwszy Lubiński — wytworny głupiec (jak go w myślach, teraz nazywał) popadał w restauracjach w konflikty z takimi właśnie tłustymi kelnerkami. Ile razy oburzało go, że piją wódkę z klientami. Innych obsługują szybko i ochoczo, a dla niego wciąż brakuje im czasu. Ile to razy kłócił się z ekspedientkami w sklepie, wpisywał do książek życzeń i zażaleń. Zapewne tylko dlatego, że nie umiał zdobyć się na płaski dowcip, pozyskujący ich sympatię, był wyniosłym sztywniakiem, który natychmiast budził niechęć. Ten drugi Lubiński wiedział, jak trzeba postępować z ludźmi. Życie drugiego Lubińskiego było łatwe i proste — każda kobieta miała tyłek i cycki, należałoby to tylko dostrzegać. „Mogę zjeść za darmo kolację dla wczasowiczów" — pomyślał z satysfakcją. Bo ów pierwszy Lubiński odszedłby z restauracji głodny. Usłyszałby, że kolacja jest tylko dla wczasowiczów, na specjalne karnety. Zamiast nad talerzem musiałby zasiąść nad stronicami książek życzeń i zażaleń.

W połowie drogi do śluzy zawrócił. Z tyłu pseudogotyckiego zamku była kawiarnia z dużym tarasem i kolorowymi parasolami. Wieczór zrobił się chłodny, do nocy pozostawało jeszcze trochę czasu. Co stało na przeszkodzie, aby zasiąść przy stoliku pod parasolem, popatrzeć na pseudogotyckie wieże zwieńczone krenelażem, umoczyć usta w kieliszku koniaku, wypić szklankę czarnej kawy?

Z trudem znalazł wolny stolik, ale już wkrótce taras zaczął się wyludniać. Zbliżała się pora kolacji, a poza tym goście w kawiarni mieli na sobie kostiumy plażowe i chłód ich wyganiał. Pojawiło się kilka kobiet w długich sukniach i szalach, mężczyźni przywdzieli kolorowe golfy. Lubiński zaledwie odnotowywał ich w pamięci, małymi łykami sączył koniak bułgarski i popijał go kawą, zagłębiony w sobie, uskrzydlony myślami, które wystartowały jak szybkie ptaki, spłoszone pomysłem spotkania z „id" lub „superego".

Kieliszek koniaku i szklankę kawy podała mu drobniutka, młoda kelnerka z delikatną twarzą i złocistymi włosami. Jej świeżość powinna była zaniepokoić jego męskość, lecz on nawet na nią nie zwrócił uwagi. Zaprzątnięty sobą siedział wyprostowany, z nogą na nodze zapatrzony w różowy odblask słońca, przelewający się przez gałęzie drzew. Jego zamyślenie dziewczyna przyjęła za smutek. W swym żeglarskim stroju, z jasną brodą i niebieskimi oczami, które patrzyły w gęstwinę gałęzi, wydał jej się romantycznym samotnikiem. Dwa razy podchodziła do jego stolika, aby opróżnić popielniczkę i za każdym razem upewniała się, że jej w ogóle nie zauważa. „Rzuciła go jakaś dziewczyna" — pomyślała. I tak powiedziała bufetowej, aż tamta, czterdziestoletnia matka czworga dzieci, wyjrzała z bufetu na taras. W ubiegłym roku pewien młody żeglarz powiesił się w parku za zamkiem z powodu nieodwzajemnionej miłości. Od tego czasu miały baczenie na takich smutnych i osamotnionych, oślepłych na innych i trochę jakby nieobecnych.

— Jeszcze jeden duży koniak — zażądał.

Nepomucen Maria Lubiński powędrował w wyobraźni aż do śluzy na kanale i przez wąską kładkę przeszedł na drugą stronę, do białego jachtu, cumującego przy prawym brzegu. Czuł, że myśli ma jasne i lotne jak nigdy dotąd. Spotkanie z tamtym będzie bolesne, zderzą się ze sobą jak ostrza dwóch noży. W kokpicie jachtu siedzi Ewa, druga żona pisarza, złotowłosa Lorelei. Mówi nie poruszając ustami: „Jesteś Nepomucenie zbyt porządnym człowiekiem, aby zostać wybitnym pisarzem". Bo tak właśnie rzekła mu któregoś wieczoru, gdy sprowadzili się do Skiroławek. I nie miała wcale na myśli nieumiejętności rozpychania się łokciami w literackim świecie. Ani nie myślała o tym, że Nepomucen nie robił nikomu świństw, nie budził publicznego zgorszenia. Po prostu chodziło jej o to, że człowiek porządny widzi innych ludzi, a także i świat, na swoje podobieństwo i obraz. Tymczasem zaś jej zdaniem wielkiego artystę cechować winna specyficzna wyobraźnia. Tam, gdzie setki innych ludzi dostrzegają tylko ład i porządek rzeczy, on winien zauważyć także element chosu. A gdzie inni widzą chaos, on musi ukazywać ukryty pod chaosem jakiś porządek rzeczy i specyficzny ład. Gdzie innych zachwyca radość, on umie zauważyć znamiona smutku, a w szczęściu znajdować znamiona tragedii. Tymczasem, zdaniem coraz większej liczby krytyków, tworzywem współczesnej literatury miał się stawać zapis szarej codzienności, banalnych spraw, błahych dialogów i nieciekawych zwykłych rzeczy. Chwalono książki o banalnych zdarzeniach. Tym książkom towarzyszyła banalna wyobraźnia ich twórców. Czyż nie z tej w gruncie rzeczy banalnej materii powstała jego tak znana ongiś powieść — „Zanim odlecą jaskółki"? Przedstawił w niej postacie i opisał bieg wydarzeń, w taki sposób, jak tego chcieli krytycy i czytelnicy, jak to odpowiadało ich banalnej wyobraźni o świecie. To, a nie co innego, zapewniło książce sukces, którym karmił się Nepomucen, choć ten drugi Lubiński (zawsze w nim istniejący) podejrzewał, że w rzeczywistości nie istnieje ani banał, ani też kicz. Oglądając „Powiększenie" Antonioniego, Nepomucen doznał raptem ogromnego olśnienia i poczucia, że znajduje się gdzieś blisko jakiejś ogromnej prawdy. Na ekranie kina młody fotoreporter uparcie powiększał fotografię pięknej dziewczyny, z twarzą roześmianą i szczęśliwą. Robił to tak długo, aż w tle fotografii powiększonej niemal do granic możliwości pojawiła się lufa pistoletu mordercy ukrytego w krzakach. Dzięki powiększeniu małego szczegółu roześmiana twarz dziewczyny nabierała zupełnie innego wyrazu, objawiły się nowe i groźne treści, dramat albo tragedia, podłość lub zwykłe przestępstwo. Fotografia dziewczyny mogła się wydawać czymś banalnym, ale dzięki powiększeniu traciła swój pierwotny charakter, prezentowała nie banał, lecz dramat. „Czy może być coś bardziej banalnego — zastanawiał się Lubiński — nad fotografię ślubną, wiszącą w setkach tysięcy domów? A jednak, gdyby ktoś zadał sobie trud i niemal do granic możliwości zaczął przybliżać naszym oczom każdy szczegół owej fotografii, być może okazałoby się, że w sztucznym uśmiechu młodej żony, w ułożeniu jej dłoni, w melancholijnym spojrzeniu mężczyzny — kryje się zapowiedź ich przyszłego nieszczęścia". W taki sposób Nepomucen Lubiński doszedł do wniosku, że sztuka nie jest niczym innym jak nieustannym powiększaniem wydarzeń z życia ludzkiego. Życie nie znało banału, a natura kiczu, jeśli artysta umiał dostatecznie wyraziście powiększać i przybliżać ludzkim oczom każdy szczegół jakiegoś wydarzenia. Zawsze bowiem musiał odkryć w tle lufę pistoletu, groźbę dramatu w scenie sielankowej i zapowiedź szczęścia w scenie ukazującej dramat. Zadaniem artysty nie było proste przenoszenie do dzieła sztuki takich czy innych anegdot i wydarzeń, ale ich powiększenie, to jest ujawnianie ukrytego głębokiego sensu.

— Jeszcze jeden koniak — Lubiński przywołał do siebie kelnerkę, która kręciła się między pustymi stolikami na tarasie.

Zamyślony uznał jej istnienie między stolikami za coś oczywistego i naturalnego, zapewne nawet banalnego. A przecież, gdyby przyjrzał się dokładniej zachowaniu owej młodej osoby, być może dostrzegłby w spojrzeniu, jakie na niego rzucała, troskę i niepokój, pamięć o człowieku, który powiesił się w parku koło kawiarni. Jej obecność między stolikami przestałaby natychmiast nosić znamiona oczywistości, choć z pozoru taką przecież była, ale ujawniłaby ukryte w tej dziewczynie uczucie napięcia.

Mocząc usta w koniaku Nepomucen Lubiński pomyślał o Skiroławkach. Co ukazałaby zwykła fotografia, na przykład cieśli Sewruka? Wielkiego wzrostem, czarnego od brudu pijaka i nieroba z głową jak osmolony sagan? Człowieka, który wziął zaliczkę i nie zrobił ganku przy domu pisarza. A jednak powiększenie szczegółów tej postaci powinno w którymś momencie ujawnić przedziwny i tajemniczy charyzmat władzy rodzicielskiej, jaką on w sobie nosił, mimo pijaństwa, łapci i nieróbstwa. Jaką zagadkę kryła Porowa, której już dwukrotnie zabierano sądownie dzieci — najpierw czworo, potem znów czworo, a teraz, przed kilkoma dniami, sąd kazał jej odebrać kolejną trójkę dzieci? Czemu to Nepomucen Maria Lubiński wolał pisać historię o pięknej Luizie, zamiast o zagadce Porowej? Czyżby wciąż jeszcze był owym Nepomucenem Lubińskim, który przed wieloma laty, w pociągu pośpiesznym Warszawa—Paryż, na moment ujrzał nikłe światełka jakiejś wioski. Wtedy to został porażony myślą: jakże nieciekawe i banalne, a także niewysłowienie nudne musi być życie istot ludzkich w owej kropelce nikłego i ułudnego światła. Teraz ktoś inny przejeżdżając nocą samochodem przez Skiroławki zapewne doznaje podobnych myśli, nieświadomy, że mija niezwykłość — domy Porwasza, pisarza Lubińskiego, sołtysa Wątrucha, cieśli Sewruka, Gustawa Pasemki, Porowej, doktora Niegłowicza; miejsca, gdzie trwa miłość, nienawiść, zbrodnia i namiętność. Kropla wody pod mikroskopem aż roi się przecież od przedziwnych istot. W lupie zegarmistrza malutki mechanizm rozrasta się do rozmiarów kombajnu. Nie ma banału, jeśli się umie powiększać i przybliżać do oczu sprawy ludzkie.

— Jeszcze jeden koniak — odezwał się do kelnerki.

— Spadła panu czapka — stwierdziła, podając mu kieliszek. Potem przykucnęła, podjęła z podłogi czapkę żeglarską, zdmuchnęła z niej kurz i położyła na pustym krześle.

— Dziękuję — wymamrotał. — Ta czapka nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Nie jest ważna, pani rozumie?

— Tak — dygnęła i odeszła, postanawiając, że nie poda mu następnego kieliszka koniaku.

A on znowu w swej wyobraźni wybrał się na wędrówkę do jachtu zacumowanego po lewej stronie śluzy. Odsunął sprzed oczu obraz złotowłosej Lorelei, na wąskiej kładce na śluzie natknął się na Basieńkę i także jednym gestem nakazał jej zniknąć. Zmierzał zdecydowanie do upragnionego celu: chciał spotkać się z sobą sam na sam, ujrzeć siebie w ogromnym powiększeniu. Bo jeśli prawdą było, że powiększając obraz każdej rzeczy czy osoby musiało się wreszcie ujrzeć tkwiącą w tle lufę pistoletu (po strzale albo przed strzałem) to i on mógł odnaleźć czas i miejsce wydarzenia, które skrępowało jego wyobraźnię i uniemożliwiło stanie się wielkim pisarzem. Ktoś, gdzieś, kiedyś strzelił do niego lub obok niego, zamordował istotę tkwiącą w nim samym. Od tamtej chwili pozostawał częściowo martwy, z trwożną wyobraźnią; bał się zejść z ubitego gościńca, odkrywać nowe drogi przez gęstwinę słów i zdarzeń. Trwożna wyobraźnia dyktowała pokorę i niepewność, posłuszeństwo wobec literackich kanonów. W gęstwinie banału było bezpieczniej i spokojniej. W odróżnieniu od zbliżenia banał jawił się oddaleniem i pomniejszeniem wydarzeń, pozostawał spojrzeniem na świat przez odwrócone szkła lornetki, uniemożliwiał dostrzeżenie lufy pistoletu przed lub po wystrzale. W świecie bez tła żyło się cicho i spokojnie; w obrazie pomniejszonym i oddalonym odnajdywało się ocalenie dla wyświechtanej prawdy, dla banalnego wyobrażenia o ładzie i porządku spraw ludzkich. Przez odwrócone szkła lornetki ich mała wioska Skiroławki była tylko nikłą kropelką blasku, na pozór martwą i skamieniałą w bezruchu. Czemu nigdy nie próbował przybliżyć do oczu czytelników tej małej kropelki, ukazać jej spraw w ogromnym powiększeniu, z lufą pistoletu tkwiącą na stałe w ciemnym tle otaczających wieś lasów? Czy w rzeczy samej jednak padł już ów śmiertelny strzał?

— Noc, proszę pana. Zamykamy — usłyszał.

Był szczerze zdumiony, że noc nastała tak prędko. Niemrawo pogrzebał w portfelu i zesztywniałymi palcami wyciągnął jakiś banknot.

— Reszty nie trzeba — oświadczył łaskawie.

Podniósł się od stolika, na głowie zawadiacko usadowił czapkę żeglarską. Ruszył przed siebie wyżwirowaną ścieżką przez starodrzew, intuicyjnie odnajdując w ciemnościach drogę do kanału i śluzy. Był pewien, że idzie do tamtego drugiego jachtu z innym Lubińskim, ale znalazł się w kabinie swojej łodzi. I tak jak przyszedł — w białych spodniach i eleganckim golfie — padł na koję.

O kilka kroków za nim szła młoda kelnerka, a gdy przekonała się, że bezpiecznie legł w swojej kabinie — zawróciła do zamku. W pół godziny później nad brzeg zatoki nadeszła gruba kelnerka z restauracji, chwilę postała w pobliżu jachtu — i także zawróciła. W każdej z nich utrwalił się w pamięci podobny do kolorowej fotografii portret mężczyzny w białej czapce z kotwicą. I każda z nich powiększała potem ów portret na miarę swojej wyobraźni — tę młodszą przepełniała obawa, że był on jeszcze jednym z tych, których zawiodła miłość; ta druga — chciała w nim widzieć eleganckiego pana, który mimo jej tłustego ciała i włosów polepionych w kosmyki zauważył w niej pociągającą kobiecość. Spojrzenia ludzkie są bowiem zawsze jakimś powiększeniem lub pomniejszeniem obrazu innego człowieka.

...Rankiem Nepomucen wyjrzał z kabiny i stwierdził, że po drugiej stronie śluzy nie ma już białego jachtu. Dwukrotnie już otwierano wierzeje śluzy i jacht, wraz ze swym właścicielem, mógł po dwakroć odpłynąć.

c.d.n.

Rys. Janusz Szymański-Glanc